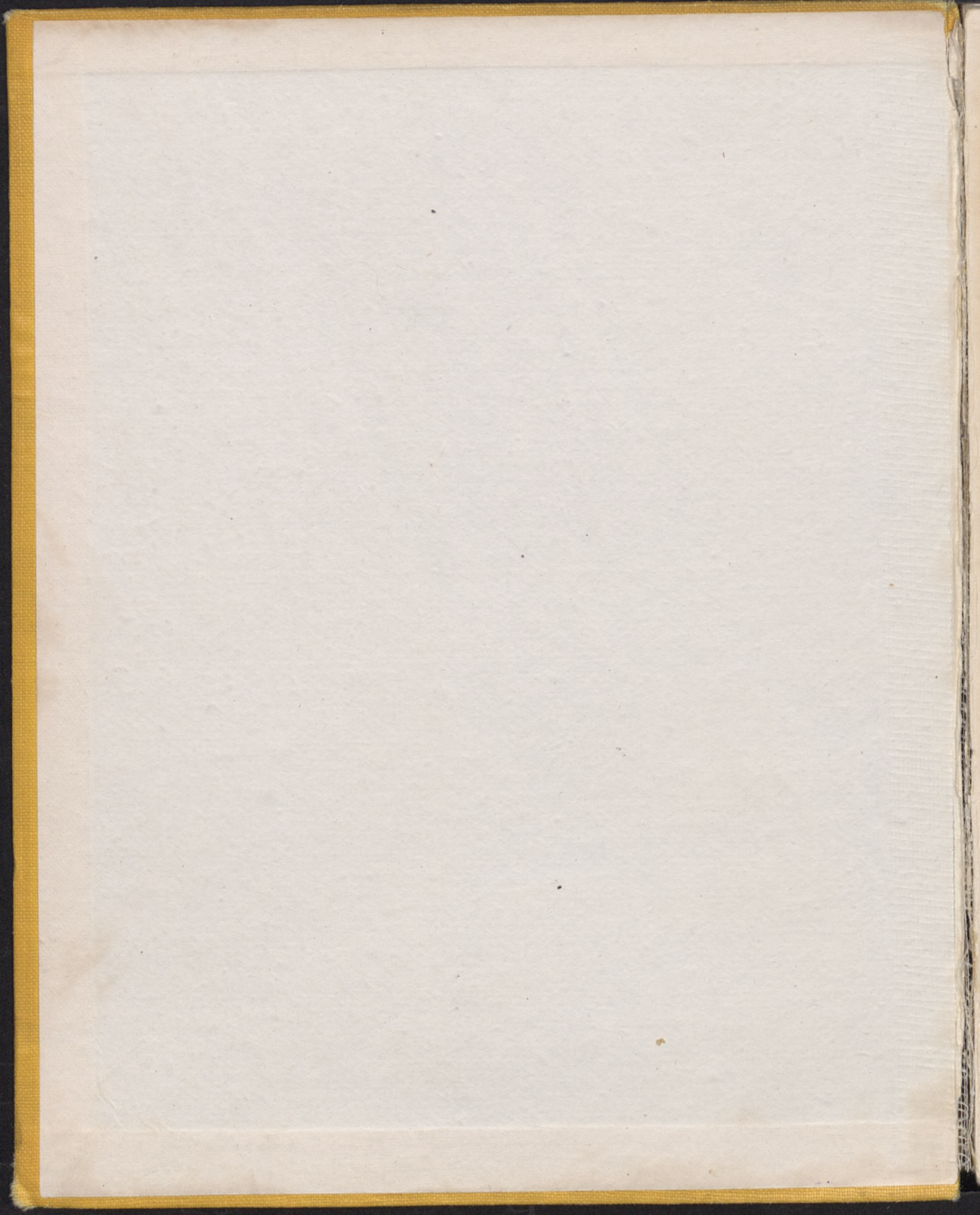


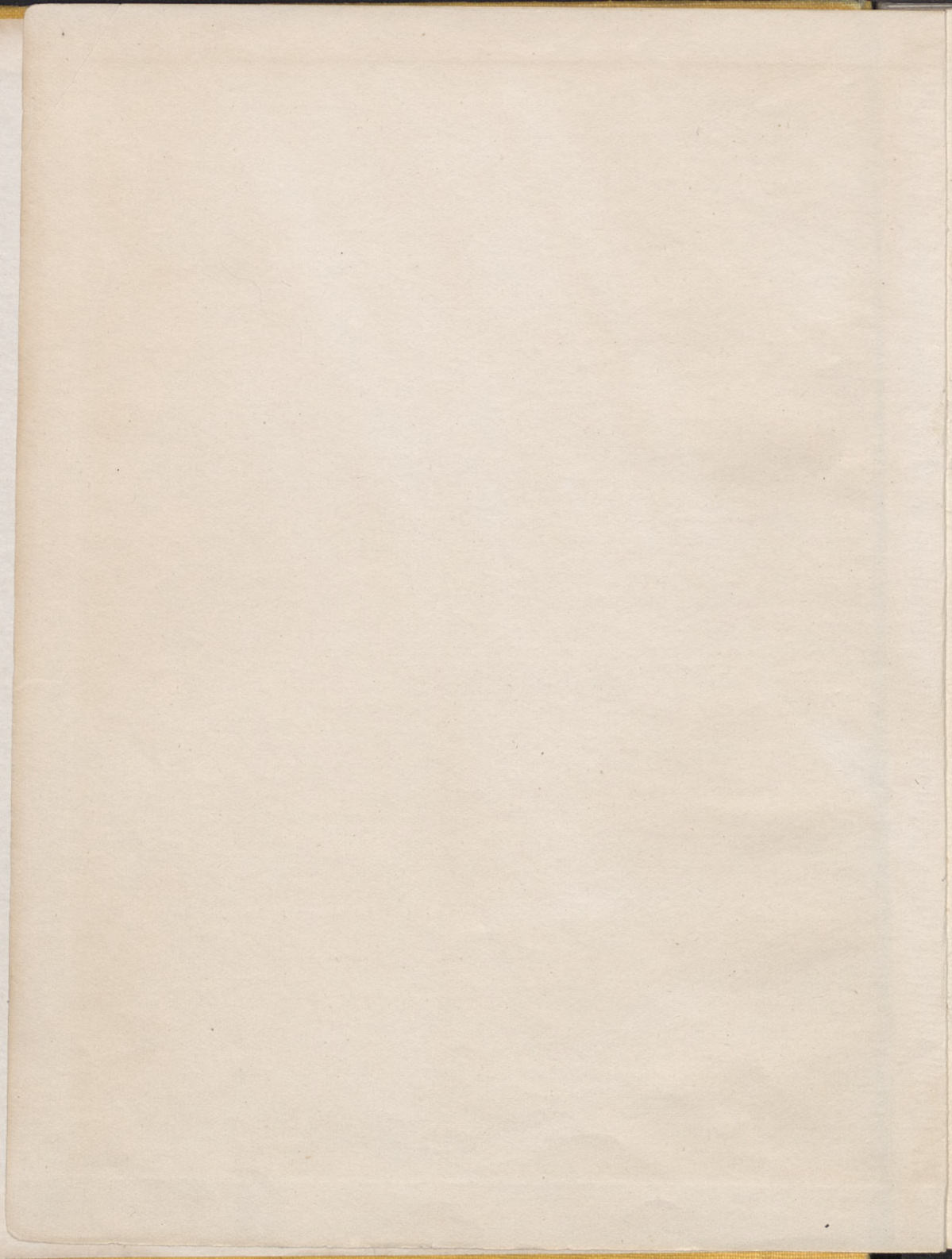
Biblioteka
U.M.K.
Toruń

323788

Portaci koberce i prorie i malarstwo polskim



POSSAET KOBIEC Z PRZECH
I MALARSTWIE POLSKIM



BIBLIOTEKA ZIEMI NASZEJ

POSTACI KOBIECE W
PROZIE I MALARSTWIE

POSTACI KOBIECE W PROZIE
I MALARSTWIE POLSKIM

WYDAWCA: WYDZIAŁ PEDAGOGICZNY UNIWERSYTETU
WARSZAWSKIEGO, UL. ŻURAWSKA 48, 00-632 WARSZAWA
DZIAŁ DRUKARNI, UL. ŻURAWSKA 48, 00-632 WARSZAWA
KRAJ DZIAŁY, UL. ŻURAWSKA 48, 00-632 WARSZAWA
KRAJ DZIAŁY, UL. ŻURAWSKA 48, 00-632 WARSZAWA

KOSTACI KOBIRCI W. PRONIE
I MALARSTWIE POLSKIM

BIBLIOTEKA ZIEMI NASZEJ

POSTACI KOBIECE W
PROZIE I MALARSTWIE
POLSKIM

MARYNA Z HRUBEGO. BASIA WOŁODYJOWSKA. MALWINA.
PANNA RÓŻA. PANI LATTER. KAŚKA-KARIATYDA. FALBANKA.
FELKA. BIRUTA. JAGNA. ŁUCJA Z POKUCIC. NARCYZA. LENA.
KAMA. „CUDZOZIEMKA“. LENORA

z 20 ilustracjami na oddzielnych planszach

LONDON
NAKŁADEM „ORBISU“

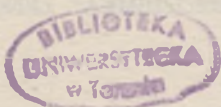
1946

BIBLIOTEKA NIEMI NASSNI

POSTACI KOBICE W
PROZIE I MALARSTWIE

FIRST PUBLISHED 1946

WYDAWCA: WILKINSKI
KRAKOW
KRAKOWSKA 10



323788

K. 2018/61

TOM niniejszy Biblioteki Ziemi Naszej składa się z szesnastu wyjątków z cenniejszych powieści i opowiadań polskich. Wyjątki te ukazują szesnastą postaci kobiecych z różnych epok i z różnych środowisk; przy wyborze starano się, by czytelnik otrzymał z jednej strony interesujący fragment prozy a z drugiej mógł na jego podstawie wyrobić sobie pojęcie o postaci, jaka w skrócie została mu ukazana.

Ta galeria postaci kobiecych nie ma tendencji brązowniczych: czynnikiem rozstrzygającym było kryterium artystyczne. Fragmenty zostały ułożone według okresów czasu, w jakim dana postać występuje. Otwierają zbiór dwie bohaterki powieści historycznych z czasów Jana Kazimierza (Maryna z Hrubego) i Michała Korybuta (Basia Wołodyjowska), dalej idą sentymentalna Malwina z końca XVIII w. i panna Róża z epoki po powstaniu styczniowym. Pani Latterowa i Kaśka-Kariatyda są związane z okresem emancypacji kobiet, Falbanka i Felka reprezentują czar i wdzięk warszawianki, Jagna i Łucja z Pokucie przenoszą nas do świata chłopskiego. Biruta jest zwiastunką świadomej Polki, która tak pięknie zapisze się na kartach późniejszych ruchów wyzwoleniczych, fin-de-siècle'iczna i egoistyczna Narcyza stanowi przejście do wnikliwie analizującej rolę kobiety Leny (okres rewolucji 1904/5) i walczącej już w szeregach P. P. S. Kamy. „Cudzoziemka“ i robotnica Lenora należą do okresu Polski odrodzonej.

Dział ilustracyjny niniejszego tomu nie łączy się z jego treścią, stanowi całość zupełnie odrębną. Celem jego było przypomnienie czytelnikowi, od lat rozłączonemu ze zbiorami i muzeami krajowymi, wybitnych portretów kobiecych malarstwa polskiego.

Tytuły poszczególnych rozdziałów pochodzą od wydawnictwa.

BIBLIOGRAFIA

- BERENT WACŁAW. — *Wacław Berent*. Ozimina. Powieść. Warszawa, Jakób Mortkowicz, 1911; str. 4nl. i 339 i 5nl. i 6bbl.
- DĄBROWSKA MARIA: Lucja z Pokucic. — *Marja Dąbrowska*. Ludzie stamtąd. Cykl opowieści. Wydanie drugie. Warszawa, J. Mortkowicz, 1933; str. 4nl. i 277 i 3nl. i 4bbl.
- DĄBROWSKI IGNACY. — *Pisma Ignacego Dąbrowskiego*. Tom II. Felka. Nowela. Wydanie drugie. Warszawa. Jan Fiszer, 1900; str. 4nl. i 190 i 2nl.
- KADEN-BANDROWSKI JULIUSZ. — *Juljusz Kaden-Bandrowski*. Czarne skrzydła. Lenora. Wydanie III przejrzone i poprawione przez *autora*. Okładka kompozycji T. *Piotrowskiego*. Warszawa, Gebethner i Wolff, [1937]; str. 355 i 3nl.
- KUNCEWICZOWA MARIA. — *Marja Kuncewiczowa*. Cudzoziemka. Powieść. Warszawa, „Rój“, 1936; str. 323 i 1nl. i 3bbl. i 1nl.
- NAŁKOWSKA ZOFIA. — *Zofja Rygier-Nałkowska*. Narcyza. Powieść. Wydanie drugie. Kraków, „Książka“, [1910]; str. 4nl. i 350 i 2nl. i XXXVbbl. i 1nl.
- ORZESZKOWA ELIZA: Panna Róża. — *Eliza Orzeszkowa*. Pisma. Wydanie zbiorowe zupełne ze wstępem *Aurelego Długoszewskiego*. Tom XXV. Gloria victis. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1928; str. 305 i 3nl.
- PRUS BOLESŁAW. — *Bolesław Prus (Aleksander Głowacki)*. Emancypantki. Powieść. Tom I. Warszawa. Gebethner i Wolff, 1894; str. 376 i 2nl.
- PRZERWA-TETMAJER KAZIMIERZ: Maryna z Hrubego. — *Kazimierz Przerwa-Tetmajer*. Legenda Tatr. Warszawa, S. Orgelbrand S-owic, 1912; str. 8nl. i 422 i 4nl.
- REYMONT WŁADYSŁAW STANISŁAW. — *Wł. St. Reymont*. Chłopi. Wydanie szóste popularne. II. Zima. Glasgow, Książnica Polska, 1942; str. 351 i 1nl.
- SIENKIEWICZ HENRYK. — *Pisma Henryka Sienkiewicza*. Tom XVIII. Pan Wołodyjowski. Powieść historyczna. Tom III. Gebethner i Wolff, 1911; str. 4nl. i 378 i 2nl.
- STRUG ANDRZEJ. — Dzieje jednego pocisku. Powieść. Kraków, „Książka“, [1910]; str. 4nl. 299 i 1nl. i XXVIIbbl. i 1nl.
- WEYSENHOFF JÓZEF. — *Józef Weysenhoff*. Żywot i Myśli Zygmunta Podfilipskiego. Wydanie szóste. Warszawa, „Biblioteka Polska“, 1920; str. 333 i 3nl.
- WIRTEMBERSKA MARIA KSIĘŻNA. — [*Maria Księżna Wirtemberska*]. Malwina czyli domysłność serca. Edycja trzecia, poprawna. Tom I. Warszawa, N. Glücksberg, 1822; str. 4nl. i V i 1nl. i 202.
- ZAPOLSKA GABRIELA. — Kaśka-Karyatyda. Powieść współczesna przez *Gabryelę Śnieżko-Zapolską*. Warszawa, 1888; str. VIII i 2nl. i 458.
- ŻEROMSKI STEFAN. — Powieści *Stefana Żeromskiego* wydane w dziesiątą rocznicę odrodzenia państwa polskiego. Syzyfowe prace. Warszawa, J. Mortkowicz, 1928; str. 4nl. i 302 i 2nl.

MARYNA Z HRUBEGO

Ale po drugiej stronie domu, za bramą obory okolicznej, pobudowanej tak że gdy się wrota wielkie wjazdowe zaparły, żadnych drzwi na zewnątrz, żadnego okna nie było, a stąd równie ziemu człowiekowi jak wilkowi i niedźwiedziowi niepodobny był przystęp, na skamieniałym odłamie cisowego pniaka, co, jak starzy mówili, tysiąc lat miał mieć, również w gwiazdy pozierając, siedziały wnuczka Toporów, dziewiętnastoletnia Maryna, i jej krewniaczki, ciocana, cioteczna siostra, młodsza o rok Mrowcówna i Teresia, także w Hrubem rodzona, co się do nich nazywało do Sikory spod uspiska.

... Rzeźwa, jasna, złota woń szła we wczesne słońcem błyszczące rano z polanki pod Kopieńcami w świetlne, błękitne niebo. Iskrzyły się rosy na trawach, ziołach i kwiatach, kwiatach wonnych, białych i różowych, błyszczwały na igłach rosnących wraz cisów, jodeł i świerków, na czarnych, podłużnych liściach wierzb górskich i zielonych, pierzastych liściach jarzębin, lśniły w słońcu. W przepysznej świeżości rannej stały obok siebie ogromne buki i szerokokonare jawory, dostojne i majestatu twardej siły pełne, a obok białeły brzozy białopienne i olsze splecione zielonymi liśćmi.

Młódź drzewna, w gęstą, zwitą spłoc związana, miejscami zbite, zwarte krze, chrusciaki, wrzeć się zdawały rozpędzoną mocą wzrostu i bujnią soków życiowych. Polanka otoczona była wałem drzewnym, koronami i pąkowiemi lasu.

Olbrzymie paprocie i łopuchy zarzuciły ją z kraju drzew, a wysokie szczawie i smukłe kiście i lodygi paśnej trawy ponad niską murawą zieleniły się jako podłoże i baldakimy kwiatów. Rosa szklila świat, ziemię u nóg.

A wysoko lśniły się w słońcu obfite w żar przezroczyste, śniegiem jeszcze osypane, zawisłe w przestrzeni wysoko na zwienych mgłach seledynowych, nad ciemnymi lasami szafrowopromienne skały, tak lekkie i lotne, jakby wiatrem niesione, w radosny niezmiar nieba wcięte. Całą polankę napelniało wesele i szczęście wiosennego rana. Nieujęty urok rozwiął się w fale promiennego powietrza.

Tysiące drożdów skalnych, okowiaków i mazaków śpiewało, których dźwięczny, cudowny, mocny gwizd rozdzwaniał las dookoła. Zdało się że każda kropla rosy brzmi, każde drzewo, cicho stojące, dźwięczy. Śpiewające powietrze błękitniało nad ziemią.

Niezmierny, niezmacony spokój oprzął uroczysko. Cicho, wolno, z gąszczu wyszedł jeleni i przekroczył przez polankę, unosząc olbrzymie, rosochate rogi w inną stronę gęstwiny.

Ze starą, poszczerbioną dziadkową kosą, prosto przymocowaną na drzewcu, wziętą od wszelkiego wypadku z domu, wsparta na niej, stała Maryna Toporówna i patrzyła w świat. Nie wyszła ona po cokolwiek, przez wiosnę szła z domu na tę polankę, na słonecznisko śródleśne. A kiedy ją owiały ziemia i las, ośpiewały ptaki, oświetliło słońce i obłękitniały góry hen skalne, wówczas z piersi jej wypłynęła pieśń :

*Hej Janickowa krasa rada owce pasa,
we dnie po dolinie, w nocy przy dziewicy...*

I taką ją śpiewającą z dala usłyszał w gęstym lesie wojewodzie Jan Sieniawski, samotrzeć się na górkim, z Hiszpanii za nieprzeplacone pieniądze sprowadzonym niewielkim koniu snujący popod Tatry.

Błędnym rycerzem przezywała go rodzina i znajomi, albowiem z pół-przyjacielem,

pół-sługą swoim Sulnickim i hajdukiem Tomkiem tygodnie, a czasem miesiące całe wędrował przez lasy i pola, dróg nie pytając, upolowaną zwierzyną się żywiąc, po zamkach pańskich, albo i po chłopskich stodołach na sianie nocując. Sześć psów gończych przy koniu szło, tak tresowanych że żaden bez znaku na widok zwierza nie ruszył, prócz tego wyżyły dwa i cztery olbrzymie w Anglii zakupione dogi, którymi szczerz dzika było miło i które i do obrony służyły. Albowiem w tym otoczeniu wojewodzie Sieniawski, półbóg z Sieniawy, jako go księżne i hetmanówny w Warszawie i w krakowskiem zwały, przejechał świat od północnych bagien i jezior pruskich i litewskich aż po Żelazne Bramy Dunaju, Dzikie Pola i goszczony przez grafów i fūrstów niemieckich aż po Ren.

Ale najraczej wędrował on przepastnymi puszciami Karpat, bijąc odyńce, walcząc z niedźwiedziami i szukając przygód miłosnych z urodziwymi młodociami na Rusi, z bujnymi góralkami w Polsce. Wprócz tego od wczesnego chłopięctwa kochał się w wojewodziance Beacie Herburtównie, z którą się we właściwym czasie ożenił chciał.

Sierotą był i samodzielnym panem tak olbrzymiej fortuny iż ledwie ostrogska ordynacja ją przewyższała, a ni Zaslawscy, ni Radziwiłłowie, ni książę Jeremiasz Wiśniowiecki, któremu sam czynsz roczny z 39.610 poddańskich zadnieprskich, nie licząc mnóstwa futorów, folwarków ekonomicznych i 423 młynów, nie licząc podatków z szynków, zboża, miodu, bydła, zwierzyny, pactwa po jego dobrach, milion dwakroć sto tysięcy złotych przynosił, nie byli bogatsi. Wydawało mu się też wszystko równo, jak mówili współcześni, i mało kogo za równego sobie z rodu poczytując, o książęcy tytuł, do czego go namawiano, dbać nie racząc, wszystko za dostępne i możliwe dla siebie miał.

Był Jan Hieronim Zygmunt August Sieniawski wzrostu wysokiego, w barkach szeroki, ale w postaci smukły, o włosach ciemnych w loki z przyrodzenia krętych, nos miał orli, pod nim wąsy młode z polska puszczone, a oczy jasnobłękitne, świetnie promienne, kiedy chciał — ciepłe i słodkie, kiedy chciał — srogie i straszne, z przyrodzenia dumne i nieulekłe. Twarzy był jasnej, pociągłej.

Z Herburtówny zrodzony, dwie miał tradycje w pochodzeniu: jedną, że Herburtowie, gdy marli, dla dzielności w orły się siwe przemieniali i orłami opuszczali świat ziemski; drugą, że gdy się rodzi Sieniawski, piorun z najwyższego dęba okolicy bił, aby go nie zaciaśniał koroną.

W swej woli i potędze rosnący, ledwie się królowi Sieniawscy uchylali, a Jan Hieronim, za kwiat rodu uważany, kwiatem się rodu swego znał.

Jednak, obok buty, pychy i awanturniczości, melancholia go nachodziła nieraz, a wówczas nikogo przy sobie nie znosił. Jeśli był w zamku, ostrożnie się mu trzeba było na oczy pokazywać; jeśli na łowach, opuszczał myśliwych, nic nie powiedziawszy; jeśli na samotnej z Sulnickim i pacholkiem wędrowce, znikał im z oczu z ogarami i czasem tydzień minął, nim się spotkali znowu. Tkwiły wprawdzie w olstrach przy jego siodle pistolety, rusznicy jednak nie brał, tylko łuk i strzały, niechybne w jego rękę, i jeśli ubił zwierzynę, to go huk nawet nie zdradził. Często starając się dyskretnie pana śladami iść, widzieli go z daleka Sulnicki i Tomek, jak na ogierze swoim hiszpańskim pomiędzy psami gdzie wysoko na polonince lub polance stał, czasem w noc księżycową, a czasem silny jego głos gdzie z lasu ich doleciał, gdy śpiewał:

*Wdzięcznej młodości niespełnione żale
kiedyż po bystrym świecie mnie nosicie...*

Gdy Sieniawski właśnie tak towarzyszków odbiegłszy, Marynę Toporzanekę, o kosę wspartą, spomiędzy jodeł i smreków ujrzał, psyknął na psy i harapem im pogroził, po

czym konia pocisnął i naprzód ruszył. Na skraju lasu się zatrzymał. Nie chciał on przerazić dziewczyny, ani sposzyć, już zaś krew w nim wrzała i żądza doznania rozkoszy natychmiastowej pierś mu rozděła.

W kieszeni od rajtuzów dłonią po czerwonych złotych, których tam garść nasypana była, przesunął, kołpaczek letni poprawił i patrzył.

Po chwili z konia zeskoczył, psy na smycze wziął i do drzew poprzywiązywał i świsnąwszy nad nimi harapem, aby przestraszone nie rwały się za nim, nazad na konia wsiadł i z lasu powoli wyjechał.

Z daleka kołpak zdjął i ku dziewczynie nim na powitanie, na dobrą wolę powiewał, ale ta nie lękała się snadź, lecz jak była wsparta o stylisko kosy, tak stała, z chustką żółtą na ramiona opadłą, w białej, wyszywanej czerwono na ramionach koszuli, w niskim do pól piersi z błękitnej materii w srebrne naszywane kwiaty gorsecie, rozchylnym na przodzie i zasznurowanym amarantową tasiemką, w ciemnogranatowej w niebiesko-białą desen tłoczonej spódnicy. Włosy, we dwa warkoczce splecione, po plecach aż poniżej tyłu spływały, stopy obute miała w białe onycki i w żółte kierpce, wełnianą czarną taśmą po płótnie kręto przypięte.

Dopiero bliżej podjeżdżając, jej przepysznej górskiej piękności zadziwił się Sieniawski, miała bowiem cudną jasną twarz nad białą szyją i wyniosłymi półkulami piersi, a biodra kryły niewypowiedziane ponęty. Spod gęstych ciemnoblond brwi, nisko zbiegłych, ogromne szafirowe oczy patrzyły śmiało i bystro.

— Niech będzie pochwalony! — zawołał, podjeżdżając, Sieniawski.

— Na wieki wieków! — odpowiedziała dziewczyna.

— Dzień dobry! Dobrze jadę? — wołał Sieniawski, świadomy fortelów.

— A ka? — zapytała dziewczyna.

Rozeźmiał się Sieniawski i rzekł nieroztropnie:

— Przed siebie.

— Starajcie się o nos, bo hań las — odpowiedziała dziewczyna.

— Ja bym tu nim wprzód rad uwadzić.

— Coby ino nie scytniał!

— Twardo tak?

I najechał blisko koniem.

Ale dziewczyna zagroziła drogę do siebie kosą w poprzek.

Sieniawski zeskoczył z siodła i oszołomiony żądzą, zbliżając się, bełkotał, sam widocznie nie wiedząc, co gada:

— Tak twardo? Tak twardo?

Maryna nie cofała kroku, tylko przesunęła szybko kosisko w rękę, tak że ostrze znalazło się wzdłuż naprzeciw Sieniawskiego.

Przystanął i rozeźmiał się głośno.

— Zacięłabyś mię? — zapytał z góralska.

— Zatnem.

— A wiesz, kto ja jestem?

— A toć mi syćko jedność.

— Wiesz ty, że ja mam sześć tysięcy własnego wojska?

— Ale nie tu. A ja mam kose!

— I że mam więcej niż sześćdziesiąt tysięcy poddanych gospodarzy?

— Ale ja wolna, królewska!

Sieniawski sięgnął do kieszeni i wydobywszy dukata, o kosę nim brząknął.

— Słyszysz? — zapytał.

— No?

- Dukat.
- Ej ha! Raty! My haw złota nie widzieli! — zadrwiła Maryna.
- A skąd?
- A z haństela — i Maryna wskazała na Tatry, ku Węgrom.
- Zbójcekie?
- A pan co myśleli! Ze on pytać pudziemé?
- Sto dukatów ci dam — rzekł.
- Za co?
- Za ciebie — szepnął namiętnie.
- Za mnie? Ja niewarccem nic, albo świat.
- Jak to?
- Wto mnie nic miłuje, to mu nie stojem za nic, wto mnie miłował bedzie, tok mu za świat cały.
- Zamek mam z pięciu wieżami — chcesz w nim mieszkać? — rwał Sieniawski słowa ze zduszonej piersi.
- Moje wieze wyse i więcél ik — wskazała ręką Tatry.
- Uzłocę cię, ubiorę w perły, w diamenty!
- Ej ha! — przydrwiła Maryna. — Kie ja do wody do potoku wlamem, to po mnie perłów, diamentów dość!
- Kochać cię będę! — krzyknął Sieniawski.
- Wiedzom pan, jako u nas powiadajom? Zakohał jom, jak sydló mróz.
- No to cię porwać każę, zuchwała dziewko!
- Maryna obejrzała się szybko, myśląc że może służbę ma ten pan ze sobą, i wymierzwszy sztych kosy prosto w piersi Sieniawskiego, rzekła:
- Gwiźnij!
- Oczy jej przy tym zaiskrzyły się tak, że można było uwierzyć że uderzy.
- Jestem sam, nie mam nikogo — rzekł Sieniawski, w którym mimo woli zabiło serce.
- No to wiedz pon: u nas co Topór to topór!
- Jakże to?
- Ja z Toporów mam ród, a Hrubego. Mój brat i nasy hłopi by mnie pod ziemiom naśli!
- Roześmiał się Sieniawski. Gdyby miał pod ręką Sulnickiego i Tomka, byliby dziewczkę porwali, choćby dla przekonania się, jak to jej chłopci z Hrubego szukać będą i jakby wypadła wojna między Sieniawskim a Toporami. Ale sam tego wobcc kosy uczynić nie mógł.
- Jeść mi się chce — rzekł, aby jakoś rozmowę dalszą umotywować.
- No to jedźcie do nas, do hałupy. Bo tu nié mas nic.
- Ugościsz mnie?
- Wdzięcznie.
- A nie gniewasz się o to, com ci mówił?
- Młodziście, toście głupi — rzekła Maryna, zamykając kwestię. — Pocie!
- Ale gdy Sieniawski po ogary ruszył w gęstwę, aby je zabrać ze sobą, Maryna zawołała:
- O, to na nic! Ze psami! Boby ig naskie owcarskie potargaly!
- No, to jakże? Psów zostawić nie mogę.
- To nic. Ostańcie haw przy nik, a ja haw jeść la was i la nik doniesem. Słóźcie watre za tela.
- Zawróciła się i z kosą na ramieniu w las wstąpiła.

Ale Sieniawski ognia nie kładł, tylko popręgu koniowi popuścił i wędzidło podpiął, aby się paść mógł, po czym na trawie na wznak legł i o młodym, gibkim, jędrnym ciele Maryny myślał.

W pół godziny, albo mało co więcej, wypadła ona z lasu okrakiem oklep na koniu, w pełnym galopie, z workiem i koszyczkiem w jednej ręce, w drugiej z siekierą. Gnała z leśnej drogi polaną, co koń, niski, krępy kasztan, mógł wyskoczyć.

— No a kaz watra? Coście haw robili? — wołała z daleka.

„Kaz watra? Jest haw bob, fasola, spyрка, placek, la psów tys w rąbiaku. Cyście spali? Jakisi s was papęziak!

Sieniawski z trawy wstał, śmiejąc się, a Maryna zwlóczyć chrust na ogień zaczęła. Z pomocą jej sickiery i podróznego toporka wojewodzica w mig olbrzymia watra wybuchnęła. Dobył Sieniawski wino i wódkę z troków, spyrkę nożykiem krajał i na patyku skwarzył; popijał. Za ten czas bób i fasola się gotowały.

Ucztę miał smakowitą, w kłębach dymu, wśród iskier trzaskających z żywicy.

Gdy się posilili, Maryna z pustoty świcze smolne smreczki i jodelki ciąc zaczęła i na ogień je ciskać; skoczył i Sieniawski do tej uciechy. Wybudowali stos na czleka wysoki, że się zdawało, iż płomień i dym w niebo bije.

Ogary podrażnione jak na pożar wyc zaczęły.

Tak się poznali.

Minęły temu dwa lata, na samym początku wielkiego maju (czerwca).

Nikt o tym nie wiedział, tylko Teresa, powiernica.

I długo w noc czerwcową za chałupą siedząc, szeptały dziewczęta o „panu“, który się jeszcze tego roku po zimie nie pokazał, choć zawsze, gdy tylko śniegi stajały, przybywał w te strony.

— Wto wie? Moze się ozenił? — mówiła Teresa.

— Ja by jęgo i jom zabięła! — odpowiedziała Maryna.

HENRYK SIENKIEWICZ

BASIA WOŁODYJOWSKA

... Biorąc to wszystko na uwagę postanowiła Basia jechać dalej.

Lecz spać nie mogła. Pierwszy raz w czasie tej drogi chwycił ją taki niepokój, jakby zawisło nad nią nieznanne niebezpieczeństwo. Być może, że przyczyniał się także do owych niepokojów nocleg w Jampolu, było to bowiem miejsce straszne i krwawe. Basia znała je z opowiadań męża i pana Zagłoby. Tu, czasów chmielniczczyzny, stała główna siła podolskich rezunów pod Burlajem; tu sprowadzano jeńców i sprzedawano ich na targi wschodnie lub morzono okrutną śmiercią; tu wreszcie wiosną 1651 r., podczas tłumnego jarmarku, wpadł pan Stanisław Lanckoroński, wojewoda braclawski, i uczynił rzeź straszną, której pamięć świeża była na całym Podniestrzu.

Więc wszędy, nad całą osadą, unosiły się krwawe wspominki, więc tu i ówdzie czerniały jeszcze zgliszcza, więc ze ścian półzrujnowanego zameczku zdawały się spoglądać białe twarze porżniętych Kozaków i Polaków. Basia była odważna, ale bała się duchów, mówiono zaś, że w Jampolu samym, przy ujściu Szumiłówki i na pobliskich Dniestrowych porohach, co północ słyhać płacz wielki i jęki, woda zaś przy księżycu

mieni się na czerwono, jakoby krwią zabarwiona. Myśl o tym przepelniała przykrą trwożą Basine serce. Mimowoli nasłuchiwała, czy w ciszy nocnej nie usłyszy wśród porożanego szumu placzu i jęków. Słysząc było tylko przeciągle „czuвам-aj“ żołnierzy. Więc przyszła na myśl Basi cicha świetlica chreptiowska, mąż, pan Zagłoba, przyjacielskie twarze pana Nienaszyńca, Muszalskiego, Motowidły, Snitki i innych — i pierwszy raz poczuła, że jest od nich bardzo daleko, w obcej stronie, i wzięła ją taką tęsknicą za Chreptiowem, że jej się płakać chciało.

Zasnęła nad ranem dopiero, ale miała dziwne sny. Burlaj, rezuny, Tatarzy, krwawe obrazy rzezi przesuwaly się przez jej senną głowę, a w tych obrazach widziała ciągle twarz Azji, lecz nie był to ten sam Azja, tylko niby Kozak, niby dziki Tatar, niby sam Tulhaj-bej.

Wstała rano, rada że się skończyła noc i przykre widziadła. Pozostałą drogę postanowiła odbywać na dziancie, raz dlatego żeby ruchu zażyć, po wtóre żeby dać sposobność do swobodnej rozmowy Azji i Ewce, którzy, ze względu na bliskość Raszkowa, potrzebowali zapewne się naradzić, jakim sposobem oznajmić wszystko staremu panu Nowowiejskiemu i pozwolenie onego uzyskać? Azja, podawszy jej własną ręką strzemię, sam nie siadł jednak do sanek z Ewką, ale zrazu wyjechał na czoło oddziału, potem trzymał się w pobliżu Basi.

Ona zaś, spostrzegłszy natychmiast, że jadą znów w szczuplejszej liczbie, niżli przyjechali do Jampola, zwróciła się do młodego Tataru i rzekła :

— Widzę, żeś waćpan i w Jampolu część swoich ludzi ostawił?

— Pięćdziesiąt koni, tak samo jak i w Mohilowie — odrzekł Azja.

— Na cóż to?

On uśmiechnął się osobliwie ; wargi jego podniosły się tak jak u złego psa, który pokazuje zęby — i po chwili dopiero odpowiedział :

— Bo chcę te komendy mieć w mojej mocy i drogę powrotną waszej miłości zabezpieczyć.

— Jeśli wojska wrócą ze stepów, to i tak tam siła będzie?

— Wojska tak prędko nie wrócą.

— Skąd waćpan wiesz?

— Bo się pierwaj muszą dobrze upewnić, co się u Dorosza dzieje, a to im ze trzy albo cztery niedziele zabierze.

— Jeśli tak, toś dobrze uczynił, ludzi owych zostawiając.

Jechali czas jakiś w milczeniu. Azja spoglądał co chwila na różową twarz Basi, na wpół zakrytą przez podniesiony kołnierz delijki i kołpaczek, a za każdym spojrzeniem przymykał oczy, jakby chciał lepiej sobie wrazić w pamięć wdzięczny jej wizerunek.

— Waćpan powinienes się rozmówić z Ewką — rzekła, wszczynając na nowo rozmowę, Basia. — Waćpan zgola za mało z nią rozmawiasz, aż jej dziwno to bywa. Niedługo przed obliczem pana Nowowiejskiego staniecie... Mnie samą niepokój chwyta... Powinniście się naradzić, jak sobie począć.

— Ja najpierw z waszą miłością chciałbym się rozmówić — odrzekł dziwnym głosem Azja.

— To czemuż waść nie zaczynasz?...

— Bo czekam na posłańca z Raszkowa... Myślałem, że go już w Jampolu znajdę. Co chwila go wyglądam.

— A co ma posłaniec do rozmowy?

— Myślę, że owo on jedzie ! — odrzekł, unikając odpowiedzi, młody Tatar.

I skoczył naprzód, lecz po chwili wrócił :

— Nie, to nie on ! — rzekł.

W całej jego postaci, w mowie, w spojrzeniu, w głosie, było coś tak niespokojnego i gorączkowego, że ów niepokój udzielił się Basi. Najmniejsze jednak podejrzenie nie powstało jej w głowie. Niepokój Azji dał się doskonale wytłumaczyć bliskością Raszkowa i groźnego ojca Ewki, jednakże Basi było czegoś tak ciężko, jakby o jej własne losy chodziło.

Zbliżwszy się do sani, przez kilka godzin jechała w pobliżu Ewki, rozmawiając z nią o Raszkowie, o starym i młodym panu Nowowiejskim, o Zosi Boskiej, wreszcie o okolicy, która stawała się coraz dziksza i straszniejszą pustynią. Była ona po prawdzie pustynią zaraz za Chreptiowem, ale tam przynajmniej od czasu do czasu podnosił się na widnokręgu słup dymu, oznajmujący jakiś chutor, jakąś osadę ludzką. Tu nie było nigdzie śladów człowieka i gdyby Baśka nie wiedziała, że jedzie do Raszkowa, gdzie żyją ludzie i stoi załoga polska, mogłaby mniemać, że wiodą ją gdzieś w nieznaną pustynię, do cudzych ziem, na kraniec świata.

Rozglądając się po okolicy wstrzymywała mimowoli konia i wkrótce została w tyle za saniami i oddziałem. Azja przyłączył się do niej po chwili, a że okolicę znał dobrze, więc ją jej wskazywać rozmaite miejsca, wymieniając ich nazwy.

Nie trwało to jednak długo, bo ziemia poczęła dymić. Zima nie miała widocznie w tej południowej stronie tej, co w lesistym Chreptiowie, mocy. Leżało wprawdzie nieco śniegu w wądołach, rozpadlinach, na krawędziach skał, a także i na obróconych ku północy upłazach wzgórz, ale w ogóle ziemia nie była nim pokryta i czerniała haszczami lub polyskiwała wilgotną, zwiędłą trawą. Z tych traw podnosił się lekki, białawy opar i rozciągał się tuż przy ziemi, czyniąc w dalnościach podobieństwo wielkich wód, wypełniających doliny i szeroko rozlanych po równinach, następnie opar ów podnosił się coraz wyżej ku górze, zakrywając blask słoneczny i zmieniając pogodny dzień na mglisty i posępny.

— Jutro deszcz będzie — rzekł Azja.

— Byle nie dziś. Jak daleko jeszcze do Raszkowa?

Tuhaj-bejowicz popatrzył na najbliższą, zaledwie widną już wśród mgły okolicę i odrzekł:

— Stąd już bliżej do Raszkowa, niż z powrotem do Jampola.

I odetchnął głęboko, jak gdyby wielki ciężar spadł mu z piersi.

W tej chwili tętent konia rozległ się od strony oddziału, i jakiś jeździec zamajaczył w tumanie.

— Halim! Poznaję go! — zawołał Azja.

Rzeczywiście był to Halim, który, dopadłszy Azji i Basi, zeskoczył z bachmata i począł bić czołem w strzemię młodego Tatara.

— Z Raszkowa? — spytał Azja.

— Z Raszkowa, panie mój! — odpowiedział Halim.

— Co tam słychać?

Stary podniósł szpetną, wychudzoną od niesłychanych trudów głowę ku Basi, jakby chciał spytać, czy może przy niej mówić, lecz Tuhaj-bejowicz rzekł zaraz:

— Mów śmie! Wojska wyszły?

— Tak panie. Garść została.

— Kto powiódł?

— Pan Nowowiejski.

— Piotrowicze zaś wyjechali do Krymu?

— Już dawno. Ostały tylko dwie niewiasty i stary pan Nowowiejski z nimi.

— Gdzie Kryczyński?

— Na drugiej stronie rzeki. Czeka!

— Kto z nim jest?

— Jest Adurowicz ze swoim sciahem. Obaj ci głową do strzemięcia biją, synu Tuhaj-bejowy, i pod rękę twoją się oddają — oni — i wszyscy, którzy jeszcze nie nadążyli.

— Dobrze! — rzekł z ogniem w oczach Azja. — Leć do Kryczyńskiego natychmiast i każ im, by zajmowali Raszków.

— Wola twoja, panie!

Po chwili Halim skoczył na konia i zniknął, jak widmo, w tumanie...

Straszny i złowrogi blask bił od twarzy Azji. Chwila stanowcza, chwila oczekiwana, chwila największego dla niego szczęścia — nadeszła... Serce biło mu jednak tak, że tchu mu brakło... Czas jakiś jechał w milczeniu koło Basi i dopiero gdy poczuł, że głos go nie zawiedzie, zwrócił ku niej oczy niezglębione a świetliste i rzekł:

— Teraz mi rozmówić się szczerze z waszą miłością...

— Słucham — odrzekła Basia, patrząc na niego pilnie, jak gdyby chciała czytać w jego zmienionej twarzy.

Azja przysunął swego konia do dzianeta Basi tak blisko, że niemal strzemięciem dotknął jej strzemięcia, i jeszcze kilkanaście kroków jechał w milczeniu. Przez ten czas starał się uspokoić do reszty i dziwił się, dlaczego ten spokój z takim wysiłkiem mu przychodzi, skoro Basię miał w rękę, skoro nie było już żadnej siły ludzkiej, która zdołałaby mu ją odjąć. Ale on sam nie wiedział, że w duszy jego, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu i mimo przeciwnej oczywistości, tliła jakaś iskra nadziei, że pożądana niewiasta odpowie mu wzajemnością. Jeśli zaś ta nadzieja była słaba, to natomiast pragnienie, aby to się stało, było tak silne że potrzasało nim, jak febra. Nie otworzy ta pożądana ręk, nie rzuci mu się w ramiona, nie powie tych słów, o których śnił po nocach całych: „Azja, jam twoja!“ — nie zawiśnie ustami na jego ustach — o tym wiedział... Ale jak przyjmie jego słowa? Co powie? Czy straci uczucie wszelkie, jak gołąb w pazurach drapieżnika, i pozwoli mu się tak chwycić, jak właśnie gołąb bezradny oddaje się jastrzębowi? Czy będzie żebrać o miłosierdzie łzami, czy krzykiem przestachu napelni tę pustynię? Czy stanie się od tego wszystkiego coś więcej, czy coś mniej?... Takie pytania wichrzyły się w głowie Tatarza. A przecież przyszedł czas, w którym trzeba odrzucić udawanie, pozory, i pokazać jej prawdziwą, straszną twarz... Ot, strach! ot, niepokój! ot, chwila jeszcze — i spełni się wszystko.

Wreszcie jednak ta duszna trwoga poczęła zmieniać się w Tatarze w to, w co zmienia się najczęściej trwoga dzikiego zwierzęcia, to jest we wściekłość... I począł się sam podniecać tą wściekłością. — „Cokolwiek się stanie, — pomyślał, — ona moja, moja cała jest i moja będzie dziś jeszcze i moja będzie jutro, a potem już nie wrócić jej do męża, jeno iść za mną“...

Na tę myśl dzika radość porwała go za włosy i nagle odezwał się głosem, który jemu samemu wydawał się obcy:

— Wasza miłość nie знаła mnie dotąd!...

— W tej mgle tak się waści głos zmienił — odrzekła nieco niespokojna Basia — iż istotnie zdaje mi się, że kto inny mówi.

— W Mohilowie wojska nie ma, w Jampolu nie ma, w Raszkowie nie ma! Ja tu jeden pan!... Kryczyński, Adurowicz i inni raby moje, bo ja kniazia, ja władcy syn — ja im wezyr, ja im murza najwyższy, ja im wódz, jako Tuhaj-bej był wódz — ja im chan, ja jeden mam siłę, wszystko tu w mocy mojej...

— Czemu zaś waćpan to mówisz?

— Wasza miłość nie znała mnie dotąd... Raszków niedaleko... Ja chciał hetmanem

tatarskim być i Rzeczypospolitej służyć, ale pan Sobieski nie dozwolił... Nie być mi dłużej Lipkiem. Nie służyć pod niczyją komendą, jeno samemu wielkie czambuły wodzić na Dorosza albo na Rzeczypospolitą, jak wasza miłość chcesz, jak wasza miłość rozkażesz!...

— Jak ja rozkażę?... Azja! co z tobą?...

— To ze mną, że tu wszyscy moje raby, a jam twój rab! Co mnie hetman! Pozwolił czy nie pozwolił! Słowo wasza miłość rzeknij, a ja waszej miłości Akerman pod nogi położę i Dobruczę położę — i te ordy, które tu ałusy mają — i te, które w Dzikiach Polach koczną — i te, co wszędy tu w zimownicach leżą, będą raby twoje, jako ja twój rab!... Każesz — chana krymskiego nie usłucham i sułtana nie usłucham i mieczem ich będąc wojował i pomoc Rzeczypospolitej dam i nową ordę w tych stronach założę, a nad nią ja będę chanem, a nade mną ty będziesz jedna, tobie jednej będę pokłony bił, twojej łaski i zmiłowania prosił!

To rzekłszy, przechylił się na kulbace i porwawszy w pół przerażoną i jakby ogłuszoną słowami jego niewiastę, tak dalej mówił prędkim, chrapliwym głosem:

— Zaliś nie wiedziała, że mam cię jedną miłował!... A nacierpiał się!... Ja cię i tak wezmę!... Ty moja już i będziesz moja!... Nikt cię tu nie wyrwie z moich rąk!... Ty moja! ty moja!

— Jezus, Maria! — zawołała Basia.

Lecz on ją cisnął tak w ramionach, jakby chciał zadławić... Krótki oddech wydobywał się z jego warg, oczy zachodziły mgłą, wreszcie wywlókł ją ze strzemion, z kulbaki i wziął przed siebie, cisnąc jej piersi do swoich, i sinawe wargi jego, otwierając się łakomie, jak usta ryby, poczęły szukać jej ust. Ona nie wydała okrzyku, lecz poczęła się opierać z niespodziewaną siłą. Zaczęła się między nimi walka, w której słychać było tylko zdyszane ich oddechy. Gwałtowne ruchy i bliskość jego twarzy wróciły jej przytomność. Przyszła na nią chwila takiego jasnovidzenia, jaka przychodzi na tonących. Od razu, z największą jasnością, odczuła wszystko. Więc naprzód, że ziemia zarwała się pod jej nogami i otworzyła się w jar bezdenny, do którego on ją ciągnął koniecznie; ujrzała jego miłość, jego zdradę, swój straszny los, swoją niemoc i bezradność; odczuła trwogę, odczuła okropną boleść i żal — i jednocześnie buchnął w niej płomień niezmiernego oburzenia i zemsty i wściekłości. Taka była dzielność tej duszy rycerskiego dziecka, tej wybranej żony najdzielniejszego w Rzeczypospolitej rycerza, że w tej oto strasznej chwili pomyślała naprzód: „Pomścić się“, potem dopiero: „Ratować się“. Wszystkie władze jej umysłu naprężyły się tak jak włos napręża się z przerażenia na głowie, i ta jasność widzenia tonących stała się w niej niemal cudowna. Ręce wśród szarpaniny poczęły szukać przy nim broni i trafiły wreszcie na kościany łeb wschodniego pistoletu; ale jednocześnie miała przytomność pomyśleć i o tym, że choćby pistolet był nabyty, choćby zdolała odwieść skalnę, nim przegnie dłoń, nim skieruje lufę ku jego głowie, on chwyci niechybnie jej rękę i odbierze jej ostatni sposób ratunku — więc postanowiła uderzyć inaczej.

Trwało to wszystko jedno mgnienie oka. On istotnie przewidział zamach i wyciągnął dłoń tak szybko, jak migoce błyskawica, ale nie zdołał obrachować jej ruchu, to też ręce ich minęły się i Basia z całą rozpaczliwą siłą swej młodej i dzielnej pięści uderzyła go, jak gromem, kościaną głową pistoletu między oczy.

Cios był tak straszny, że Azja nie zdołał nawet krzyknąć i padł na wznak, pociągając ją za sobą w upadku.

Basia podniosła się w jednej chwili i skoczywszy na swego dzianeta, pomknęła jak wicher, w przeciwną stronę od Dniestru, ku szerokim stepom.

Zasłona mgły zamknęła się za nią. Dzianet, stuliwszy uszy, biegł na oślep wśród

skął, rozpadlin, jarów, wyrw. Lada chwila mógł runąć w jaką szczelinę, lada chwila mógł rozbić siebie i jeźdźca o skaliste rogi, lecz Basia nie zważała już na nic; najstraszniejszym niebezpieczeństwem byli dla niej Lipkowie i Azja... Dziwna rzecz! Teraz, gdy uwolniła się z rąk drapieznika i gdy ów leżał prawdopodobnie martwy wśród skał, nad wszystkimi jej uczuciami zapanowała trwoga. Leżąc twarzą na grzywie dzianeta, mknąc w tumanie, jak sarna ścigana przez wilki, teraz poczęła się bać Azji więcej niż w owej chwili, gdy była w jego objęciach — i czuła strach i czuła niemoc i czuła to co czuje dziecko słabe, zabłąkane na woli bożej, samotne i opuszczone. Jakies głosy płaczące wstały w jej sercu i poczęły z jękiem, z bojaźnią, ze skargą i żalością wzywać opieki:

„Michale ratuj!... Michale, ratuj!“...

A dzianet mknął i mknął; cudownym wiedzion instynktem, przeskakiwał wyrwy, omijał gibkim ruchem wyskakujące kanty skał, aż wreszcie kamienny pokład przestał dzwonić pod jego kopytami: widocznie wpadł na jeden z tych otwartych „ługów“, które tu i ówdzie ciągnęły się między jarami.

Pot go okrywał; nozdrza poczęły oddychać głośno, lecz biegł i biegł.

„Dokąd uciekać?“ — pomyślała Basia.

I w tej chwili odpowiedziała sobie:

„Do Chreptiowa!“.

Lecz nowa trwoga ścisnęła jej serce na myśl o tej dalekiej, przez straszne pustynie wiodącej drodze. Natychmiast też przypomniało jej się, że Azja pozostawiał oddziały Lipków w Mohilowie i Jampolu. Niezawodnie wszyscy Lipkowie byli zmówieni; wszyscy służyli Azji, a zatem schwytałiby ją niechybnie i odwieźli do Raszkowa; należało zatem zapuścić się głęboko w step i dopiero obrócić na północ, omijając naddniestrzańskie osady.

Należało postąpić tak tym bardziej, że jeśli będzie pościg, pójdzie niezawodnie brzegiem, a tymczasem na szerokich stepach można będzie spotkać którą z polskich komend, wracającą do fortalicji.

Bieg dzianeta wolniał stopniowo. Basia, będąc doświadczonym jeźdźcem, zrozumiała natychmiast, że trzeba dać mu czas wychnienia, inaczej padnie. A czuła i to, że jeśli zostanie wśród tych pustyń bez konia, jest zgubiona.

Wstrzymała więc bieg i czas jakiś jechała stępa. Mgła rzedła, ale z biednego dzianeta podnosiła się chmurą gorąca para.

Basia poczęła się modlić.

Nagle rzenie końskie ozwało się wśród mgły o kilkaset kroków za nią.

Wówczas włosy zjeżyły się jej na głowie.

— Mój padnie, ale i tamte padną! — rzekła głośno.

I znów pomknęła.

Czas jakiś dzianet biegł lotem gołębia, ściganego przez raroga, i biegł znów długo, prawie do ostatka sił, lecz rzenie odzywało się ciągle za nim w oddali. Było w tym rzeniu, dochodzącym z tumanu, coś zarazem niczmiernie tęsknego i groźnego.

Jednakże, po pierwszej chwili trwogi, przyszło Basi na myśl, że gdyby na tym ścigającym ją koniu siedział ktokolwiek, toby ów koń nie rzał, bo jeździec, nie chcąc zdradzić pościgu, zahamowałby rzenie.

— Nie może być, tylko to bachmat Azji bieży za moim — pomyślała Basia.

Dla ostrożności wyciągnęła obie króćce z olster, lecz była to zbytnia ostrożność. Po chwili zaczętno coś w rzednącej mgłę i bachmat Azjowy nadbiegł z rozdętymi chrapami. Ujrzawszy dzianeta, zaczął zbliżać się ku niemu w podskokach, wydając krótkie i urywane rzenie, a dzianet odpowiedział mu natychmiast.

— Łosz! łosz! — zawołała Basia.



JÓZEF PESZKA
Trzy damy (Lekczyńska, Mazarakowa, Wędowa)



JÓZEF FAWORSKI
Portret generalowej Wiktorii Madalińskiej



KAZIMIERZ WOJNIAKOWSKI
Portret Józefy z Szemplińskich Chrzonowskiej



RAFAŁ HADZIEWICZ
Portret matki artysty

Zwierz przyuczony do ręki ludzkiej, zbliżył się i pozwolił się schwytać za uzdę. Basia podniosła oczy ku niebu i rzekła :

— Opieka boska !

Rzeczywiście schwywanie Azjowego rumaka było dla niej okolicznością ze wszech miar pomyślną.

Naprzód dwa najlepsze z całego oddziału rumaki były w jej ręku ; po wtóre, miała konia do zmiany, po trzecie na koniec, obecność jego upewniała ją, że pościg nie prędko wyjdzie. Gdyby bachmat pobieżał był za całym oddziałem, Lipkowie, zaniepokojeni jego widokiem, niechybnie wróciliby natychmiast szukać swego wodza ; obecnie zaś było do przewidzenia, że do głowy im nie przyjdzie, by cośkolwiek mogło się przygodzić Azji, i że wyruszą na poszukiwania dopiero wtedy, gdy zaniepokoją się zbyt długą jego nieobecnością.

„A wówczas ja będę już daleko !“ — dokończyła w myśli Basia.

Tu przypomniało się jej po raz wtóry, że oddziały Azjowe stoją w Jampolu i Mohilowie.

„Trzeba mijać szerokim stepem i nie zbliżać się do rzeki wpierv, aż się w okolicy Chreptiowa znajdzie. Chytrze ten straszny człek pozostawiał obieże, ale mnie Bóg z nich wyratuje !“ . Tak pomyślawszy nabrała ducha i poczęła czynić przygotowania do dal, szrej drogi. Przy terlicy Azjowej znalazła muszkiet, róg z prochem, worek z kulami i worek z siemieniem konopnym, które Tatar miał zwyczaj gryść ustawicznie. Basia przykróćając strzemiona bachmata na miarę swej nogi, pomyślała sobie, że przez całą drogę będzie się żywić, jako ptak, tym siemieniem, i zachowała je starannie przy sobie

Postanowiła omijać ludzi, chutory, bo na tych pustyniach od każdego człka złego raczej, niż dobrego, można było się spodziewać. Serce jej ścisnęła obawa, czym będzie konie karmić. Same one będą wygrzebywać trawę spod śniegu i wyskubywać mchey ze szczelin skalistych, ale nuż padną od złej trawy i uciążliwych pochodów? Przeci niee mogła ich oszczędzać...

Druą obawa była, czy się nie zabłąka w pustyni. Łatwo było nie zbłądzić jadąc brzegiem Dniestrowym, ale tej drogi nie mogła obrać. Co będzie, gdy wyjedzie w puszcze mroczne, ogromne a bezdrożne? jak pozna, czy się kieruje na północ, czy w inną stronę, jeśli przyjdą dnie mgliste, bezsłoneczne i noce bez gwiazd? Ze puszcze roily się od dzikie go zwierz, mniej o to dbała, mając odwagę w dzielnym sercu — i broń. Wilki, chodząc-gromadnie, mogły być wprawdzie niebezpieczne, ale w ogóle więcej się obawiała ludzi, niż zwierząt, a najbardziej zbłąkania.

— Ha ! Bóg mi drogę wskaże i do Michała wrócić pozwoli — rzekła Basia.

I przeżegnawszy się, otarła rękawem twarz z wilgoci, która ziębiła jej policzki, bystrymi oczyma rozejrzała się po okolicy i wypuściła konie w skok.



MALWINA

Malwina, z jednej z pierwszych rodzin w Polsce urodzona, czternasty rok kończyła, gdy rodzice umyślili wydać ją za mąż. Ledwie z dzieciennych lat wychodząca, nigdy jeszcze się nie zastanowiła nad przyszłością. O szczęściu, o nieszczęściu stanąć nie mogła, świata bynajmniej nie znała i żadnego innego uczucia, żadnej innej myśli nie miała, prócz przywiązania do rodziców i chęci bycia im we wszystkim przyjemną i posłuszną. Idąc tedy za tym, choć daleka od tego żeby powab albo przyjemność jakąkolwiek w przyszłym obowiązywała sobie postanowieniu, wstręt nawet i odrazę czując do męża, którego jej radzono, przyjęła go jednak, bo rodzice przyjąć go kazali; lecz nim ostatnie dała swoje zezwolenie, oświadczyła przyszłemu mężowi, że nie czując żadnego do niego przywiązania, jedynie z rozkazu rodziców za niego idzie, na co jej odpowiedział, że bynajmniej to nie szkodzi, że raz będąc jego żoną do niego się przyzwyczai i że w wypełnieniu swoich obowiązków znajdzie i szczęście. Zupełny ten brak delikatności przejął trwogą serce Malwiny, nader smutnym nadal wróżąc jej losem: mimo tego jednak wkrótce potem została Malwiną S.... Rodzice jej niedługo byli świadkami ciągu dalszego jej losu (losu, którego zwrot nieszczęśliwy z posłuszeństwa ku ich woli naturalnie musiał nastąpić). W podeszłym już będąc wieku, w kilka miesięcy po ślubie córki żyć przestali, i strata ich najboleśniejszą stała się dla niej umartwieniem. Mąż, który niewyrozumiałą zazdrość do wielu innych łączył przywar, wywiózł ją zaraz od rodziny i znajomych do odludnego zamku w głąb najdalszej prowincji. — Tam dzikością charakteru, zazdrością bez powodów, ustawicznymi popędliwymi wyrzutami, że go nie kocha, truł młode lata, dnie i godziny wszystkie łagodnej, niewinnej Malwiny, która wprawdzie kochać go nie mogła, ale żadnej mu przyczyny nie dawała, aby mógł słusznie powiedzieć że mu w czymkolwiek uchybia.

Przez dwa lata najsmutniejsze jakie być może życie prowadziła; alic nareszcie mąż, u którego namiętności żywe równie i niestatecznymi bywały, uprzykrzył sobie żonę męczyć nie dzielonym Kochaniem i zmieniwszy całkiem sposób życia, najgwałtowniejszą pasją zabrał do polowania. Dnie całe trawił z kilką sąsiadami, równie sobie grzecznymi, na gonieniu, męczeniu i zabijaniu biednych sarn, lisów i zajęcy, a wieczorami, z polowania wróciwszy, z tymiż samymi sąsiadami pił okropnie do późnej nocy.

Malwina tymczasem, szesnasty dopiero rok licząc, samej sobie zostawiona, w najzupełniejszej żyła samotności. Była z domu nigdzie nie wyjeżdżała i nie przyjmowała nikogo do siebie, mąż, który rzadko kiedy nawet ją widywał, więcej o nic się nie pytał. Zrazu to zupełne opuszczenie zasmucilo i zatrwodziło Malwinę; ale szczęściem natura była jej dała imaginację żywą i chęć zatrudnienia się. Te dwa przymioty, broniące ją od nudów (od tej trucizny, która nie tylko losy przekorne, ale i najszcześniejsze dole obmierzła zaprawia goryczą), te dwa, mówię, przymioty, uczyniły stan Malwiny nie tylko znośnym, ale często nawet i przyjemnym. Godziny wszystkie, których dosyć miała od użycia, podzieliła sobie między rozmaite zatrudnienia, zabawy i spoczynek. Obfita, choć zarzucona biblioteka, którą Malwina odkryła, stała jej się wielką pomocą i prawdziwym szczęściem. Młoda i wielu rzeczy nieświadoma, czytając z uwagą i wiele, sama siebie, rzecz można, wychowała. Rozum naturalny przyjemnymi wiadomościami ozdobiła i charakter, ledwo że nie powiem, dziecienny jeszcze, w zasady pewne ustaliła; lecz przy tych rozsądnych książkach, w których tyle dobrego czerpała, Malwina i tymi nie gardziła, które są skutkiem dowcipnej i czasem nadto wybujałej imaginacji; jednym słowem, z wielką chciwością i trochę może nadto czytywała romansów. To małe zda-

zenie wpływ miało poniekąd na całe jej życie, kierunek dając szczególnie jej myśłom i sposobowi widzenia rzeczy i sądzenia o ludziach.

Ale cały dzień czytać nie można ; to też kilka godzin w dniu na czytaniu strawiwszy, Malwina muzyką się rozrywała. Nieraz po gotyckich gankach, po obszerno-pustych salach starożytnego zamku piękny głos jej się rozlegał. Lubiła śpiewy o dawnym rycerstwie śpiewać, łącząc młody głos swój z poważną organów harmonią. Żywa jej imaginacja wstecz ją zwracając, stawiała jej na pamięci świetne rycerskie czasy lub mgliste bardów dumania.

Kibić jej, giętka i hoża, długie czarne warkocze, twarz łagodna, na której ni lata, ni namiętności żadnej jeszcze kresy nie wryły, ujmującym czyniły ją przedmiotem, i gdy w białą szatę odziana po księżycu promieniu, który wąskimi dobywał się oknami, jak lekki cień po owych salach przechadzała się, postać jej jak i imię przypominały te młodociane dziewice, które niegdyś po bajecznych pałacach Fingala snuły się i które Ossjan śpiewał.

Nie mogę jednak zataić żeby niekiedy Malwina, rozrzewniona muzyką albo rozmyślająca o dawnych dziejach, o rycerstwie, o walecznych, tklivych rycerzach, nie westchnęła czasem widząc się samą, zawsze samą. Ale młody wiek, wick, w którym była Malwina, ma w sobie to szczęśliwe jakieś przeczucie długiej przyszłości, które mimowolnie łagodzić umie wszelkie troski i które potrafiło jej czasową uspokajając tęsknotę.

Przy tym nie gardziła niewieściami robotami, a ranki i wieczory poświęcała długim spacerom pomiędzy skałami, lasami i nad brzegiem potoków, które otaczały jej siedlisko. Nieraz w tych samotnych przechadzkach dobre serce Malwiny znajdowało mile zajęcie, gdy do ubogich chat, do niskich zagród wstępując, pocieszenie, dobry byt i zdrowie, co za tym idzie, z sobą przyniosła. Błogosławieństwo starych, dzięki młodych, uśmiech dzieci, odbierała w nagrodę i w wieczór do ponurego swego zamku z najpogodniejszym sercem wracała.

Takim sposobem godziny, dni nieznacznie mijały : i czwartą jesień w Głazowie nadchodzącą już Malwina widziała, gdy jednego poranku, bez żadnego w tym przygotowania, raptownie jej donieśli, że mąż, który jak zwykle, dnia tego był wyjechał na łowy, zapędziwszy się za zwierzem w bezdrożne parowy, szwankował był z koniem i że myśliwi znalazłszy go leżącego jak bez duszy, zanieśli zaraz do najbliższej wioski, a do zamku czym prędzej posłali po wszelki ratunek. Przerażona Malwina natychmiast pobiegła tam jak najspieszniej ; ale mimo modłów jej szczerych, mimo starań doktora i wszystkich sposobów, które, jakie tylko być mogą, użytyni były, mąż jej do przytomności nawet nie wróciwszy, w kilka godzin po swoim przypadku życie zakończył.

Zmyślałabym, gdybym mówiła, że śmierć męża nicnadgrodzonym niezczęściem zdała się na ów czas Malwinie, ale dolożyć mogę, że dobra i bynajmniej nie zawzięta Malwina, zapomniawszy, jak mało zeń była szczęśliwą, szczerze łzy wylała nad wczesną i okropną jego śmiercią, i co dziwniej zdawać się będzie, to, że wkrótce potem Malwina, lubo zupełnie wolna, w kwiecie młodości i mogąca się spodziewać (że tak rzekę) krociami szczęść i zabaw, przyjemności w nowo zaczynającym się życiu, smutny rzucając Głazów, bolesnego jednak uczucia doznała. Zwodzony most przejeżdżając, serce jej się ścisnęło, i czarne oczy wlepiwszy w tę stronę, póty na ciemny zarosły zamek patrzała, póki go tylko dostrzec mogła przy zachodzącym słońcu, którego promienie bijąc w szyby oświecały wiczyczki kątowe. Malwina, choć o ćwierć mili już może, ostatnie posyłając pożegnanie, rzekła z rozrzewnieniem :

„Żegnam cię starodawny zamku, gdzie kilka lat spokojnie spędziła ; jadę do świata, którego zupełnie nieświadoma ! żegnam cię, głuche, odludne siedlisko ! obym nigdy twojej nie żalowała spokojności ! “

PANNA RÓŻA

Pani Januarowa z prawdziwie czarującym uśmiechem do niego przemówiła :

— Przecież odkąd pan Bronisław odjechał, o pannę Różę nikt się nie starał i za męża wyjść nie mogła.

— Owszem, mogła — powtórzył pan Dorsza.

Ogromnie tym powiedzeniem nas wszystkich zadziwił, bo istotnie o żadnym konkurencie do ręki panny Róży nikt z nas nigdy nie słyszał. On zaś milczał chwilę, namyślał się, a potem łyżeczkę od kawy na spodku położył i tak po prostu, jakby komu dzień dobry mówił, wypowiedział :

— Ja trzy razy oświadczałem się o rękę panny Róży i trzy razy odmowę otrzymałem.

— Jezus, Maria! — podskakując na krześle, jęknął pan January.

Pani Januarowa stała się tak białą jak obrus na stole; świeże jej rumieńce do kropelki z twarzy znikły. A ten najzacniejszy (i najbogatszy!) pan Dorsza najzwyczajniejszym tonem mówił dalej :

— Muszę to państwu opowiedzieć, aby pomyłkę usunąć. Panna Róża mogła od wielu lat i dziś mogłaby, gdyby chciała, zostać moją żoną i panią domu w moim Tęczowie. Nie chciała i nie chce. Może wiadomość o przyczynach, które jej wolą kierują, opinię państwa o niej poprawi, w oczach państwa ją podniesie, położenie, które zajmuje tu, polepszy. O to mi idzie tylko...

Do pana Januarowego się obrócił :

— Pan dobrodziej przypomina sobie, że z bratem pańskim, Bronisławem, żyłem w przyjaźni serdecznej. Narzeczoną jego znałem; podobała mi się, ale się w niej nie kochałem, i tyle tylko żeśmy stanowili trójkę przyjaciół. Była to trójka romantyków. Mieliśmy wiele wiary, miłości i nadziei; Broniek za nie głową nałożył, ja poszedłem na długo tułać się po szerokim świecie, panna Róża pozostała samą. Powróciwszy z wędrówki, pojechałem zaraz do Dworków, aby dowiedzieć się o losach narzeczonej przyjaciela. Były one podówczas względnie dobre. Z pierwszą panią tego domu w przyjaźni i harmonii żyła i jakkolwiek przez to co się stało przyćmiona, była jeszcze świeżą i kwitnącą...

— Czy była kiedykolwiek kwitnącą? — zapytała pani Januarowa z cicha, bo coś ją w gardle dławić zaczynało.

Pan Dorsza, spokojnie na nią patrząc, powtórzył :

— Była śliczną. Nie tyle może doskonale piękną ile pełną wdzięku i życia. Była żywą i wesołą. Pani z trudnością temu wierzy? Prawda; jest ona teraz tylko cieniem samej siebie. Ale nierzadko zdarza się na świecie, że człowiek długo idzie za samym sobą, jak cień wierny i ciemny pełźnie w noc księżycową za wesołym i żwawym człowiekiem. I bywa że gdy człowiek właściwie już przeminął, cień jego długo jeszcze trwa. Ale w czasie, o którym mówię, panna Róża znajdowała się w kwiecie młodości, a młodość to taki ptak, który zza najgrubszych chmur jeszcze słońca dopatrzy i choć z ołowiem na skrzydłach, jeszcze koło niego wzbijać się próbuje. Uśmiechnęła się do mnie myśl wspólnego z tą kobietą rozpędzenia chmur i wzbijania się ku słońcu. Pokochałem ją i w siódmą rocznicę odjazdu Bronisława, na tym miejscu, na którym ostatni raz go pożegnała, — na którym dziś znajduje się zapewne, — powiedziałem jej, że uczyni mnie niewypowiedzianie szczęśliwym, jeżeli zechce zostać moją żoną.

— I cóż? I cóż? — zapytywały dokoła stołu głosy ledwie dyszące od zdziwienia i ciekawości, a pan Seweryn tonem zwyczajnego opowiadania mówił dalej :

— Odmówiła. Płakała, dziękowała mi za dobre dla niej uczucie i chęci, ale wciąż powtarzała: „Nie mogę! tak kocham go jeszcze, tak nieustannie stoi mi on przed oczyma... tak kocham go, że nie mogę!”. Potem jeszcze dodała: „Tak mi go żal, tak mi go żal!”. I mówiąc to płakała tak ciężko, jakby łyż z męką niezmierną dobywały się z samego dna jej serca... Odmówiła.

Spuszczonymi powiekami wzruszenie źrenic okrywając, nie tylko spokojny, ale trochę sztywny, pan Seweryn do pana Januarego znowu mowę zwrócił:

— A po raz drugi zdarzyło się to wówczas, gdy wieść mnie doszła, że pan dobrodziej w powtórne związki małżeńskie wstąpić zamierza. Byliśmy już oboje, ja i panna Róża, daleko starsi, lecz jeszcze niestarzy. Ja miałem lat czterdzieści parę, a ona trzydzieści kilka. Przyjechałem, znalazłem ją przygotowującą dom na przyjęcie nowej jego pani i w ogrodzie powtórzyłem to co przed kilku laty mówiłem w lesie. Przychylniej odpowiedzi pragnąłem nie mniej niż przedtem, owszem, zapewne silniej, bo słońce mego życia przeszło już punkt południowy i rzucać zaczęło na świat smugi melancholijne; czułem zalatujący powiew wieczoru; tkwiło we mnie głębokie i niepozbyte pragnienie stworzenia przed nocą dla siebie i dla niej cichej i cieplej przystani. Byliśmy zresztą w wieku najlepiej sprzyjającym energicznej, wspólnej pracy a także uczuciom, które głębią i twardością wynagradzają to co im z zapalu młodzieńczego ubyc mogło. Wszystko to przedstawiłem pannie Róży — i tym razem śmiem pochlebiać sobie, że słowa moje ją wzruszyły. Zdawało mi się, że był moment, w którym wyrazy zgodzenia się na moją prośbę rozlegały się w jej sercu i przemocą na usta wybiec chciały. Nie wymówiła ich jednak; prosiła o parę dni do namysłu. Po dwóch dniach przyjechałem znowu: znalazłem ją mizerną, pobladłą, tak wyglądającą jakby z ciężkiej choroby powstała. Ale gdy o decyzję ją zapytałem, wzrok jej błagał mnie o przebaczenie, a głową przecząco wstrząsała, długo mówić nie mogąc. Potem mówiła, że gdyby Broniek umarł był w sposób wyczerpany, to może... ale tak!... „Jemu śmierć przedwczesna i męczeńska, a mnie życie szczęśliwe: cóż to za sprawiedliwość! Nie mogę! To mój święty! Nie odstąpię go nawet dla najlepszego z ludzi“. Było to już coś innego, niż wprzód. Oblubieniec namiętnie kochany uległ metamorfozie; fale tęsknot i myśli przekształciły go w świętego, a dusza, umiejąca czcić i rozumieć świętość, nie chciała wyrzucić jej z siebie w zamian ziemskiego szczęścia, którego jednak pragnęła. Z umarłymi walczyć trudno. Odjechałem zwyciężony.

Nie podobna mi nawet wyobrazić sobie, jaką minę mieć mogłem, wszystkiego tego słuchając, to tylko wiem że ze trzy razy chustkę do nosa z kieszeni wyjmowałem. Co schowam, to znowu potrzebna. Patrząc, aż u tego pustaka Zygmunusia źrenice jak zza szybek pomiędzy powieki wstawionych przeglądają, kończyk wąsika w palcach kręci, wyprostowany jak struna, i zza szybek szklanych, które nieruchomo w oczach stoją, w pana Dorszę jak w tęczę się wpatruje. On też, nie wiem dla jakiej przyczyny, do Zygmunusia i do mnie teraz mowę zwrócił i ciszej niż przedtem dodał:

— Bohaterstwem duszę jej podbił na zawsze. W aureoli świętego przed nią stał i jak wierny od ołtarza, od obrazu tego oderwać się nie mógł.

— Wierna! — pomimo woli wymówiłem.

— Tak, ale na wszystko jest pewna miara. Siła serca, które pamięta i cierpi, wyczerpaną być może. Osiem lat znów minęło. Wieczór zapadać począł. Czas wrzyna się w człowieka jak piła w miąższ drzewa...

Zwrócił się do pana Faustyna:

— Pan dobrodziej się myli: *le coeur a parfois des rides*.

Pan Faustyn ze zmieszania aż zakręcił się na krześle.

— Ja... panie dobrodzieju, powiedziałem to tylko tak sobie... *an parantess!*

A pan Dorsza znowu głównie do mnie i do Zygmunusia mówić zaczął:

— Ale czasem serce zmęczone więcej jeszcze słodczy i ukojenia pragnie, aniżeli świeże. A cóż może być słodsze nad otoczenie kobiety dobrej i kochanej serdeczną przyjaźnią i opieką? Prawda, że słońce nasze spłynęło już ku zachodowi, lecz mogą być jeszcze cudne ciche godziny o pogodnych zorzach wieczornych. Więc około trzech miesięcy temu, w czasie ostatniej bytności mojej w Dworzech, ponowiłem wobec panny Róży gorącą prośbę moją.

Oczy pani Januarowej stawały się prawie obląkanymi. Więc to, co wymyśliła jako złośliwą i nieprawdopodobną drwinę, było tak ściśle prawdziwym!

— Tym razem spotkałem się znowu z czym innym. Panna Róża powiedziała mi, że jeżeli dotąd pamięcią i sercem pozostała wierną swemu... świętemu, to już rozstawać się z nim dla tej odrobiny czasu, który pozostał jej na ziemi, wprost nie warto. Powiedziała, iż tak długo już żyje ze swoją samotnością i ze swoim smutkiem, że stały się one drugą jej istotą, nawyknięciem, treścią życia, których wyrzucić z siebie i zastąpić czymś wcale przeciwnym nie podobna. Powiedziała, że wedle słów jednej z ulubionych swych ksiązek tak już dawno „żyje w cieniu śmierci“, myśląc często nie tylko o tamtej, ale i o swojej, jako o wolnym wzlocie czegoś w niej niewiadomego w coś poza nią niewiadomego, co wielkie jest i niezmierzone, a upragnione już przez to, że musi być czymś wcale innym, niż wszystko co jest tu. A z tego cienia, kto długi moment w nim przebędzie, nie podobna już wyjść na pełne światło, i z takich myśli, kto długo z nimi przestawał, nie podobna wejść w krąg szczerych uciech... To mi powiedziała i... zawołana przez lokaja, odeszła, aby podwieczorkiem państwa zarządzić...

Tu załamał się jakoś głos pana Seweryna: umilkł, a z tego milczenia korzystając, od dawna już wzburzony i silnie na twarzy zaczerwieniony nasz kochany, tłusciuchny pan January przypodniósł się na krzesło, ręce gościa w swoje pochwycił i wstrząsając nimi, prawie chlipiąc od płaczu, zaczął mówić:

— Ja pana dobrodzieja, bardzo, bardzo za kuzynkę moją przepraszam... Znacności kobieta, że tak o nieboszczyku Bronku pamięta, ale takiego jak pan człowieka obrażać, takie szczęście odrzucać — jakże można! jakże można! Niech pan dobrodziej wierzy, że ja o niczym nie wiedziałem, bo gdybym był wiedział... przecież spokrewnienie się z panem dobrodziejem byłoby dla mnie zaszczytem, przyjemnością... Teraz, dowiedziawszy się, kuzynce mojej uczynię gorzką, gorzką wymówkę, a pana dobrodzieja raz jeszcze przepraszam za nią, bardzo, bardzo prze...

Wtem „zagrzmiało, runęło w Betleem ziemi“! Pani Januarowa, nie czekając końca przemówienia mężowskiego, wstała od stołu, ale w taki sposób, że krzesło posunęło się za nią z grzmotem i z wielkim stukiem na ziemię upadło. Po czym ona sama dziwnie jakoś krzyknęła i wybuchnęła wielkim jakimś śmiechem. Pokazało się, że „globus hystericus“, który od początku tej rozmowy ciągle ją dawił, zupełnie teraz do gardła wślazł, i dostała pierwszego w życiu napadu spazmów. Więc Idalcia, pan Faustyn i inni, pod ramiona ją schwyciwszy, do dalszych pokoi uprowadzili, pan January koło posyłania po lekarzy się zakrzętał, pan Dorsza odjechał, a w jadalnej sali tylko Zygmus i Marynia, pod oknem siedząc, coś do siebie szepotali, i ja, przy stole, wciąż na jednym krzesle, jak skała tkwiłem. Od tego, com słyszał, w głowie mi się przewracało i nie tylko w głowie. Z zadumy wyrwać się nie mogłem.

Nagle Zygmus zerwał się od okna i pędem strząły z pokoju wyleciał. Marynia także, spojrzawszy przez okno, zerwała się i jak błękitny ptak szybko wyfrunęła. Myślę sobie: co oni takiego na dziedzińcu zobaczyli? Czego tak polecieli? Wstałem też, do okna podszedłem i — co państwo myślą, że zobaczyłem? Oba te dzieciaki leciały na spotkanie panny Róży, która właśnie w bramę dziedzińca wchodziła. Niosła z lasu wiąz liliowych dzwonek i świecących jak słońce żółtych arnik. Lecz kwiaty te wysypały się jej do stóp,

gdy ten pustak Zygmunt porwał jej ręce i nisko schylony, tak całować zaczął, jakby w te pocałunki całą duszę swoją wlewał. A Marynia ze swej strony oba ramiona zarzuciła jej na szyję i błękitną bluzką, jak promiennym obłokiem, do jej szarej, smutnej sukni przyłączyła.

BOLESŁAW PRUS

PANI LATTEROWA

Kiedy Madzia, pożegnawszy przełożoną, wysiadła na Nowym Świecie, dorożkarz, stosownie do polecenia, odwiózł panią Latter na dworzec kolei warszawsko-wiedeńskiej.

Zatrzymał konie przed głównym wejściem, lecz pasażerka nie opuszczała dorożki. Obejrzał się i spostrzegł, że i pani Latter patrzy na niego ze zdziwieniem. Wreszcie, naglony przez stójkowego, ażeby odjeżdżał, dorożkarz wychylił się z kozła i rzekł :

— To już banhof!

— Aha! — odparła pani Latter i wysiadła, zapominając o torbie i o zapłaceniu za kurs.

Szczęściem, nadbiegający posługacz zdjął torbę, a dorożkarz upomniał się o zapłatę.

Pani Latter dała mu czterdzieści groszy, lecz gdy podniesionym głosem powiedział, że to za mało, dołożyła rubla.

Potem weszła na kamienne schody dworca i patrząc na plac, zadawała sobie w duchu pytania :

„Co ja tu robię?... skąd ja się tu wzięłam?“...

I przyszło jej na myśl, że musiała chyba zasnąć w dorożce, ponieważ ten czas, który upłynął od pożegnania się z Madzią, był dla niej zupełnie stracony.

Z rozmyślań obudził ją posługacz kolejowy, pytając :

— Do której klasy mam odnieść torbę?

— Naturalnie do pierwszej — odpowiedziała pani Latter.

W tej chwili bowiem przywidziało się jej, że odprowadza Helenkę, wyjeżdżającą za granicę z Solskimi. Ale zaraz przypomniała sobie, że Helenka od dawna jest za granicą i że to ona sama dziś wyjeżdża nie wiadomo dokąd.

Sala pierwszej klasy, już oświetlona, była pusta. Gdy wyszedł posługacz, panią Latter ogarnęła wielka trwoga, znowu bowiem ściany zaczęły wyginać się w jej oczach, podłoga chwiała się pod nogami, a ją samą otoczył tłum widziadł... Była pomiędzy nimi Helenka z prześlicznym bukietem od Solskiego, Kazio obok Ady Solskiej, zawinięta w futro ciotka Solskich, piękny pan Romanowicz, słowem — ci wszyscy, którzy w zimie odprowadzali Helenkę.

Im więcej poznawała osób, tym mocniejszy strach ją ogatniał. Zdawało jej się bowiem, że lada chwila wejdzie tu cuchnący Żyd Fiszman, który zacznie opowiadać zebrany, że pan Kazimierz Norwski wystawia weksle, poręczane przez jego matkę, panią Latter.

Ściany i podłoga sali chwiały się coraz gwałtowniej, i pani Latter znowu uczuła niepokonaną chęć ucieczki. Uciekać!... uciekać gdzieś, byle jak najdalej od tych miejsc

i od tych ludzi... Jechać!... jechać jak najprędzej, gdyż sam ruch mechaniczny, turkot kół, zmiana widoków — uspokajały jej poszarpaną duszę.

Wybiegła z sali na korytarz i spotkawszy woźnego spytała, kiedy odchodzi pociąg.

— Dziewięć dwadzieścia — odparł woźny.

— Dlaczego tak późno?... — zawołała pani Latter i poszła w głąb korytarza, czując, że gotowa rzucić się na woźnego i z płaczem pytać go: dlaczego tak późno odchodzi pociąg?...

„Dwie godziny czekać!... — myślała z rozpaczą. — Przecież ja tu umrę“...

Wtem, machinalnie padł jej wzrok na wielki arkusz, przyklejony do ściany, z napisem: „Droga Żelazna Warszawsko-Petersburska“. Pani Latter w jednej chwili oprzytomniała.

„Droga petersburska... — mówiła sobie. — Małkinia... Czyżew... Ależ tam mieszka Mielnicki... Po co ja tu przyjechałam?... To tam trzeba jechać... do niego... Tam moje ocalenie, zdrowie, spokój, u tego jedyne go człowieka, któremu ufać mogę“...

I z fonograficzną dokładnością przypomniały jej się słowa starego szlachcica:

„Pluń na pensję!... Nie zechcesz być moją żoną, możesz być jednak panią domu i gospodarstwa, które potrzebuje kobiecej ręki... To, co powiedziałem, warte jest przysięgi, i nie zmienię słowa, tak mi Boże dopomóż“...

Pani Latter wróciła energią. Kazała woźnemu wynieść torbę i zawołać dorozkę. W parę minut później jechała na dworzec petersburski.

— Wariatka czy co?... — rzekł woźny do posługacza.

— Iii... może jakaś obca... Pewnie zapomniała czego — odparł posługacz.

Okolo ósmej była już na Pradze; we dworcu spytała posługacza, kiedy odchodzi pociąg.

— Kwadrans po jedenastej.

Dreszcz ją przebiegł.

— Trzy godziny czekać — szepnęła.

Na myśl o Mielnickim przypomniła sobie, że ma jego wino. Więc przeszła do sali trzeciej klasy i ukrywszy się w kącie, wypita kieliszek.

— Już nawet nie wiem, który to dziś... — rzekła, czując jednak, że jest rzeświejsza.

Męczyła ją nienasycona potrzeba ruchu: chciała gdzieś iść czy jechać, byle nie stać w tym samym miejscu; a oddałaby resztę życia, gdyby już mogła znaleźć się w domu Mielnickiego. Ten człowiek był dla niej jak moźeszowy wąż miedziany, którego samo spojrzenie miało ją uzdrowić.

Zostawiwszy torbę pod opieką służby, wyszła przed dworzec, kierując się w stronę mostu i Warszawy, w której już zapalono światła. Patrzyła na Wisłę ku temu domowi, gdzie była jej pensja, i przypomniła sobie ów wieczór październikowy, kiedy z okna gabinetu spoglądała na Pragę. Słońce wówczas zachodziło i oblewało ziemię rudobółtawym światłem, na którego tle było widać dym odjeżdżającej lokomotywy. Myślała wtedy, że rude światło jest szkaradne i że szkaradna jest ta odjeżdżająca lokomotywa, która przypomina, że wszystko mija na tym świecie, nawet powodzenie.

I otóż jej powodzenie już minęło. Już ona sama jest nie po tamtej, ale po tej stronie Wisły czy Styksu; już nie patrzy z wysokości swoich apartamentów na Pragę, ale tuła się między jej budynkami. I już wznoszą się czarne kłęby dymu nad tą lokomotywą, która ją na nieznanym brzeg wyrzuci.

Nie dawniej niż przed półrokiem, tam na górze, gdzie w tej chwili ktoś przynosi lampę (kto to może być: Madzia, czy panna Howard, może Stanisław?...), pół roku temu sama jasno określiła swoje położenie i przyszłość... „Na pokrycie mniejszego długu zaciąga się większy dług, potem jeszcze większy, więc w rezultacie musi się to wszystko



FRANCISZEK LAMPI
Portret pani Oslawskiej



HENRYK RODAKOWSKI
Juliszowa hr. Dzieduszycka

skończyć“ — myślała wówczas ; a dziś — spełniło się. Skończyło się w ten sposób, że ona nie ma nic : ani władzy, ani majątku, ani domu, ani dzieci, ani męża — no, nic. Jest istotą wyrzuconą poza obręb społeczeństwa, jak pies który zgubił pana.

— Doskonale — szepnęła. — Ale co się stanie z pensją?... Bo przecież ja tam nie mam po co wracać... Już jutro po całej Warszawie rozejdzie się wieść, że uciekła...

Szybko zawróciła ku dworcowi a znalazłszy się tam, kazała podać papier i kopertę i napisała list do panny Malinowskiej, oddając jej pensję pod opiekę i nadmieniając o pieniądzech, które zostawiła w biurku. Nawinął się jakiś spóźniony posłaniec, więc powierzyła mu list na los szczęścia, nie żądając numeru, nawet nie patrząc, jak ten człowiek wygląda.

„Już skończone... już wszystko skończone!...“ — myślała, czując, że jednak jest trochę spokojniejsza.

Zajrzała do portmonetki i znalazła w niej około dziesięciu rubli.

— Kolej do Malkini, — mówiła, — stamtąd konie do Mielnickiego... Pyszna historia!... gdyby Mielnicki nagle umarł, nie miałabym nawet za co wrócić... Jak w tej chwili nie mam gdzie wracać, ani po co...

Okolo dziesiątej wieczorem dworzec ożywił się : zajężdżały powozy i dorożki, do sal zaczęli napływać pasażerowie. Zdawało się pani Latter, że niektórzy spomiędzy przybyłych przypatrują się jej, a szczególnie jeden żandarm, który kręcił się w korytarzu, wygląda jak gdyby szukał kogoś.

„Mnie szukają!“ — pomyślała i ukryła się w sali trzeciej klasy, między najbiedniejszymi. Zdawało jej się, że lada chwila wywoła ją ktoś po nazwisku, i prawie czuła ciężar tej ręki, która ją schwyty za ramię.

Ale nikt nie wymieniał jej nazwiska.

Obok umieściła się jakaś uboga rodzina : matka z dwuletnim dzieckiem na ręku i dziesięcioletnia dziewczynka, pilnująca sześciolatniego chłopca, który był przepasany dużą chustką przez głowę i plecy na krzyż.

Pani Latter usunęła się im na ławce i spytała kobiety :

— Daleko pani wiezie ten drobiazg?

— Aż za Grodno jedziemy, łaskawa pani. Ja, mąż i te oto fagle...

— Tam państwo mieszkacie?

— Gdzie by zaś, łaskawa pani. Mieszkamy w płockiem, a jedziemy za Grodno, bo mój ma tam zostać gajowym.

— U kogo?

— Jeszcze nie wiemy, łaskawa pani, a jedziemy, bo w domu nie ma co robić.

— Więc cóż poczniecie w Grodnie?

— Staniemy w jakiejś austerii, dopóki mąż nie odszuka tego pana co mu powiedział, że pod Grodnem łatwiej o miejsce, niż u nas.

Przez ten czas jej mąż, człeczyna zarośnięty jak dziad, w drelichowym surducie, znosił skrzynki, węzłki, koszyki. Potem z garnuszkciem szedł do bufetu po gorącą wodę, a gdy i to przyniósł, kobiecina zabrała się do gospodarstwa. Rzuciła w garnce trochę soli i masła, nadrobiła chleba i zaczęła karmić dzieci. Najpierw matka nasyciła dwuletniego, potem starsza dziewczynka zajęła się sześciolatkiem i nareszcie zjadła sama resztę po młodszych. Kobieta i jej mąż nie jedli nic : ona bowiem ciągle wydawała jakieś rozporządzenia, a on biegał za kupnem biletów, bułek na drogę, poprawiał paczki lub zawiązywał węzłki.

Widok biedaków w niewymowny sposób torturował panią Latter. Porównywała siebie z matką tej rodziny, jak ona pozbawionej dachu, lecz o wiele szczęśliwszej. I

teraz dopiero w całej pełni odczuła straszną prawdę, że ubóstwo może być cierpieniem, ale samotność jest kalectwem ducha!...

„Ma dzieci i męża — myślała, patrząc na kobietę. — Ma człowieka, który jej pomaga, ma drobiazg, przy którym może zapomnieć o sobie... Nawet ta dziewczynka już ją wyręcza... Cokolwiek ich spotka, choćby śmierć, ludzie ci w ostatniej chwili mogą uściskać się za ręce, pożegnać spojrzeniami... A mnie kto pożegnałby, gdyby na przykład wykoleił się pociąg?“...

Teraz przypomniała sobie dzień, w którym po raz pierwszy piła wino, ażeby się uspokoić, i — ów sen, który po winie nastąpił. Śniło jej się, że jest sama, jak dziś, na ulicy, jak dziś, bez grosza, lecz — że jest zupełnie szczęśliwa, ponieważ uwolniła się od pensji, jak dziś. I gdy w tej nędzy ogarnęła ją radość na myśl, że jest wolna, wolna od gospodyni, uczennic, dam klasowych i profesorów, w tej chwili Kazio i Helenka zabiegli jej drogę i usiłowali namówić, ażeby wróciła na pensję!...

Wówczas, w tym śnie, pierwszy raz w życiu, uczuła żal do swoich dzieci. Ale w tej chwili, na twardej ławce banhofu, kipiało w jej sercu coś gorszego. Spojrzała na matkę ubogą i bezdomną, lecz otoczoną dziećmi, i przyszło jej na myśl, że ona, także nędzna i bezdomna, nie ma jednak przy sobie dzieci. I że może właśnie w tej godzinie Helenka pływa z eleganckim towarzystwem po kanałach weneckich, a Kazio — może gdzieś podpisuje weksle jej nazwiskiem. Oni tam bawią się, a ona cierpi, cierpi jak całe piekło potępieńców...

— Podle szczenięta... — szepnęła. — Ale dobrze mi tak!... takie sobie wychowałam... I uczuła nienawiść.

Zadzwoniono; pasażerowie zaczęli tłoczyć się do wyjścia. Pani Latter zapuściła woalkę i pochwyciwszy torbę, ostrożnie wymknęła się do wagonu trzeciej klasy.

Jeszcze pamiętała, że po wielu dzwonieniach i świstaniach pociąg nareszcie ruszył. Mignęło kilka latarni, zamajaczył szereg wagonów... potem już nic...

Lecz po chwili (przynajmniej tak jej się zdawało) zbudzono ją i zażądano biletu.

— Mam bilet do Małkini — odparła.

— To też właśnie odda go pani, bo już minęliśmy Zieleniec.

Wzruszyła ramionami i oddała bilet, nic nie rozumiejąc; gdy zaś zostawiono ją w spokoju — wpadła w letarg.

Lecz po chwili znowu ją ktoś zaczepił, mówiąc:

— Pani miała bilet do Małkini.

— Tak.

— Więc dlaczego pani nie wysiadła?

— Przecież dopiero wyjechaliśmy z Warszawy... — odpowiedziała zdumiona.

W wagonie ten i ów począł się śmiać... Przyszedł jeden konduktor, drugi, naradzali się... W końcu kazano pani Latter zapłacić trzydzieści kopiejek i powiedziano jej, że wysiadzie w Czyżewie.

Znowu zapadła w letarg, i znowu ją zbudzono. Ktoś wziął ją za ramię i wyprowadził z wagonu, ktoś inny podał torbę, zdaje się nawet, że ten człowiek który z rodziną jechał do Grodna. Potem pozatrzaszkowano drzwi, zadzwoniono, zaświstano i — pociąg zwolna usunął się ze stacji. Pani Latter została na peronie sama, wśród nocy... Przy świetle latarni zobaczyła pod ścianą ławkę i usiadła na niej, nie troszcząc się ani tym, gdzie jest, ani — co się z nią dzieje.

Już było widno, kiedy zziębnięta pani Latter ocknęła się: przed nią stał jakiś Żyd, mówiąc, że ma furmankę, i zapytując, gdzie chce jechać. Pani Latter przywidziało się, że to przebrany Fiszman; więc zerwała się z ławki ze ściśniętymi pięściami i zaczęła krzyczeć:

— Czemu mnie ścigasz?... Nie chcę nic... ja podpisałam!...

Furman zaczął się irytować i podnosić głos. Na szczęście, wmieszał się do zatargu jakiś urzędnik, a usłyszawszy że pani Latter chce jechać do Mielnickiego, odparł:

— O, to nałożyła pani drogi... Z Małkini daleko bliżej... Ale jest tu właśnie chłop z tamtych stron, on panią odwiezie.

Rzeczywiście sprowadzono na peron chłopca, który zgodził się za dziesięć złotych odwieźć panią Latter do samego Buga — do promu.

— A byle pani siadła na prom, — mówił chłop, — to już jakby weszła do dworu: bo dwór zaraz za wodą.

— A może znacie pana Mielnickiego? — spytała pani Latter.

— Jużci, niby znam... Póki nie miało się swego gruntu, to chodziło się na robotę i do pana Mielnickiego. Niczego szlachcic, ino trochę impetyk. U niego dać w gębę człowiekowi, to jakby kieliszek wódki wypił. Fertyczny pan, ale sprawiedliwy.

— Więc jedźmy! — rzekła pani Latter, czując że ogarnia ją prawie rozpaczliwe pragnienie, ażeby Mielnickiego ujrzeć czym prędzej.

„Gdyby teraz umarł, — myślała, — zabiłabym się albo oszalałabym...”

„Prędzej, prędzej... po spokojność, po zdrowie, może po życie“...

Chłop flegmatycznie zwinął torbę z obrokiem i zaprzągnął konie do wasąga. Niewygodnie było siedzieć, wasąg trząsł, snopek słomy usuwał się spod pani Latter, ale ona nie zważała na to. Trzymając się oburącz poręczy wozu, śledziła wzrokiem mgłę, z której miał wynurzyć się dwór Mielnickiego — i ratunek.

Prędzej... prędzej!...

Mielnicki dla pani Latter skupiał w sobie wszystkie interesa życia. Alboż nie on powiedział: „Rzuć pensję od wakacji... córkę wydamy za męża, a syn weźmie się do roboty...“? Czy nie oświadczył, że gotów przeprowadzić rozwód, byle ona zdecydowała się wyjść za niego?... A czy nie on mówił: „Pamiętaj pani, że masz swój własny dom. Zrobiłabyś krzywdę staremu, nie rachując na mnie jak na Zawiszę“... Albo te ostatnie wyrazy: „To com powiedział warte jest przysięgi i nie zmienię słowa, tak mi Boże dopomóż!“...

Więc ona nie jest tułaczką, ani sierotą, ma na świecie człowieka, któremu może zaufać... A ten dom i ten człowiek są o, — tam... niedaleko stąd... Za godzinę, może prędzej, ona wejdzie do tego własnego domu, stanie przed jedynym wiernym, jedynym uczciwym przyjacielem i powie mu:

„Straciłam wszystko i teraz pukam do twoich drzwi“.

A on na to:

„Trać, byle prędzej... Kiedykolwiek zajedziesz: w dzień, czy w nocy, znajdziesz gotowe mieszkanie“...

— Moje mieszkanie, w moim domu!... — zawołała pani Latter tak głośno, że aż wiozący ją chłop obejrzał się.

„A co ja mu wtedy powiem?... — myślała. — Tak mu powiem: „Daj mi kąta, gdzie mogłabym spać dobie... dwie doby... tydzień... bo czuję, że mnie obłąd ogarnia“...”

Nagle wasąg zatrzymał się w miejscu, gdzie gościniec przecinała droga boczna. Na owej drodze ukazał się powóz zaprzęgnięty we dwa dzielne kasztany, a w powozie jakiś bardzo gruby pan, zawinięty w burkę, z kapturem na głowie. Gruby pan zapewne drzemał; jego twarzy nie można było poznać.

Woznica w piaskowym płaszczu trzasnęła z bata, konie przeleciały jak wicher i skręciły na tę drogę, którą już przejechała pani Latter od kolei.

— Po co zatrzymujecie się? — zapytała niecierpliwie chłopca.

— Bo myślałem, że to pan Mielnicki przejechał — odparł chłop.

— Mielnicki?... stój!

— I... nie, to nie on, — rzekł chłop po namyśle, — on by tamtą drogą nie jechał od siebie do kolei, ino tą, co my teraz jedziemy...

Zaciął swoje mierzyny, i wasąg potoczył się. W kwadrans później wjechali na pagórek, z którego widać było Bug.

— O, gdzie siedzi Mielnicki! — odczywał się chłop, wskazując batem.

W tym kierunku widać było szeroko rozlaną rzekę, a za nią ciemną kępę drzew jeszcze nagich, spomiędzy których przeświecał czerwony dach dworu.

— A o hańta izba — mówił chłop — to karczma u przewozu. Tam siądziecie na prom i za jedną zdrowąskę będzie pani we dworze.

Pani Latter zdawało się, że tego kawałka drogi już nie przejedzie. Chwilami porywała ją taka rozpaczliwa niecierpliwość, taki niepokój, że chciała rzucić się z wozu na gości-niec i rozbić głowę. Na szczęście przypomniała sobie, że ma jeszcze trochę wina w butelce; wypila resztkę i uspokoiła się nieco.

„Naprzód do Mielnickiego, a potem spać...“ — mówiła w duchu.

Ach, Mielnicki!... Gdyby on wiedział, ile na nim zależało pani Latter. W jego domu znajdzie chwilowe schronienie i sen, który ją od dawna opuścił. Mielnicki pojedzie do Warszawy, ułoży się z panną Malinowską o odstąpienie pensji, wytarguje co się da i spłaci dług Zgierskiego.

O, Mielnicki zrobi dla niej jeszcze więcej: on skłoni ją do zgodzenia się na rozwód z Latterem. On przytuli ją do siebie jak ojciec i będzie błagał, ażeby dla jego szczęścia nie tylko podpisała żądany akt, ale nawet ażeby przyspieszyła kroki rozwodowe. Tym sposobem pani Latter nie będzie kobietą odepchniętą, ale taką, która odrzuciła niewdzięcznika, ażeby uszczęśliwić człowieka zanego.

A gdy w ten sposób ułożą się materialnie interesa pani Latter, gdy odpocznie i uspokoi się, gdy z zatargu z mężem wyjdzie tryumfująca, wówczas Mielnicki zrobi rzecz najważniejszą: uprosi ją, ażeby przebaczyła dzieciom.

„Jakim dzieciom?... — odpowie mu pani Latter — ja nie mam dzieci!... Panna dobrowolnie zwichnęła karierę własną i brata, wypuściła z rąk świetną partię, a teraz bawi się, pływa po kanałach weneckich, śpiewa, kiedy ja za cały przytułek mam chłopską furę i pęczek słomy... A ten panicz lekkoduch i utracjusz, który od dawna skończył dwadzieścia lat a nie ma wytkniętej drogi w życiu!... Ile on mnie kosztował, ile wydarł pieniędzy już w tym roku ażeby lecieć za granicę i spłacić weksle, na których podpisywał moje nazwisko... Nie, ja nie mam dzieci“...

„No, co tam, — powie Mielnicki, serdecznie patrząc na nią, — nie ma się o co gniewać... Helenka jest dziewczyna piękna, Solski szkaradny, więc nie podobał się jej. Cóż to, wolałaby pani, ażeby twoja córka sprzedała się?... Taka perła między pannami, za którą cała okolica będzie głowy tracić... Wynajdziemy jej męża jeszcze lepszego aniżeli Solski!“...

A o Kaziu powie Mielnicki tak:

„Głupstwo! nie ma o czym gadać... Każdy młody człowiek jest lekkoduch i trwoni pieniądze, bo jeszcze nie poznał ich wartości... Ale to chłopak genialny, więc bądź pani o niego spokojna. Dam mu przez cztery lata po dwa tysiące rubli rocznie i niech się kształci; a jak zrobi majątek, to mi zwróci“.

Taką rolę odgrywał Mielnicki w marzeniach pani Latter i taką musi odegrać w rzeczywistości: jest to bowiem człowiek uczciwy i do niej przywiązany. Gdy zaś mężczyzna naprawdę kocha kobietę, nie ma dość ciężkiej ofiary, której by nie spełnił, owszem — o którą by się nie upominał jak o największą łaskę.

„A ja mu za to — myślała pani Latter z uśmiechem — będę szyła ciepłutkie kaftaniki

i będę mu gotować najśladzkie rumianki!... Bo przecież ten kochany staruszek niczego więcej nie potrzebuje, tylko rumianku i spokoju. To będzie najlepszy z moich mężów“.

W tej chwili wóz stuknął o kamicę i zatrzymał się przed karczmą, gdzie już stało kilka fur i gromadka rozmawiających ludzi.

Pani Latter ocknęła się, spojrziała w koło i usiłując skupić rozpierzchnięte myśli, zapytała :

— Co to jest?

— A przewóz jest — odparł furman. — Ino dziś w nocy woda wylała i prom zcrwało.

Pani Latter przy pomocy chłopca i karczmarki wysiadła z wozu rumieniąc się za swój ekwipaż i za otoczenie, w jakie ją zły los postawił.

„Szalona jestem! — pomyślała... — Rzucac pensję... tulać się po karczmach“...

Była dziesiąta rano. Pani Latter zapłaciła chłopcu należność i przelknięta, zawstydzona, patrzyła na odrapaną karczmę, na wózki i ludzi stojących wśród błota, a nade wszystko na ten czerwony dach, który między nagimi drzewami majaczył po drugiej stronie rzeki.

„Po co ja tu przyjechałam nieszczęśliwa?...“ — myślała.

Zwróciła się do karczmarki, już trzymającej jej torbę, i spytała :

— Pan Mielnicki tam mieszka?

— Zara za rzeką.

— A jest w domu?

— Musi że jest. Przecie święta nadchodzą, to kuźden się domu pilnuje... A jeszcze jak woda wylała...

— Ja chcę tam pojechać... do pana Mielnickiego... — rzekła pani Latter.

— Pojechać to można, ino nam prom odniosło. Ale zaraz go tu sprowadzą, tylo patrzeć...

— A mostu u was nie ma?

— Nigdy u nas nie było mostu. Tak się ludzie przewożą, na promie. Ale że nam prom dzisiaj w nocy złapało i odniosło w dół, a nasi dopiero za nim pojechali wierzchem, więc zaraz go tu sprowadzą — objaśniała karczmarka.

— Jakże będzie ze mną?

— A nijak. Poczekaj se pani na prom i promem śmignie na drugą stronę.

Pani Latter zaczęła niespokojnie chodzić, ze wstrętem unikając błota, w którym tonęły jej trzewiki.

— Czółna u was nie ma?

— Ni. We dworze to musi być, ale nie u nas.

— A kiedyż prom będzie?... — mówiła z rosnącą trwogą.

— Napóźni to na południe.

— A może dopiero wieczorem?...

— Może ta zamarudzą i do wieczora. Pojechali wierzchem, ale czyby go złapali, to nie wiadomo — objaśniała gadatliwa karczmarka.

Pani Latter znowu ziemia zaczęła się chwiać pod nogami. Bała się wejść do karczmy, bała się spojrzeć na niebo, gdyż zdawało jej się że lada chwilę niebieski lazur zacznie odlupywać się jak tynk i spadać kawałami na ziemię. W głowie jej szumiało, w oczach przelatowały błyskawice.

Karczmarka, choć prosta kobieta, dostrzegła niezwykle wyraz w twarzy pani Latter, lecz przypisała to zmęczeniu.

— Niech pani wejdzie na ten czas do izby, — rzekła, — może pani prześpi się,

może co zje, a oni nadjadą... i zaprowadziła panią Latter do swej sypialni, gdzie stały dwa wysokie zasłane łóżka i kanapka kryta perkalem.

Ściany były zawieszane obrazami treści wojennej lub pobożnej.

Pani Latter usiadła na kanapce i wlepiła oczy w jeden z obrazów, wyszyty włóczką i przedstawiający jakiegoś świętego. Z obocznej szynkowni dolatywał ją zaduch wódki, dym fajek i hałaśliwa rozmowa ludzi czekających na prom. Patrzyła w obraz i myślała :

„Malinowska już musi być na pensji, a z nią jej wspólnik Zgierski... Ciekawam, czy nie pogryzą się przy podziale łupu?... A jak musi tryumfować Howardówna!... no, teraz zaczną się jej rządy i reformy. Nad wieczorem całe miasto mówić będzie, że uciekłam, a jutro... dowie się o tym nawet ten niedołęga Dębicki... Wyobrażam sobie jego baranią minę!... Pewnie pomyśli, że Bóg skarał mnie za niego.

„Helenka naturalnie odpoczywa po serenadach, a Kazio...

„Ach, czy podobna, ażeby z tak niewinnych istot, jak dzieci, wyrastały takie straszne potwory, jak ludzie“...

Weszła szynkarka.

— Jest prom?... — zapytała pani Latter, zrywając się z kanapy.

— Jeszcze nic, ale zaraz przyjadą... Tylko co ich widać... Może pani zgotować jajecznicę?... a może herbaty z arakiem?...

— Dajcie araku — rzekła cicho pani Latter, przypomniawszy sobie, że nie ma już wina.

Karczmarka przyniosła małą faszczynę araku i szklankę. Gdy znowu odeszła, pani Latter wylała wszystek arak do szklanki i wypila duszkiem. Wstrząsnęła się; ogień uderzył jej do płuc i do głowy.

Spojrzała na zegarek : była już druga po południu.

„Gdzie się ten czas podział?...“ — myślała zdumiona. Zdawało jej się bowiem, że najwyżej kwadrans przepędziła w izbie karczmarki.

Znowu ogarnął ją niepokój, więc wyszła przed karczmę, wyglądać promu. Ale na żółtawej, bystro płynącej wodzie nie było nic widać.

Odwróciła głowę w drugą stronę, i wzrok jej padł na dach, czerwieniący między drzewami. I jakby zahipnotyzowana tym widokiem, zaczęła iść ponad rzeką, ażeby stanąć naprzeciw dworu i zobaczyć go choć z tego brzegu. A może ze dworu wyjdzie w tej chwili Mielnicki i dostrzeże ją?... Tak przecie blisko...

W ten sposób odsunęła się może o pół wiorsty od karczmy, z oczyma wlepionymi w drugi brzeg. Nagle — myślała, że się rzuci naprzód, wpław... Naprzeciw, o paręset kroków, był park, pełen starych drzew, a w tym miejscu, gdzie rzeka skręcała, pod ogromną lipą, widać było czarną ze starości ławeczkę... Nawet kora na lipie była pęknięta.

Marzenia pani Latter spełniły się. To jest park, który tyle razy widziała w swoich snach na jawie. To ów ubogi krajobraz, w którym mieszka niezgłębiona cisza, sięgająca od ziemi do nieba.

Pani Latter zaczęła biec nad brzegiem.

— Boże, — mówiła, — ześlij...

Czy oczy ją łudzą?... Na wzgórku między drzewami widać odwrócone białe czółno, a o kilkanaście kroków dalej przechodzi zwolna jakiś człowiek.

— Hej! człowieku... człowieku!... — zawołała rozgorączkowana.

Odwrócił się.

— Przyplłyn tu tym czółnem...

— Nie wolno, to dworskie czółno...

— Więc idź do dworu...

Człowiek machnął ręką i szedł dalej.

— Rubla ci dam!... Zegarek!... — wołała nieprzytomna.

Odwrócił się i zniknął między drzewami.

— Człowieku... ach, człowieku...

I rozkrzyżowawszy ręce, całym ciałem rzuciła się w rzekę.

Uderzenie i przejmujące zimno otrzeźwiły ją. Nie rozumiała, gdzie jest, lecz czuła że tonie. Rozpaczliwym ruchem wynurzyła się nad powierzchnię wody i krzyknęła nieludzkim głosem:

— Dzieci moje!...

Wtem nurt ją porwał i rzucił na dno. Przez chwilę brakło jej tchu, serce zaczęło bić, jak dzwon pęknięty, i to była najprzykresza chwila. Wnet jednak ogarnęła ją tak wielka apatia że nie chciało jej się nawet ręką poruszyć. Zdawało jej się że nie znane dotychczas siły wynoszą ją na ocean bez dna i granic, a jednocześnie — że budzi się ze snu przykrego. W gnieniu oka przedstawiło się całe jej życie, które było tylko kroplą w beznmiarze jakiegoś nieskończonego i rozleglejszego życia.

Zaczęła sobie przypominać coś, czego nigdy nie widziała na ziemi, i opanowało ją radosne zdumienie.

„Więc to tak?...“ — pomyślała.

Uczuła pod ręką gałąź, ale już nie chciała jej schwycić. Natomiast szeroko otworzyła oczy, bo zdawało jej się, że przez warstwę żółtawej wody zaczyna patrzeć na inny świat, wolny od trosk, zawodów i nienawiści.

W kilka minut później, po tamtej stronie rzeki, człowiek, z którym rozmawiała pani Latter, i jakiś drugi przyszedli z wiosłami. Zaczęli przypatrywać się, wołać; wreszcie powoli odwrócili leżące czółno, zepchnęli je na wodę i przepłynęli na tę stronę.

— Uwidziało ci się — rzekł drugi człowiek. — Tu przecie nie ma nikogo...

— Ale, uwidziało mi się!... Przecie mi rubla obiecywała... — odpowiedział pierwszy.

— Pewnie jej żal było i wróciła do karczmy... A to co?... patrz ino...

Spostrzegli leżącą na brzegu parasolkę. Szybko przymocowali czółno do krzaków i wysiadłszy, zaczęli obaj oglądać się niespokojnie. Ale, choć na wilgotnej ziemi, pokrytej zeszloroczną trawą, znać było ślady małych trzewików, osoby jednak nie znaleźli.

— Chyba potknęła się i wpadła? — rzekł pierwszy.

— Uuu!... Jezusie, Mario, cóżes ty mi człowieku narobić?... — biadał drugi. — A toć, jeżeli się utopiła, to nas będą ciągali po sądach...

— Ha, wola boska!... Płynimy do przewozu, może tak prędko do karczmy uciekła...

Popłynęli do karczmy i dali znać, że stał się jakiś wypadek z nieznaną panią. Karczmarz, karczmarka, cała gromada chłopów i bab, czekających na przewóz, rozbiegli się wzdłuż rzeki, wołali i wypatrywali, lecz nie dojrzel nic.

Dopiero koło szóstej wieczorem, gdy wrócił oczekiwany prom, dwaj przewoźnicy siedli w czółno i, płynąc w górę, spostrzegli zapiętą w krzakach nogę... Tam leżały zwłoki pani Latter, o kilkanaście kroków od lipy i ławeczki, przy których miały się spełnić jej marzenia.

Odwieźli ją do przewozu, próbowali cucić, wreszcie położyli w rowie obok gościńca. A że miała szeroko otwarte oczy i ludzie bali się, więc karczmarz nakrył ciało dwoma starymi workami.

I tak leżała cicho, z twarzą zwróconą do nieba, już tylko stamtąd wyglądająca sprawiedliwości i miłosierdzia, których nie mogła doczekać się na ziemi.

KAŚKA - KARIATYDA

Spoza chmurnego nieba zabłysło nagle kilka żółtych, niezdrowych promieni. I w tym mdłym blasku oczom policjantów i łapaczy ukazała się występująca nagle spoza krzaków postać kobieca, tak straszna nędzą i cierpieniem, tak blada tą bezkrwistą bladością trupa, że wszyscy ci mężczyźni poznali w niej od razu matkę szerniałego, martwego płodu, który szarzał wśród podartych szmat żółtawego papieru. Ale wielka musiała być nędza tej kobiety, straszny — cierpienie, więjące z jej zgarbionej postaci, przerażającym — wyraz tych oczu załawionych, wpadniętych głęboko, a wpatrzonych w przestrzeń z wyrazem bezmiernego bólu i trwogi, skoro w sercach tych ludzi, zakamieniałych i zahartowanych na wszelkiego rodzaju cierpienia, ozwała się litość i chęć dopomożenia tej nieszczęśliwej. Prawie wszyscy odwrócili głowy i spuścili oczy w ziemię, aby ułatwić Kaśce przejście, zanim komisja rewizyjna wyjdzie z pobliskiego domku. Ona postąpiła jeszcze kilkanaście kroków, wlokąc drżące nogi, taczając się jak pijana. Nie widziała już postaci mężczyzn otaczających ją dokoła. Ciemniało jej w oczach, wszystko kręciło się przed jej wzrokiem. Nagle wyciągnęła ręce i bez jęku, bez krzyku osunęła się znów na wilgotną ziemię, tuż u nóg policjanta, trzymającego na rękach trupa jej dziecka.

W tej chwili drzwi domu sąsiedniego z domkiem Sznaglowej otworzyły się, i wyszedł z nich komisarz, a za nim doktorzy. Dwóch urzędników opóźniało się jeszcze w głębi sieni, zasięgając bliższych informacji. Komisarz pierwszy dojrzał leżącą na środku drogi Kaśkę. Szybko zbiegł po schodach i stanął obok zemdłonej. Kilku policjantów zbliżyło się powoli. Komisarz porwał zimną i sztywną rękę Kaśki i szarpnął nią mocno. Obszarpane futerko zsunęło się z kobiety, odsłaniając jej nagie ramiona. Twarzy widać nie było, gdyż Kaśka leżała zwrócona twarzą do ziemi. Blade, wielkie uszy komisarza zabarwiły się różową barwą i poruszyły się wachlarzowato. Pan Rimotat zwietrzył zwierzyne i tak łatwo puścić jej nie chciał. Kto wie, podobne wykrycie może stanowić niezłą kreskę w spodziewanym awansie. Blade swe oczka przenosił bezustannie z martwych zwłok dziecka na leżącą na ziemi kobietę. Rzecz można, że szukał pomiędzy nimi jakiegoś podobieństwa i z tych dwóch nieruchomych ciał chciał wyciągnąć łącznik, jakąś spójnię, która by go zaprowadziła na dobrą drogę.

Jeden z policjantów pochylił się nad Kaśką i dotknął jej ramienia. To młode zanęzione stworzenie budziło w nim litość wielką. Zapraagnął ją ocalić, jakkolwiek wężem sobie właściwym odgadł całą prawdę.

— To jakaś pijaczka, panie komisarzu, trzeba ją wziąć do furdygi.

Ale pan Rimotat wstrząsnął głową.

Nie! ona nie była pijana ta wielka dziewczyna padająca wśród dnia białego tuż pod nogi komisji rewizyjnej i całej zgrai policjantów. Było w tym coś innego, coś wiążącego się z tym trupem dziecka, znalezionym przed dwoma godzinami w dole tuż koło cegielni. Chłopcy, bawiący się sypaniem szańców, odkryli szerniałe ciało, źle przysypane ziemią, i zanieśli owinięte w papier, tak jak znaleźli, na inspekcję policyjną, szczęśliwi że stać się mogą bohaterami dnia.

Teraz do lekarzy należy wydać wyrok, czy dziewczyna, która padła tak nagle, jest pijaczką lub istotą poszukiwaną przez tę całą zgraję mężczyzn, istotą, która w ich mniemaniu popełniła zbrodnię.

Za chwilę nadeszli lekarze i pochyliłi się nad Kaśką. Przez kilka minut trwała wielka cisza, przerywana tylko szmerem gałęzi, gnących się za powiewem wiatru. Słońce ukryło



JÓZEF SIMMLER
Portret żony artysty



JAN MATEJKO
Portret hr. Pusłowskiej

się znów za chmury, jakby zasmucone tą nędzą ludzką, którą oświeciło złotym swym blaskiem. Posępnie było i chmurno dokoła.

Nareszcie podnieśli się lekarze, i jeden z nich, człowiek siwy, o zimnym i obojętnym wyrazie twarzy, spojrzął na trup dziecka, trup smutny, bezbarwny, zmarszczony — po czym rzekł, wskazując na Kaśkę :

— To matka !

— Janic ! Janic ! — jęczała Kaśka.

Od chwili podjęcia jej przez policję ze środka drogi nie odzyskała przytomności. Odwiedzona z rozporządzenia lekarzy i władzy do szpitala miejskiego i umieszczona w oddziale położniczym, leżała nieruchoma, nieprzytomna, z twarzą pałającą, z oczyma wpatrzonymi w przestrzeń z jakąś straszną, bezmierną rozpaczą. Nie wymówiła nic więcej nad imię Jana, które powtarzała z uporem szaleńca, nadając jednak co chwila odrębne intonacje temu jękowi. Lekarze, po dość usilnej chęci ocalenia jej, odstąpili zupełnie od jej łóża. Wiele chorób skomplikowanych, groźnych zapaleń połączyło się ze sobą. Posługaczki mówiły, że pokarm uderzył Kaśce na mózg, każdy komentował jej chorobę w rozmaity sposób.

Ona przecież nie rozumiała swego stanu i leżała, wciąż jęcząc cicho, skazana na śmierć, trup za życia, jeszcze żywa, a przecież umarła. Powoli przestano się nią interesować, choroba przeciągała się, śmierć spóźniła się widocznie. Młode, silne ciało walczyło ze zgonem, nie chcąc przejść w stan rozkładu. Umieszczono ją w wielkiej sali operacyjnej, na łóżku z kółkami dla łatwiejszego usunięcia w razie śmierci. Sala ta, nie używana od dawna, wychodziła na korytarz obwodowy, łączący wszystkie sale i pokoje pierwszego piętra. Po tym korytarzu snuły się we dnie postaci młodych dziewcząt, obleczone w szare jednostajne suknie, przepasane paskiem skórzanym i kryjące swe twarze w chustki związane pod brodą. Dziewczyny te, używane do posług koło chorych, miały w swych ruchach jakąś bezcelność, coś co je odróżniało od innych kobiet i piętnowało właściwym im mianem. Chodziły wolno, jak uparte woły w jarzmie, złe, nachmurzone, tęskniąc za swobodą i rozpustą, z jakiej wyrwane zostały. Czasem pomiędzy nimi mignęła czarna suknia dozorczyńni lub gumowy fartuch dyżurnej akuszerki. Był to cały świat kobiet, przecięty tylko od czasu do czasu ciemną sylwetką lekarza, śpieszącego do sali z instrumentami pod pachą, lub czarną sutanną księdza, cisnącego do piersi puszkę z Olejami. I tylko dzwonek jęczał, wzywając od rannej lub wieczornej modlitwy lub zwiastując, że jeszcze jedna męczennica, spełniając swe przeznaczenie, odchodzi ze świata na zawsze. I tylko chwilami jęk straszny wybiegał spoza zamkniętych szczelnie drzwi, przy których, jakby na warcie, stały nosze na kółkach, oczekujące na martwe ciało, które należało do prosektorium. A był to straszny zwierz, nigdy nie nasycony, wiecznie głodny, pożądający trupów, jak hiena padliny, a szpital wypłacał mu swą daninę, rzucając mu stosy tych ciał kobiecych, wymęczonych chorobą, strasznymi cierpieniami, które przebyły. Z nadejściem nocy milkło wszystko. Szaro ubrane dziewczyny szły na górne piętra, aby tam przemruczyć litanie i pewną ilość pacierzy. Potem milcząc rozbierały się ze swych parcianych spódnic i układały się na wysokich tapczanach stojących wśród ścian bielonych.

W salach tak zwanych gorączkowych pojawiały się szare suknie sióstr miłosierdzia, które z marmurowymi kulkami w wyschłych dłoniach zbliżały się do rozpalonych i zmęczonych chorych. Chłodząc dłonie, kładły je później na płonących żarem skroniach bezprzytomnych kobiet, pełne poświęcenia, zaparcia się swojego ja — całe oddane na usługi ludzkości. Nieraz te prawdziwe anioły pochylały się dobrotliwie nad łóżem skalanej rozpustą dziewczyny, ale mała ich liczba nie zdołała nastarczyć wszystkim potrzebom. Robiły co mogły, czuwając noc całą. I była to prawdziwa modlitwa taka noc bezsenna,

spędzona wśród jęków i skarg cierpiących istot.

Po korytarzach zalegały cienie. Tylko małe lampki, wiszące u stropu, rzucały mdlawe blaski na ściany biclone, na których gdzieniegdzie czernił się krzyż drewniany. Tylko czasem wśród tej ciszy otwierały się zwolna drzwi którejkolwiek sali, i wysuwał się orszak złożony z kilku osób, niosących owinięte w prześcieradło sztywne i martwe ciało. Zwłoki te składano na noszach, do których dorobiono kółka, i ten wóz pogrzebowy posuwano cicho wzdłuż korytarza po wojłokowym chodniku. Trup przesuwiał się przed zamkniętymi drzwiami sal, żegnając się milcząco z towarzyszkami niedoli, a w bladym świetle lamp rysowały się ostre kontury wychudzonych członków, zakrytych prześcieradłem. Był to pogrzeb opuszczonych, zapomnianych nędzarek, o które nikt się nie troszczył i za którymi nikt płakać nie miał...

— Janie! Janie!

W tej pustej, ciemnej prawie sali strasznie rozlegał się jęk obłąkanej. Ona, która sama przed sobą wstydziła się przyznać do przywiązania dla człowieka, który ją zgubił, w tej strasznej chwili skonu wołała go bezustannie. Imię jego powracało ciągle na jej drżące wargi, przechodząc chwilami w przeciągłe wycie konającej samicy. Imię to zagłuszało psalmy pokutne, które próbowano czytać przy łożu tej bezprzytomnej grzesznicy, dominowało ono nad wszystkim, przytłaczało wszystko i ciągle, ciągle wzbijało się w górę, jakby oznajmiając ten wieczny tryumf mężczyzny nad kobietą, nawet w chwili ostatnich jej meczarni.

Z głową w tył pochyloną, z włosami rozrzuconymi na twardej ceratowej poduszce, z oczyma wlepionymi w przestrzeń, ten trup żyjący, ta wspaniała istota, zdruzgotana i unicestwiona dla igraszki męskiej, wołała go przecież, wołała go jeszcze!... przebacząc mu cierpienia, oszalała w swym przywiązaniu, jak pies zbity przez swego pana a wyjący za ręką, która go do krwi chłostała.

I wreszcie przyszła noc, która miała uciszyć ten jęk i kazać zamilknąć wołającym ustom. Posługaczka, czuwająca zwykle przy Kaśce, zmęczona, usnęła twardo w przeciwległym kącie sali. Kaśka więc leżała sama, opuszczona od wszystkich i tak wycieńczona tą długą walką z życiem że nie pozostawało jej więcej sił opierać się śmierci. Niepewne światło lampki migotało opodal. Reszta sali tonęła w cieniu. Kaśka leżała prawie nieruchomo, tylko ręce odzyskały nagle władzę. Zdawała się nimi odpychać coś co się cisnęło ku niej, coś widocznego tylko dla niej samej... Oczy otworzyła szeroko, a z piersi jej dobywał się jęk chrapliwy, rżący, ten ostatni oddech martwiejącego ciała.

Na twarz jej zdawała się spadać zasłona z szarej krepy, wydłużając rysy, zaostrażając nos i brodę. Wychudłe policzki wpadały coraz więcej, tworząc głębokie doły w obu stronach twarzy. Włosy nawet traciły połysk i stawały się coraz bardziej matowe, a oczy szklily się jakby emaliowaną powłoką. Wszystko zamierało powoli, szarząc się i blednąc: kobieta powoli przetwarzała się w zimną, zlodowaciałą bryłę, niezdolną do spełnienia ani dobrego, ani występnego czynu.

Nogi prostowały się same, zlodowaciałe, z wyciągniętymi stopami, już zupełnie bezwładne i zimne. Ręce tylko, wychudłe, cienkie jak ramiona szkieletu, poruszały się w powietrzu krótką chwilę. Po czym opadły na łóżko, wydłużając się wzdłuż ciała, przybierającego już bezwiednie kształt odpowiedni do włożenia w trumnę. Kaśka konała.

W pustej, ciemnej sali nie było nikogo, ona jedna żyła tu jeszcze, jeśli to życiem zwać było można. Na ścianie czernił się krzyż drewniany, występujący chwilami w migotliwym blasku lampki. Ale Kaśka nie widziała tego krzyża, nie widziała już nic zgoła.

Usta jej tylko poruszyły się jeszcze i cichy, ledwo dosłyszany szept wybiegł z jej zbiegających warg:

— Janie! Janie!

Potem pozostała już sztywna, nieruchoma, straszną zieloną bladą trupą, którego rozkład zaczyna się niemal w pierwszej chwili. Wielka i wydłużona jeszcze śmiercią, bielą pod prześcieradłem, jak olbrzymi posąg szary, kamienny, z szeroko rozwartymi żrenicami, wpatrzonymi w dal z wyrazem skargi srococej.

Szare światło poranka leniwo przedarło się przez grube szyby i oblało kamienne stoly i porozstawiane na nich narzędzia. Kilku mężczyzn w paltotach, w zmiętych koszulach, o twarzach pobladłych od bezsennych nocy, stało na środku sali, rozmawiając półgłosem. Czuć w nich było birbantów całonocnych, którzy wprost z kawiarni, od filiżanki czarnej kawy, szli do pracy, aby drżącą ręką ująć ostre narzędzia lub śrubować hermetycznie waniенki z preparowanymi częściami trupów. Nagie, wysokie ściany sali wznosiły się poważnie, ciemne, ponure. Okna, osadzone wysoko, były zakratowane, jak w więzieniu. Wzdłuż izby ciągnęły się stoly, a raczej bufety, kryte kamiennymi płytami. Każdy stół opatrzony był z obu stron rynienką blaszaną i miał przytwierdzoną olbrzymią, starą, zniszczoną, niemal cuchnącą gąbkę. Nie było to przecież właściwe prosektorium, ale sala przeznaczona dla studiów wakacyjnych i otwarta tylko podczas lata. Do tej sali schodzili się studenci, przebywający podczas wakacji w mieście, i ciągnęli dalej swe studia, zamawiając ku temu trupy w szpitalu.

Na w pół uchylone drzwi ukazywały w amfiteatrze szereg sal, utrzymanych z wzorową czystością; podłoga woskowana lśniła się jak w sali balowej, a całe rzędy szaf błyskały setkami najciekawszych okazów. I cisza była w tych salach, istna cisza zakrystyjna. Brakowało tylko woni jałowca lub mdłego zapachu kadzidła. Te potwory szare, smutne, skurczone w zbyt ciasnych słojach, te kościotrupy ustawione w pozach manekinów sklepowych, te czaszki lśniące jak marmury, kości poukładane symetrycznie, ozdobione karteczkami, słowem, to wszystko, co się zostaje z ludzi po przewalczeniu życia, szarzało w porannym świetle, straszne w swej nieruchomości, jak resztki uczt ludożerców, którzy, mięso przelknąwszy, zostawili kości swych wrogów na wieczną pamiątkę. W izbie tak zwanej wakacyjnej nie było wzdłuż ścian szaf zapełnionych „okazami“; były tam natomiast krany i ściki, wiązki szmat zastępujących ręczniki, a na stołach, na podstawkach mosiężnych, stały długie szklane naczynia, z kształtu do retorty podobne. W tych naczyniach mieniły się różnymi barwami jakieś stałe ciała, przecinane białymi nitkami. Na boku, na warsztaciku z mocnych drutów suszyła się błona opłucna rozpięta na kształt nietoperza. W kilku wanienkach za szklaną taflą, zamkniętą hermetycznie, czerwieńczyły się preparowane nogi, ręce ludzkie, moknące w glicerynie.

Mężczyźni stali na środku salki, rozmawiając ciągle. Nie śpieszyli się do pracy, opowiadali sobie anegdotki, pełni znużenia i niechęci do życia. W kącie sali szerniały, okurzony kościotrup kobiecy pochylił się, jakby słuchając tych zwierzeń miłosnych, które dziwnie rozbrzmiewały w tym przybytku śmierci. Kościotrup ten, zapomniany, zepsuty, stał już na tym miejscu lat wiele i słyszał niejedno, chyląc się coraz więcej, źle pościągany drutami, i śmiejąc się tym strasznym uśmiechem, właściwym tylko głowom. Czy ta kobieta śmiała się z nich, z tych mężczyzn, którzy w zarozumiałości swej rozpowiadali sobie wzajemnie miłosne podboje, czy ze samej siebie i z dawnej łatwowierności swojej — było to jej własną tajemnicą. Nagle rozmawiający ucichli. Poza ścianą odezwał się głos dzwonka, dobitny, czysty jak dzwonek klasztorny, wzywający na obiad lub wieczerzę. Młodzi ludzie rzucili się w tym kierunku, a ślady znużenia znikły z ich twarzy. Przetworzyli się, rzecz można, zupełnie. Ten odgłos dzwonka powoływał ich z krainy knajpiarskich miłostek do pracy i rzeczywistości.

Dzwonek odezwał się raz drugi, i jakiś szum, łoskot dał się słyszeć poza ścianą. Wówczas jeden z młodych ludzi, wysoki blondyn o szerokim różowym karku, zbliżył się ku ścianie i palcem nacisnął duży drewniany guzik.

Ściana rozsunęła się zwolna, pozostawiając duży kwadratowy otwór. W otworze tym widać było rodzaj komory ciemnej z platformą drewnianą, spuszczoną na szerokich pasach drucianych. Na platformie tej leżały dwa trupy, owinięte grubymi szarymi prześcieradłami.

Blondyn pochylił się naprzód i patrzył chwilę na martwe ciała.

— Dziecko i kobieta! — wymówił wreszcie i równocześnie wyciągnął rękę w stronę większego, pełniejszego trupa, którego kolosalne prawie rozmiary podnosiły fałdy płótna. — Kobieta! moja!

Nikt mu nie zaprzeczył prawa tej własności. Żartowano nawet. Jak to, więc nawet i umarłe chciałby wziąć wyłącznie dla siebie? Ale on nie słuchał zajęty wydobyciem zwłok z otworu przy pomocy garbatego sługi, który równocześnie z odgłosem dzwonka pojawił się w sali. Trup był niezwykle ciężki! Piękny okaz. Gdy wyprawi kości, może mieć wspaniały kościotrup w swym mieszkaniu. Ustawi go pod fotografiami kochanek, które zajmują już połowę ściany jego izdebki. Kościotrup stanie tuż pod fotografią Julii, tej bladej żony skąpego i stariego urzędnika, z którą jeździł tak często za rogatki. Będzie to pyszny kontrast. Julia, tak okrągła, mała, tłusta, dobrze odbijać będzie od wielkiego szkieletu.

Ale na cóż, u diabła, mogła umrzeć tak pięknie zbudowana kobieta?

Trup Kaśki leży już na kamiennym stole, a ręka kochanka Julii zdiera z niej szybko ostatnią zasłonę. I jeszcze raz ostatni imponuje to pyszne ciało swą wielką pięknnością, a choć oszpecone chorobą, choć wyniszczone niemal do szczytu, jeszcze resztkami dawnej świetności zadziwia obecnych. Dokoła stołu zgromadzili się niemal wszyscy studenci, nie szczędząc dowcipnych uwag, ale leżąca pomiędzy nimi kobieta nie oblewa się już więcej rumieńcem wstydu. Ona, skamieniała w swym cierpieniu, patrzy wciąż w przestrzeń szeroko rozwartymi i nieruchomymi żenicami i leży spokojna, mimo swej nagości, wśród tej gromady mężczyzn jeszcze pobladłych od nocnej rozpusty.

Dręczona życie całe jak zwierzę, wyzyskiwana moralnie i fizycznie, zdradzona, oszukana, sponiewierana, wygłodzona, ofiarowuje jeszcze wymęczone ciało swoje na potrzeby ludzkości, ofiarowuje je pod skalpel, który lada chwila zanurzy się w jej łonie.

Kariatyda!

O, tak istotnie, prawdziwa Kariatyda społeczeństwa, ta nędzna dziewczyna z ludu, ten muł roboczy w rękach kobiet, muł źle karmiony, śpiący na ziemi, dręczony dniami i nocami całymi. Bez promyka światła dźwiga ta Kariatyda całe brzemie pracy i niedoli, a gdy zapragnie być kobietą, gdy spełni posłannictwo, jakie natura jej nakazuje, rodzić swe dzieci musi w nędzy i opuszczeniu, podrzucac po rozstajnych drogach jak szczenięta, lub co gorsza, nie mogąc znaleźć środków do życia, morduje swój płód własnymi rękami.

Mężczyzna jak pies gończy ściga nieszczęśliwą, wtrącając ją dla swego kaprysu lub dla zadowolenia chwilowej żądzdy w przepaść hańby i rozpacz. A wprędce zapomina nawet rysów postaci tej, którą brutalnie zmusił do występku, waląc na jej ramiona wszystkie następstwa podobnego kroku.

Kariatyda!

Ależ to Kariatyda schowana w cieniu, Kariatyda ubrana w lachmany, Kariatyda, która wielkim głosem domaga się światła i chleba. Istota ta zajmuje wybitne miejsce w każdym domu, przebywa ciągle niemal z dziećmi, ma wpływ na ich charakter, a jest przecież tylko niewolnicą o szerokich barkach, o której cierpienie, postęпки nikt się nie troszczy, nikt się nie spyta!

Stojący przy trupie Kaśki blondyn położył rękę na nagiej piersi kobiety.

Było coś w tym ruchu z pana i władcy stworzenia, który kładzie dłoń swą na prawej własności, czy żywej, czy umarłej. Krótką chwilę patrzył na ten tors, obłany teraz promieniami wschodzącego słońca, które przez szyby okien wpływały do sali. Zdawało mu się, że widział gdzieś tę dziewczynę, że trzymał raz jeden w objęciach ten tors potężny, który teraz miał twardość marmuru.

— Widziałem gdzieś tę machinę! — mruknął, wyciągając drugą rękę po skalpel.

Tyle tylko zapamiętał z tej gorącej walki, jaką stoczył w pracowni Wodnickiego, chcąc gwałtem zadławić swą żądzę — walki, która mu tak gorące rumieńce przagnienia na policzkach wycisnęła.

Skalpel błysnął w promieniach słońca i dotknął białej piersi kobiety.

Kaśka-Kariatyda raz ostatni oddała swe ciało na usługi ludzkości.

JÓZEF WEYSSENHOFF

FALBANKA

I

z Warszawy, czerwiec.

Po naszej rozmowie w ogrodzie nie spodziewałam się, że pan nazajutrz do mnie przyjdzie. Pan taki mądry, taki zajęty, czyżby naprawdę poświęcił coś dla mnie, opuścił jaką sprawę, pomyślał o małej znajomej? Czy pan naprawdę, oprócz swych wielkich cnót i zalet, byłby jeszcze dobry? Od czasu, jak wyznałam panu swoje kłopoty i cierpienia, lżej mi w życiu. Jeszcze niedawno myślałam, że wierzyć nie można mężczyznom, ale panu znów wierzę i tak łatwo, tak słodko! Jakby pan przybywał z innego świata i ciągnął mnie w ten świat za sobą samą pięknością i wyższością słów swoich. Ja nie wiem, dokąd idę, ale ufam panu, że to, co pan chce, jest dobre, że tam, gdzie pan jest, to wyższe krainy od znanych mi krain.

Tak chciałabym umieć mówić i pisać, żeby wytłumaczyć dobrze, co się we mnie dzieje, i żeby pan, nazywając mnie dzieckiem, nie dodał w myśli: głupie dziecko. Wiem, że nie jestem mądra, ale nie chciałabym być zanadto pospolita, bo w panu zgasłby może ten opiekuńczy ognek zajęcia się mną, a ten ognek, to całe moje życie.

Sądziłam długo, że pomimo moich niebezpieczeństw mam pewne obowiązki nawet względem tego, który mi zadał tyle bolesnych ciosów, że moje smutki — to jakaś kara albo próba przez Pana Boga zesłana. Ale mi pan mówi, że obowiązki moje ustały, że przebrała się ich miara — i chcę panu wierzyć.

Czy pan tak dobrze, jak ja, pamięta ogród i zapach tych bzów o zmroku? Czy panu także było żal, że już zachodzi słońce? Wie pan, że choć minęło pięć dni, ja jeszcze jakbym czuła zapach tamtych bzów naokoło siebie. Prawda, że mam wszędzie bez w pokojach... Zgaduję, że pan śmiać się będzie ze mnie, z mojego marzenia „nie opanowanego przez intelekt“. Będę znowu wesoła, skoro pan przyjdzie, i już marzyć nie będę miała powodu, mając wszystko, o czym marzę, przy sobie — bo przecież pan zaraz do mnie przyjdzie po powrocie? To dopiero za tydzień!

Posyłam na spotkanie pana wszystkie swoje uśmiechy, takie jak pan lubi, i suknię brązową, i całą duszę „Falbanki“.

A. D.

P.S. Proszę mi nie przywozić takich dużych kosztownych pudełek, jak ostatnim razem, ani przysyłać koszów z kwiatami! Mnie każdy drobny kwiatek od pana zrobi taką samą, a może większą przyjemność — największą zaś uderzenie dzwonka podwójne, które mi oznajmi, że pan powrócił do mnie.

2

z Warszawy — październik tegoż roku.

Proszę przyjść zaraz po przyjeździe, bo mi ogromnie smutno i tęskno. Gdy cię nie widzę, już i nie rozumiem zupełnie naszej wzajemnej pozycji. Czy miałeś już odpowiedź od pana D? czy nie będzie stawiał ze swjej strony przeszkód? To przecie takie ważne, takie ważne! Ach trzeba było to już dawniej urządzić! Jeżeli on tylko się zgodzi, jest wiele przyczyn do rozwodu — mówił mi to nawet jeden mądry ksiądz, do którego poszłam. Więc chodzi tylko o jego zgodę, a on przecie nie dba o mnie, nawet nie może liczyć na mój majątek, bo znasz nasze urządzenia przedślubne. A gdy to nastąpi, mój drogi, jaki to będzie raj dla mnie, jacy będziemy szczęśliwi oboje! Bo mam pewność, że i Ty nie możesz stać się przeze mnie mniej szczęśliwym; zabiorę Ci tylko tyle miejsca w życiu ile mi go ustąpisz. Lubisz przecie swoją Falbankę i zobaczysz, że się stanie godną Ciebie, pozbędzie się nawet swoich roztargnicń i marzycielstwa, będzie dość śmiała i dość rezolutna, aby się pokazać przy twoim boku i wstydu Ci nie uczynić. Rozumiem, że tylko dobroć twoja mogła Cię skłonić do tych upragnionych naszych zamiarów. Rozumiem, chociaż mi tego nie mówiłeś, że mógłbyś pojąć za żonę osobę bogatszą ode mnie, ze sławniejszej rodziny, piękniejszą. Ale muszę się trochę pochwalić. Piękniejszą nie będę, ale przecie lubisz mnie taką jaka jestem. O pieniądze nie dbasz. Dbasz o nazwisko swoje, o „dobrą krew“ i o „wiele pokoleń cywilizowanych“. Ja nie jestem z twojej sfery, ale czy wiesz, mój drogi, że my mamy dokumenty rodzinne od r. 1300 w Lubecie, Bremie i Gdańsku? Mój ojciec pokazywał mi naszą genealogię: są w niej burmistrze i doktorowie praw i uczeni. Jeden z nich był na dworze Karola V. Jeden napisał jakieś bardzo rzadkie dzieło, bo je spalono na rynku w Gdańsku, ale to był dobry człowiek i syn jego wrócił znowu do Gdańska. Nawet podobno moglibyśmy mieć szlachectwo, tylko ojciec mawiał, że świeży szlachcic nie wart starych Falbów z Lubeki. Ja wiem, że to wszystko nie ma porównania do twojej rodziny i tytułów, ale i ja nie pochodzę z gminu, bośmy nigdy nie byli biedni, ani zupełnie ciemni. Piszę Ci to wszystko, bo powiedzieć bym nie umiała.

Nic stąd ciekawego nie mam do doniesienia. Jesień jest smutna, nie widuję prawie nikogo. Było u mnie paru twoich przyjaciół; przyjechałam tylko Freda, o którego dbasz więcej i częściej go do mnie zapraszasz. Ten mi opowiadał różne historie, zapraszał na różne wyprawy, na które nie poszłam. Naturalnie, że nic mu z naszych drogich projektów nie wyjawiałam.

Mój ukochany, moje szczęście! Przyjeżdżaj jak najprędzej — oby z tymi upragnionymi wiadomościami, których oczekuję prawie tak jak Ciebie. Nie — Ciebie jednak więcej.

A.

P.S. Spal ten głupi list po przeczytaniu.

Chociaż mi nie wolno być romantyczną, muszę czasami. Pozwól raz jeszcze. Jaki to był piękny sen — nasz krótki pobyt tutaj — za krótki — i ta prześliczna wycieczka do Hiszpanii! Czy Ty czułeś tę prostą a tak silną rozkosz dzielenia ze sobą wszystkich wrażeń i zajęć, tych wschodów i zachodów, tych śniadań i obiadów, tej kawy w naszej kochanej łódzkiej, pachnącej dziwnymi kwiatami, z widokiem na morze? Mało mówiliśmy o tym, bo nam było tak dobrze! Ale teraz, kiedyś odjechał, cały kraj się zastonił czymś czarnym. A przecież pogoda jest cudowna i kwiaty pachną tak samo!

Mój drogi, mój mistrzu! Ja nie mogę być sama i daleko od Ciebie. Chociaż wiem, że się wkrótce zobaczymy, już przez te kilka dni rozłączenia nie daję sobie rady z własnym sercem i sumieniem. Że mi przeznaczono być twoją — to czuję w głębiach serca — ale czy to dobrze? tego nie mogę zrozumieć. I trwoga mnie bierze gdy się oddalisz. Mam nadzieję, że już wkrótce, że jeszcze tego lata wszystko będzie urządzone i nie będę się rumieniła, przechodząc przed tą tablicą — wiesz? — gdzie zapisana jestem pod twym nazwiskiem.

Twój umysł, wolny od przesądów, podtrzymuje mnie. Kiedy mówisz, że wspólna wola nasza jest największym prawem, wierzę Ci. Ale gdy Cię nie ma, moja słaba głowa nie wystarcza mi do uspokojenia. I nawet tu, gdzie nikt nas nie zna, dlaczego kryliśmy się z wielu rzeczami? Tu przecie jest Europa i jak sam mówisz, ludzie dawno przestali troszczyć się o cudze metryki ślubne. A jednak unikaliśmy większych zebrań, możliwych spotkań...

Za dziesięć dni jak kazałeś będę w Paryżu. Ponieważ mówisz, że tamto moje mieszkanie na podobno zewnętrznej łódzkiej na Pola Elizejskie, jak nasza tutejsza, kupiłam wszystkie meble z tej naszej, nawet klatkę z papugą i serwis do kawy i wszystkie graty. Zdarli mnie trochę za to, ale myślę, na co przyjemniejszego mogłabym wydać swoje pieniądze? Zresztą, jeżeli będziemy mogli już oficjalnie zamieszkać w Paryżu na zimę, wszystko się przyszy. Proszę Cię jeszcze o jedną rzecz, bardzo, bardzo: *nie kupuj nic* do mego mieszkania. Gdy zupełnie uregulujemy naszą pozycję, wtedy. Może to przesąd, ale już pozwól że przy nim pozostanę.

Posyłam Ci cały mój światek serdecznych myśli, które musisz czuć czasami naokoło siebie, bo chodzą za tobą wszędzie.

Mój drogi! nie zostawiaj mnie dłużej w niepewności i smutku! Przecie już nie ma żadnych między nami przeszkód, skoro pan D. odpisał mnie samej z Chicago i nawet przysłał potrzebne papiery. Więc ty się wahasz? więc nieszczerzy byłeś ze mną, a może zmieniłeś już serce dla mnie? Jeżeliś nigdy nie miał stałych postanowień, dlaczegoś to mówił? Dlaczego mi otworzyłeś ten bolesny widok na kraj, w którym nigdy nie będę? Wiesz, jak twoją jestem i jak Ci szczerze ufałam, jak ufam ciągle jeszcze, bo żyć bym nie mogła inaczej.

Błagam Cię, mów mi przynajmniej po prostu, co myślisz. Należy mi się to. Choćbym miała usłyszeć rzeczy okrutne, wolę, niż nie wiedzieć, wolę, niż wątpić o Tobie. Mój najdroższy, mój kochanku i panie! zrób to dla mnie — odkryj duszę swoją całą. Nie obejmę jej, nie zrozumieć zupełnie, jednak Ci jej nie zasmucę, ani splanuję, ani wyzyskam

dla siebie. Daj mi to wrażenie, że jestem Ci towarzyszką godną zaufania, nie zabawką tylko, nie tylko tym dzieckiem, jak zawsze mnie nazywałeś. Ja już nie dziecko — i czuję i kocham i cierpię tak głęboko. Spójrz na mnie...*)

5

Warszawa — wrzesień 189 .

Nie masz prawa tak się ze mną obchodzić. Wolałabym, żebyś mnie uderzył. Po co obiecujesz, że przyjdiesz, kiedy jesteś na obiedzie u tej pani? A dzisiaj widziałam cię sama, na własne oczy, jak jechałeś za rogatki, i wiem dokąd — a ta pani była tam, wiem także na pewno. Ja o niej nie mówię nic złego, bo jej nie znam, ale wiem, jaki ty możesz mieć wpływ na kobietę. Jedna rzecz należy mi się chyba od ciebie — pewne względy za wszystko, co dla ciebie poświęciłam. Może tego nie cenisz com poświęciła, ale zrozumiesz chyba, że jestem nieszczęśliwa od dawna i przez ciebie. Przyjdź do mnie zaraz, chociażby była noc.

6

Warszawa — dwa dni po poprzednim.

Mój najdroższy! Przebac mi tę kartkę przedwczorajszą — byłam tak rozżalona i taka samotna i aż mnie serce bolało naprawdę, bolało w piersi. Niestuszenie cię posądzałam, nawet mnie już uspokojono pod tym względem, ale równie mi źle, tylko słabiej jeszcze i smutniej. Nie mam prawa do wymówek, nie będę już nudziła — tylko nie gniewaj się już, przebac i przyjdź.

Doniesiono mi wieści krążące o mnie, tak bolesne, że musimy je rozpatrzyć. Ty poradzisz i obronisz mnie — chociaż, niestety, mają prawie rację!

Przyjdź dzisiaj, zaraz. Choćbyś miał jaką robotę albo wizytę, porzuć dzisiaj dla mnie. Wyobraź sobie, że umieram. Przecie rzuciłbyś wszystko, gdybyś umierała. A doprawdy, że potrzebuję twej rady i pomocy, jak nigdy jeszcze...

7

Warszawa — Wielkanoc r. 189 .

Kiedy mi pan napomknął tylko, że chce się ze mną rozmówić gdzie indziej, niż u państwa T., zgodziłam się — miałabym nawet bardzo wiele rzeczy do powiedzenia. Ale kiedy liścik pana dzisiejszy uprzedził mnie, że mam przyjść na obiad do restauracji, od razu wydało mi się to niemożliwym. Jednak wahałam się i dlatego odpowiadam tak późno. Nie mogę. Udać się do naszej starej przyjaźni, która nie wygaśnie przecie nigdy — i proszę osądzić, czy ja mogę to zrobić? Choć wiem, że to nie grzech sam przez się, jednak pozory będą takie złe, przypomną dawne czasy... A gdyby pani A. dowiedziała się o tym? Ale to nawet nie główny powód.

Pisze pan, że będą starzy znajomi. Cóż bym ja między nimi robiła? Nie ma już we mnie nic prawie z dawnej kobiety; zdaje mi się, że już bym się nawet nie potrafiła ubrać, ani rozmawiać po dawnemu; nudziłabym was, a dla mnie to przypomnienie byłoby

*) Długa przerwa w korespondencji. Widać z następnych listów, że pani D. znajdowała się prawie ciągle za granicą z Podfilipskim.



LEON WYCZÓLKOWSKI
Portret pani Falińskiej



TEODOR AXENTOWICZ
Dama w czerni



WŁADYSŁAW CZACHÓRSKI
Przed lustrem



WOJCIECH KOSSAK
Portret



ANNA BILINSKA
Portret własny

prawie przykre. Pana jednak chcę jeszcze zobaczyć, nawet koniecznie, ale nie w restauracji.

Pan przecie sam mi mówił, że trzeba zmienić dawny tryb życia, choćby tylko dla pozycji mojej towarzyskiej, pan sam wynalazł dla mnie to zajęcie i to kochane towarzystwo swej bratowej. Nie zechce pan, abym narażała swój drogi spokój, o który i tak już drzę czasami. Z całej naszej przeszłości, ten jeden dzień, w którym mi pan oznajmił o wynalezieniu dla mnie zajęcia, pozostał mi jasny i błogosławiony. Wspomnienia innych dni zamierzchły trochę, i już ich nie rozumiem dobrze. — Jak to panu doniosłam, pani A. jest mi nowym wzorem powołania kobiety; nie śmiem ją nawet nazywać przyjaciółką, bo o tyle wyższa ode mnie, choć tak nieskończenie dla mnie dobra. Ta pani—to moje zbawienie, nie tylko pozycji, ale i duszy. Niech się pan nie śmieje ze mnie.

.

Panie!

Wie pan, co się stało? Pan to wie i pan to zrobił, żeby mnie w Warszawie znów zatrzymać. Dzisiaj jestem już tego pewna. Czemu pan wyjechał nagle z Warszawy w ten straszny dla mnie dzień? Dlaczego mnie wtedy nie obronił i dotychczas nawet nie przemówił za mną?

Nie czynię panu wyrzutów, bom sama powodem swoich nieszczęść i sama jestem ciężko winna przed sobą — nie przed panem. O jedną tylko rzecz proszę dzisiaj, o rzecz, która przyjdzie panu łatwo, bo teraz wiem, że pan naprawdę nie ma serca — proszę zapomnieć o mnie na zawsze.

Jeżeliby pańskie sumienie było zafrasowane o mój los, proszę je także uspokoić, bo los mój jest w moim ręku i Opiekunki, która nie opuści mnie. Jej wierzę. Straciłam jej codzienne towarzystwo, ale zniosę i to, bo jestem już inna, niż ta, którą pan znał — silniejsza.

Zegnam pana, nie mogę go już błogosławić, jak dawniej, ale modlić się za pana będę.

IGNACY DĄBROWSKI

FELKA

24 lutego.

Najdroższa moja mamo!

Jużem trzy razy zaczynała ten list, ale co zaczęłam, to się tylko splotała okropnie i w żaden sposób nie mogłam skończyć. Ja wiem, że źle zrobiła, bardzo źle, mamo, i dlatego tak mi strasznie przykro. Że mama się będzie na mnie gniewała, albo mnie jeszcze przeklnie, to już jestem na to zupełnie przygotowana i tylko czekam maminiego listu, a potem to albo się chyba utopię albo już nie wiem co zrobię. Nic a nic nie będę się usprawiedliwiała. Trudno — stało się... i choćbym nie wiem jak to mamie opisywała to zawsze tak samo wyjdzie. Ale ja mamie wszystko szczerze opowiem, jakbym samemu księdzu na spowiedzi mówiła. Niech już mama wie lepiej od razu.

Bo, widzi mama, w tę niedzielę on znowu przyszedł do kościoła i czekał na mnie. Romana była jeszcze trochę chora, więc w domu została. Obiady mieli mi nie zostawiać, bom powiedziała, że idę do Zawadzkiej i że wcale nie przyjdę. Ale potem przyszedł — zaraz mama zobaczy, dlaczego.

Jakżeśmy wyszli z kościoła, myślałam, że znowu pójdziemy na spacer, jak wtedy ; ale on się zaczął skarżyć, że ma jakiś pilny interes i że musi koniecznie być gdzieś na 2-ą godzinę. Strasznie mi się zrobiło żal, bom sobie cały tydzień układała jak to będzie — ale naturalnie nic nie mówiła i poszliśmy do domu. Ciągle sobie myślałam, co to pani Skrodzka powie, bo z pewnością obiady dla mnie nie było. Dopiero przed samym domem on zaczął mnie się pytać, czy gdzie nad wieczorem nie wyjdę. Byłabym na pewno gdzie poszła — więc powiedziałam, że chcę się trochę przejść po Krakowskim Przedmieściu. Widzi mama, ja muszę się tak od czasu do czasu przejść trochę, bo jak długo nie widzę nic nowego na ulicy, to zupełnie nie wiem jak suknie ubierać. Niby to z żurnalu można, ale zawsze to nie to co się widzi.

Jak on się dowiedział, że wyjdę, zaczął mnie strasznie prosić, żebym mu powiedziała, o której godzinie, bo on chce się ze mną spotkać. Tak mnie ogromnie prosił, że żeby to nie było na ulicy, byłby mnie z pewnością w rękę pocałował. Więc mu już powiedziałam.

Prawda, mamó, że to jeszcze nic takiego złego? Przecież to zupełnie to samo, jakbym z magazynu wyszła i z nim do domu wracała. Sama mama powie, że to wszystko jedno — widzi mama. Mnie się tak samo zdawało. A tymczasem właśnie to było najgorsze — z tego wszystko poszło. Ale skąd ja mogłam wiedzieć, co z tego wyjdzie? I poszłam naturalnie.

Chodziliśmy bardzo długo, i on był taki dla mnie dobry, taki troskliwy, żem się raz mało nie rozplakała. Głównie mówił, że jest mi strasznie wdzięczny za to, że tak mu ufam, i kilka razy powtarzał, żebym zawsze taka była. Ja sama nie wiedziałam co jemu odpowiedzieć. Byłam ogromnie szczęśliwa i uradowana — ale ciągle łzy miałam w oczach. Potem zaczęliśmy o innych rzeczach mówić i już było weselej.

Teraz to już nie wiem dobrze, jakim sposobem on zaczął o tym teatrze mówić. Tak ni z tego ni z owego powiedział, żebym z nim do teatru na „Damię Kameliową“ poszła. W pierwszej chwili nadzwyczajnie się ucieszyłam, przyznając się mamie, bo mnie to jakoś raptem zaskoczyło i nie mogłam się dobrze zorientować. Ale się zaraz spostrzegła i trochę obraziłam. Chciałam mu powiedzieć, że to do niczego nie podobne, ale w żaden sposób nie mogłam. Mogłby się jeszcze obrazić, a on przecież tylko z dobrego serca mnie prosił. Więc nic takiego nie powiedziałam, tylko mu podziękowała grzecznie.

Ale mama myśli, że z nim to tak łatwo! Jakby sama mama była na moim miejscu, to by z pewnością także nic nie zrobiła. Już ja go znam : jak się uprze, to żeby tam nie wiem co, musi na swoim postawić. Idziemy, idziemy i ciągle się sprzeczamy : ja mówię, że nie pójdę, a on mówi, że pójdziemy.

Troszeczkę, troszeczkę, wie mama — trudno, muszę całą prawdę powiedzieć — to chciałam iść. Tylko mi mamy strasznie bała. Więc ciągle byłam obrażona i prosiłam go, żeby mnie już nie prosił. Powiedziałam mu nawet, że to nie ma żadnego sensu, ale on mnie zupełnie nie chciał słuchać. Ogromnie się sprzeczałam, jak Bożię kocham, ażem sobie pomyślała, że to może nieprzyzwoczicie.

W żaden sposób nie mogę teraz pojąć, jakeśmy się naraz pod samym teatrem znaleźli. Ale to on widać, mamó, tak mnie nieznacznie prowadził (bośmy szli pod rękę), a ja nic a nic o tym nie wiedziałam. Ciągleśmy się sprzeczali, i dlatego zupełnie nie wiedziałam, dokąd idę. Dopiero jakeśmy stanęli przed teatrem, przekonałam się, że sobie nie dam rady i że będę musiała iść. Bo co ja miałam, moja mamó, zrobić? Ludzie ciągle

chodzili i na nas się oglądali, że stoimy, a on w żaden sposób nie chciał iść dalej w ulicę, tylko do środka. Nawet zdaje mi się, że mam pannę starszą zobaczyła z daleka. Co ona by sobie pomyślała, jakby mnie tak samą z nim pod teatrem spostrzegła? Uciekłam prędko do środka, a on zaraz do kasy podszedł. Chciałam jeszcze raz powiedzieć, że za nic nie pójdę, ale już było za późno, i zamiast tego powiedziałam, żeby tylko jakie niedrogie miejsca kupić.

Potem wyszliśmy jeszcze trochę na plac, bo było za wcześnie, i z kwadrans spacerowaliśmy po skwerze. Byłam okropnie zgryziona. Ciągle sobie myślałam, co to mama na to wszystko powie i jak ja się z tego pani Skrodzkiej wytłumaczę. Ale nie było już żadnego ratunku. Jak bilety kupione, to przecież nie mogą się zmarnować. Takim się strasznie martwiła, że mi aż chwilami przychodziło do głowy, po co ja się tak martwię? Myślę sobie: jak muszę iść, to muszę, i choćbym nie chciała, to pójdę; więc po co się mam tak gryźć? Ale byłam ogromnie czegoś niespokojna.

Siedzieliśmy w krzesłach, tak może w 15-m albo 20-m rzędzie. Zaraz zajrzałam do afisza, bośmy nieli oddzielny afisz, i dowiedziałam się, że takie miejsca to co najmniej po osiem złotych. Z tego może się mama przekonać, jak on mnie uważa. Zaczęłam się trochę rozglądać po teatrze, ale nikogo nie spotkałam i nikt mnie nie widział.

Dramat był prześliczny. Nawet dziwię się że na afiszu nie napisali, że to sztuka oryginalna, bo była bardzo oryginalna i zajmująca. Ta dama kameliowa to, wie mama, taka sobie, ale nie bardzo, tylko trochę, bo się w niej zaraz w pierwszym akcie jeden Armand zakochał. On był wicehrabią, więc się w żaden sposób nie mogli pobrać. Wreszcie była jeszcze jakaś siostra, która wcale na scenie nie występowała, i to ona właśnie chciała koniecznie wyjść za męża, a przez to nie mogła. Wtedy Maria zaczęła udawać, że jest jeszcze gorsza, a on myślał, że to prawda, i rzucił w nią kartami. Zrobiło się okropne zamieszanie, ona się rozchorowała i w ostatnim akcie umarła na suchoty. Bardzo dużo osób płakało. Jak umierała miała na sobie biały peniuar koronkowy z długim trenem i kontrafałdą z tyłu, wolno puszczony od samej szyi. Ze zwyczajnej brylantyny to by to nawet nie tak dużo kosztowało — i pewnie sobie taki sam na rano zrobię, jak za męża wyjdę.

Ach, mój Boże! ja tu o takich rzeczach piszę, a mama pewnie już się na mnie zaczęła gniewać. Niech mama nie myśli, mam, że ja o mamie nie myślałam. Co antrakt przyszedł to mi się tak martwiła, że aż on mnie musiał uspokajać i ciągle mi mówił, że mama się nic a nic nie będzie gniewała. Za każdym razem mnie zapewniał. Ale ja czułam, że to mi tak nie ujdzie. Dramat był taki śliczny, a ja się zupełnie nie bawiłam, bo com sobie tylko o mamie przypomniawszy, to jakby mnie kto po sercu nożem krajał. O panią Skrodzką już mi wcale nie szło. Poradziłam sobie od razu i takem obmyśliła, że jej powiem, że mnie u Zawadzkich zatrzymali. Nic się nie gniewała, mam, tylko powiedziała, że to dosyć późno tam się goście rozchodzą. Nawet mi kolacji nie zostawiła — taka była pewna, że późno przyjdę.

Zaraz po teatrze poszliśmy do cukierni na czekoladę. Żeby nie ten teatr, nigdy bym nie poszła — ale myślę sobie: jak już tyle się zrobiło, to co pomoże, czy ja pójdę do tej cukierni, czy nie pójdę? I poszłam. Byłam zupełnie zdesperowana i coraz to sobie powtarzała: trudno, już teraz nic gorszego nie zrobię, a mama, czy tak, czy tak będzie się na mnie gniewała, to niech już będzie od razu i za czekoladę. Nawet się trochę uspokoiłam i zjadłam dwa ciastka z kremem. Ogromnie mi się jeść chciało, bom nic od obiadu nie jadła, a że przedtem powiedziała, pamięta mama, że na obiad nie przyjdę, więc wszystkiego mniej ugotowali i bardzo mało jadłam. On mnie ciągle zapraszał, żeby więcej jeść, ale ja nie chciałam, bo to jakoś nie wypadało: podali same takie podziękowania, a z czekoladą to i tak dużo wyniosło. Myślałam, że sobie po drodze serdelek

na Senatorskiej kupię, ale już było zamknięte i poszłam głodna spać. Całą noc tylko o tym myślałam, co to mama na to wszystko powie i jak ja to mamie opiszę. Dopiero nad samym ranem zasnęłam.

Teraz już mama wszystko wie. Nic a nic nie usprawiedliwiam się, bo co to pomoże? Jestem zupełnie zdecydowana. Co tylko każe mi mama zrobić, wszystko zrobię, na wszystko się zgadzam. Wcale nie mówię, że jestem niewinna; jestem okropnie winna i nie wartam, żeby mnie mama dłużej za swoją córkę uważała. Tylko co bym ja bez mamy robiła?

Pojutrze, akurat o tej porze jak mama list odbierze, pójde się pomodlić do kościoła, żeby mamę Matka Boska natchnęła. Ja się już o nic u mamy nie proszę, bo co tam, moja mamó! Jak Matka Boska da, tak będzie. Obiecałam sobie na tę intencję cztery piątki suszyć. Tylko niech mama pamięta, że ja mamę bardzo, bardzo kocham.

Felka.

STEFAN ŻEROMSKI

BIRUTA

Pod cieniem grabów, otoczona książkami, siedziała na kamiennej ławce — „Biruta“. Była to jedna z lepszych uczennic klasy siódmej gimnazjum żeńskiego, panna Anna Stogowska, zwana „Birutą“. Ojciec jej był lekarzem wojskowym, a w całym mieście sławnym karciarzem i łobuzem. Kończąc kursy lekarskie w petersburskiej akademii chirurgicznej, zaprowadził był romansik z córką czynownika, u którego mieszkał, i zmuszony został do ożenienia się z ofiarą swych zapalów. Wkrótce po ukończeniu studiów otrzymał miejsce lekarza przy pułku piechoty, konsystującym w Klerykowie. Zona powiła mu kilkoro dzieci. Najstarszą z nich była właśnie panna Anna. Dzieci te, jako zrodzone z matki prawosławnej, chrzcilił pop, a szkoła zaliczała do gromady Rosjan. Lekarz Stogowski nie był w gruncie ani złym, ani głupim człowiekiem, ale wrodzona lekkomyślność podwoiła się i potroiła w nim na widok skutków, jakie wynikły z jednego nierozważnego uczucia. Jakby dla zapomnienia o domu, o żonie i dziedzictwie prawosławia — pił i grał w karty.

Stokroć nieszczęśliwszą w tym stadle była żona. Osiadłszy w Klerykowie, przez miłość dla męża wyuczyła się języka polskiego tak dokładnie że nie zdradzał jej nawet akcent cudzoziemski — a nadto uczyniła ten język panującym w domu. Po upływie lat, gdy się rozczytała i rozpatrzyła w okropnych dziejach ucisku, stała się Polką z prawego sumienia, każdy nowy cios, zadany nieszczęśliwemu narodowi, dziesięćkroć czującą. Ani jeden z Rosjan, urzędujących w mieście, nie miał prawa wstępu w próg jej domu. Co więcej, zerwała wszelkie węzły z rodziną, spaliła wszelkie mosty, wypowiedziała własnej nacji wojnę scytyjską. Uczyniła to bez wahania, posłuszna wewnętrzznemu głosowi sprawiedliwości, ale życie swe przez to samochcąc zepsuła, a radość, zadowolenie i spokój z rozorieniem żen wyrwała.

Nie było z pewnością w mieście Klerykowie drugiej kobiety, która by postępowała w sposób równie obywatelski, jak pani Stogowska, która by każdy krok stawiała tak rozumnie, tak rozważnie i tak śmiało, ale nie było tam ani jednej, która by żywiła w sercu podobnie bezbożny wstręt do tego świata, do jego urządzeń i do samego życia.

Jedynym krajem, gdzie myśl jej mogła na chwilę wychnąć, były wspomnienia czasów dzieciństwa, ale tam zakazała sobie chodzić. Czuła przecie, że główną przyczyną upadku męża jest ona, i to dlatego jedynie że jest Rosjanką.

Gdy się stała Polką i wydarła ze siebie wszystko co rosyjskie, do reminiscencji i aż upodobań, przychodził pop i zabierał dzieci, aby je uczynić Moskalami. Miłość dla męża, nie wiedząc jakim sposobem, stawała się źródłem zła; dzieci, urodzone z tej miłości, przychodziły na świat ze stygmatem przekleństwa. Byli to wrogowie ich ojca, wrogowie jej samej, wrogowie samych siebie. Pragnąc zniweczyć i zmasać ten straszliwy grzech pierworodny, dokładała wszelkich starań żeby uczynić z nich Polaków, sączyła w ich dusze nienawiść do tego wszystkiego co w tajemnicy kochała przecie, a mimo wszelkie trudy czytała codziennie w oczach męża wyraz wiecznego i głuchego żalu...

Nadszedł czas że życie stało się dla niej katuszą nie do zniesienia. Załagł się w sercu skryty jad, tęsknota za czymś, a Bóg wie za czym, tęsknota, jak pies nienasycony, wiecznie gryząca. Nie było takiej kryjówki, takiego zaułka i schowania w duszy, gdzie by się przed nią skryć można. Jak mała i słaba mucha, która lekkomyślnie siadła na żelaznych szybach i pod kołami lecącego pociągu straciła skrzydła i nogi, wlokła swe życie, ze zmiażdżonym sercem, ciągle pelzając wzdłuż tej samej drogi.

Aż do śmierci...

Rozchorowała się na zapalenie płuc i prędko zgasła, przeżywszy ledwie lat trzydzieści parę. Panna Anusia, najstarsza córka, była wówczas kozą czternastoletnią. W ciągu ostatnich lat życia matki była ona jedyną jej powiernicą, ucieczką, wspomnieniem. Nic też dziwnego, że wzięła po niej cały spadek duchowy. Już w klasie trzeciej panna Anna wiedziała, jakich to pociech dostarcza przymusowa religia i co znaczy miłować ucisk, czcić niedolę, które on sprawił. Wiedziała, że nigdy nie wyjdzie za mąż, bo czyby poszła za Rosjanina, czy za Polaka — zawsze ją czekał los matki. Sama, nie żywiąc żadnych wspomnień rosyjskich, chowana wśród ciągłych gwałtów sumienia, między nienawiścią i umiłowaniami na śmierć i życie, w samym ośrodku tej tragedii rodzinnej, już we wczesnym dzieciństwie stała się służebnicą narodowej nędzy. Do pierwszych, do przedwczesnych uczuć jej przywarła zemsta za matkę i nadała wszystkim strzałom pragnień i marzeń grotę i ostrze stali. Myśli dziewczeczki wyrosły na zatraconym, nieziemskim gruncie, jakby drzewka, trawy i kwiaty na niedostępnej skale. Stamtąd, z tej wyniosłości, dziecięcymi oczyma patrzyła na świat samotna i do nikogo niepodobna na ziemi. Koleżanki przezwaly ją „Birutą“, gdyż nigdy nie śmiała się oczyma do chłopców, przysięgła na zawsze zostać dziewicą i czemu innemu, jak mówiła, poświęcić życie. W gimnazjum musiała chodzić do cerkwi i nosić miano Rosjanki. Ponieważ usiłowała nie spełniać przepisów rytuału, a bunt czyniła ciągle, jawnie i cicho, więc stosowano do niej rozmaite kary, grożono wydaleniem ze szkoły i odwolywano się do współdziałania rodzicielskiego. Pod grozą dr Stogowski, którego interesy szły wiecznie kiepsko, a od śmierci żony całkiem źle, sam, wbrew chęci i woli, ze łzami namawiał córkę do posłuszeństwa. Wszystko to przesycalo młodą jej duszę grozą i wstrętem. Z biegiem lat ustaliły się rzeczywiste jej zasady, jako składowe a czynne części weszły w charakter, stały się usposobieniem i nałogiem. Panna Anna dużo czytała i pod ławą szkolną niejako zdobyła wykształcenie daleko szersze, niż sądzono. Była nieufna, zamknięta w sobie, milcząca i nieprzystępna.

Teraz po śmierci matki wzięła w swe ręce zarząd domu i opiekę nad młodszym rodzeństwem. Trzech braci kształciła w gimnazjum męskim, dwie młodsze siostryce w żeńskim. Czuwała nie tylko nad ich pokarmem i nauką, ale także robiła to samo co matka, to jest uczyła ich nienawiści do ducha moskwicyzmu. Jednakże między podszeptem jej i matki była różnica. Tamta czyniła swoje, jak szlachetny człowiek, który, mocując

się ze słabością sił, pełni obowiązek ; ta sprawowała go inaczej, a w taki sposób, jakby „nóż ostrzyła tajemnic“...

Borowicz zakochał się w pannie Annie przy końcu zimy. W dzień mroźny i śniegowy szedł w stronę gimnazjum i spotkał panienkę, zdążającą do cerkwi. Było to w epoce najzjadlejszych dysput i czytań u Gontali. Borowicz spojrział przelotnie na idącą, odniósł w roztargnieniu jak gdyby dawne, martwe, rusofilskie wrażenie : — ach, to ta... „Birutka“ — i nagle przypomniał sobie, co mu o niej mówiono. Skręcił na miejscu i włókł się za nią. Biruta szła wolnym krokiem. Śnieżynki, lekkie jak puch, płynęły w powietrzu i krążyły dokoła jej głowy, ubraniej w barankową czapkę. Jedne z nich siadały tajemnie na promieniach jasnych włosów, wymykających się spod czapki, inne obcesowo pędziły do ust różowych i za tę śmiałość świętokradzką konały w gorącym oddechu, jeszcze inne, czepiając się brwi i długich rzęs, zaglądały w smutne oczy. Borowicz 'az tylko w nie spojrzal, i wnet zleciało na niego jakby wśród widnego dnia wypadające zaćmienie słońca. Te duże, lazurowe źrenice, co udzielały nawet białkom nikłej półbarwy błękitu, wcieliły się w jego duszę...

„Biruta“ nie bywała nigdzie, u żadnej z koleżanek, gdyż wszystek czas wolny pochłaniała jej praca domowa i korepctycja z siostrami. To też Borowicz nie mógł się z nią zapoznać, chociaż dokładał w tym celu starań forsownych niemało. Czasami widywał ją na ulicy, gdy szła ku domowi, albo do gimnazjum w towarzystwie młodych „Stogówek“. Wtedy przez krótkie chwile radości mógł na jawie uwielbiać jej twarz precudną i podziwiać oczy, w których mieszkala wieczysta chłodna troska. Pewnego razu otrzymał z rąk jednej fertycznej siódmoklasistki sztambuch do wpisania wiersza pamiątkowego. Niedbale przerzucał kartki tego albumu, z ironią odczytując drewniane sentymety gimnazistek, gdy wtem rzucił mu się w oczy wierszyk, pisany ręką panny Stogowskiej. Borowicz zerwał się na równe nogi i drżącymi ustami czytał tę strofkę :

*I kiedyż uczynim, swobodni oracze,
Lemieszę z pałazgy skrwawionych ?
Ach ! kiedyż na ziemi już nikt nie zapłacze,
Prócz rosy łak naszych zielonych ?...*

U dołu stronicy mieścił się następujący przypisek :

„Droga moja, jeżeli kiedyś spojrzysz na tę kartkę i odczytasz niniejszą piosenkę Mieczysława Romanowskiego, wspomnij o „Birucie“ i myśl o niej ze współczuciem“.

Borowicz stał długo z oczyma, wlepionymi w te słowa. Tegoż dnia napisał właścicielce „sztambuchu“ jakiś szumny komunał, ale w zamian zato wyrwał z tak pięknie oprawionej książki kartę z autografem „Biruty“, ukradł go bezczelnie i schował. Odtąd bardzo często ta kartka leżała między stronicami „Antygony“, a ilekroć powtarzał, nowoczesny poeta przeszkadzał mu skupić wszystką uwagę na skargach ślepego króla.

Tymczasem skończył się rok szkolny, przyszły święta, i wkrótce zważyło się powtarzanie. Marcin w ciągu tego okresu widział pannę Annę raz jeden. Kuł z wściekłością po calych dniach, nicraz do bladego przedświt. Wówczas wychodził z domu i krążył, jak sztyldwach po ulicy, około domu, gdzie mieszkala „Biruta“. Wiedział na pewno, że jej nie zobaczy, ale zbliżanie się do jej mieszkania przyprowaiało go o szczególne ściśnienie serca, zarazem bolesne i rozkoszne. Umysł jego — forsownie podówczas wkręcany między żelazne tryby dat, aorystów, formuł — wyrwał się do cudownego widziadła i spał u stóp ubóstwianej w ciszy i wśród marzeń. Ulica, brukowana wielkimi kamieniami i zaopatrzona w wążiutkie a wydeptane ze szczeniem flizy z piaskowca, bywała o tej porze pusta zupełnie.

Okiennice, umieszczone częstokroć tuż nad samym chodnikiem, były pozamykane, firanki spuszczone, bramy i drzwi do sieni zatarasowane. Pierwszy brzask spływał z

dachów, okrytych nocną rosą, w brudną ulicę i powlekał ją całą bladym kolorem. Borowicz stąpał na palcach, żeby nikogo ze śpiących nie budzić i nie zwracać na się niczyjej uwagi. Oczy jego leciały ku szeregowi okien pierwszego piętra starej kamienicy, czepiały się ich, wisiały u zasuniętych storów z szarego płótna... Trafiło mu się stać tam bez ruchu, bez widczy, nie wiadomo jak długo, z oczyma utkwionymi w te szyby. Gdy sklepikarze poczynali otwierać swe kramy, Marcin z głodnym sercem odchodził stamtąd w stronę parku, który leżał tuż po drugiej stronie połaci domów.

I oto nagle los się nad nim zlitował. Wstępując na plac przy źródle, zobaczył „Birutę“. Panna Stogowska rzuciła nań okiem z wyrazem niechęci i drgnęła, jakby w zamiarze oddalenia się stamtąd, ale po namyśle, zacisnąwszy wargi, została. Borowicz chciał trzymać książkę przed oczyma i spoza niej patrzeć, ale nie mógł jej udźwignąć z kolan. Teraz przypomniał sobie, że dawniej zdarzało mu się widzieć panienkę, gdy była chudą i mizerną dziewczynką ze srogimi oczami. „Czyż to ta sama?“ — zadawał sobie stokrotnie pytanie, w którym kryła się niezgłębiona rozkosz. Błede liczko stało się teraz twarzą dziewiczą o rysach tak pięknych, jakby to z nich właśnie czerpano wzór do boskich profilów Pallady-Ateny w sztychowanych winietach starego wydania rapsodów Homera. Pod prostymi brwiami błyszczwały w mroku rzęs wielkie oczy. Nad białym czołem lśniły się w porannym blasku pasma włosów, jak piękny len. Chude ramiona podlotka, przekształcone teraz na barki dziewicze, cudnymi liniami łączyły się z zarysem piersi, rozciągających stanik ciasnego mundurka brązowej barwy.

Park był pusty i cichy zupełnie. Stała tam jeszcze cienką warstwą mgła nocna. Tylko ptaki wołały się po drzewach. Niektóre z nich pędziły z żerem w wysoką trawę i od czasu do czasu przerywały ciszę trzepotem skrzydeł, gdy, uczepliwszy się grubych badyłów, bujały wraz z nimi na powietrzu.

Czas leciał jak błyskawica. Borowicz usłyszał ze zdumieniem, że bije siódma. Panna Anna wstała ze swego miejsca i nie podnosząc oczu odeszła. Marcin prowadził ją wzrokiem, a gdy głowę jej skryły krzewy, rozciągnął się na ławie i został tak bez ruchu. Około dziewiętej dopiero wrócił na stancję i przez cały dzień zażarcie pracował. Chciał przemóc uczucia, napadające go, jak gorączkowe ataki, i pokonać zdrętwienie mózgu. Chwilami władnęły nim szczególne złudzenia, które jego samego i cały świat obracały w inną postać, a właściwie w jedną jedyną, niewysłowioną, senną rozkosz. Stan takiego snu na jawie przeszkadzał mu w nauce, to też Marcin musiał zarywać nocy. Spał ledwie parę godzin, a przed samym świtem, około godziny drugiej, zbudzony przez jakieś raptowne uderzenie nerwowe, podniósł się, zlał głowę wodą i ruszył do źródła w parku. Siadłszy na swej ławce, ujął głowę w ręce wsparte na kolanach i oddał się swym marzeniom, jak gdyby po niepewnych stopniach schodził w głąb czarną bezdennej studni. Kiedy niekiedy w tym pochodzie zastępował mu drogę żal, czy strach... W innych chwilach ścisłała mu piersi tęsknota niezwykła.

W parku i w mieście był jeszcze mrok zupełny. Nawet ptaki drzemały w gniazdach. Tylko kaskada źródłana, spadając na pręty żelazne i rozpryskując się kroplami po wierzchu wody w kamiennej misie, snuła melodię wiekiwą. Borowicz wiedział, co znaczy ten dźwięk chichotliwy a żaloszny. Wpadał mu do ucha i zostawał tam na zawsze jako symbol dziwnych minut przemijających. Czerwona, jak krew, zorza stanęła tymczasem między grubymi pniami. Liliowy jej odbłask rozniecił się nad ich koronami i wypędził mroki nawet z zaułków starego muru, walącego się w gruzy. Gdy kosy zaczęły gwizdać swe wesole trele, Borowicz, siedzący z twarzą skrytą w dłoniach, usłyszał chrzęst żwiru na dróżce i odgłos zbliżających się kroków. Czuł, że osoba idąca wstrzymała się u wejścia i dopiero po upływie chwili zajęła miejsce na przeciwległej ławie. Bał się ruszyć, żeby nie spłoszyć ziszczonego marzenia. Dopiero, gdy usłyszał

szelest przewracanych kartek, wyprostował się, podniósł głowę i ujrzał pannę Annę.

Od tej chwili patrzył w nią jak w tęczę. Reflektował się, że to źle, że może wszystko stracić, jeśli panią rozgniewa się i odejdzie, ale były to głosy wołające na puszczy. Nienasycone czy upajały się bez końca i tonęły w swym szczęściu. „Biruta“ nie poświęcała temu wszystkiemu ani przelotnej uwagi. Uczyla się gorliwie czegoś na pamięć, bo bezpretensjonalnie ruszała wargami, widocznie przyswajając sobie jakieś wyrazy, frazesy czy liczby. W pewnej chwili przelotnie rzuciła okiem na sąsiada i zmieszała się, spostrzegłszy jego twarz, opromienioną uśmiechem zachwyty, zbladłą, podobną do oblicza człowieka, którego zraniono śmiertelnie i którego krew uchodzi. Wtedy dreszcz bolesny wstrząsnął nią od stóp do głów...

Nazajutrz nie przyszła już do źródła. Borowicz siedział tam po próżnicy przez cały ranek. Drugiego dnia nie zobaczył jej także. W ciągu tych dni przeżył ogrom doświadczeń. Rozmyślanie o losie panny Stogowskiej, o przymusie, jaki wycierpiała w niedługim życiu swoim, wodziło go po zrębach stromych wyżyn, nad otchłaniami, tam gdzie tylko młodość wstępować się waży. W drodze tej wypadła z jego serca nędzna litość istoty szczęśliwej względem pogrążonej w niedoli, i napelnilo je po brzegi obywatelskie współczucie, jakie ożywia spiskowców, idących na szafot za tę samą sprawę. Na końcu tych rozumowań siedział okrutny wyrok, nigdy... Trza było skazać na śmierć tę miłość, od której serce pęka, jakby zbiełałym w ogniu żelazem wypalić wszystko aż do ostatniego wspomnienia. Postanowił zacząć tę pracę od chwili bieżącej, dźwignąć niezwłocznie katuszę: unikać widoku „Biruty“. Gdy upłynęła trzecia noc od ostatniej „szadзки“, nie poszedł do parku. Ranek spędził w lesie. Leżał tam twarzą do ziemi, jak człowiek śpiący w letargu i przywalony ziemią mogiły. Ciało jego nie czuło głodu ani pragnienia, ani bólu. W głowie miał taką nicość, jakby mu ją przed chwilą rozwalila bomba. Tylko w głębokości serca tlało, niby płomyk, cierpienie zranionej duszy. Czasem blask jego pełgał żywiej i oblekał się w formę przysięgi: „Gdybyś kiedy we śnie poczuła, że oczy moje już nie patrzą na ciebie z miłością, wiedz, że żyć przestał“...

W południe wrócił na stację i znowu rzucił się do roboty. Była ona teraz środkiem ratunku, jak gdyby dobrym przewodnikiem dla kipiącego buntu, dla zgromadzonego gniewu, dla burzy szalejącej w sercu. Porywała stamtąd uczucia wysokie aż do niebios, unosiła ze sobą w głębiny nieznane, które wchłaniają ich tyle, a nie zwracają nigdy ani jednej okruszyny. Tak minął dzień i część nocy. Przed świtem dnia następnego Borowicz wstał cicho i jakby po kryjomu przed samym sobą wyszedł domu. Nogi niosły go same. Nie czuł ani iskry oporu, nie był w stanie myśleć o tym co czyni. Wiedział na pewno, że panią nie będzie, ale łaknął tego zakątka, szmeru wody i widoku roślin. Było jeszcze ciemno, gdy tam przyszedł. Jak obłąkany zbliżył się do miejsca „Biruty“ i usiadł w tym rogu, gdzie ją widział dwa razy — doświadczając takiego wrażenia jakby kradł w sekrecie albo szpiegował i oskarżał współtowarzyszów. Ręce jego obejmowały próżnię, głowa zwiślała na miejsce, gdzie były ramiona modrookiej, usta całowały powietrze, nogi ze ciężką dotykały żwiru, na których spoczywały stopy panny Anny. Dusząc w sobie gwałtowne łkanie, trzymał w objęciach cudną chimerę. Tak minął przedświt. Dopiero zorze ranne zawstydziły Marcina. Wstał z tego miejsca, przeszedł na swoją ławę i usiłował zabrać się znowu do pracy.

Kiedy się tego ani spodziewał, zgrzyt żwiru dał się słyszeć za krzewami, i panna Anna przebyła ścieżkę i placyk, zdążając ku swej ławie. Przyjście jej zwiastował jakiś wonny powiew. Brwi miała zmarszczone, była zmieszana i jakby strwożona. Borowicz siedział oszołomiony. Szybko, jak mrok wobec światła, znikła boleść, a na jej miejscu była już wielka rozkosz. Nagradzał się teraz sowicie za tak długą tęsknotę i z całym bezwstydem wielbił oczyma postać ukochaną.

„Biruta“ miała powieki spuszczone. Zaczęła się uczyć, ale nie mogła widocznie, bo wzrok jej ze stronic książki przeniósł się na kamyki pod stopami i tam uwiązł. Czowała wejrzenie zakochanego, bo kilkakroć rzęsy jej drgnęły, jakby strząsając ze siebie ciężar cudzego wzroku. Policzki okrywały się cudowną barwą, to znowu prędko bladły... Marcin wysyłał do niej w spojrzaniu całą swoją duszę, tysiące słodkich nazw, dzieje rozmyślań, tęsknot, żalów, błagał ją w myśli, jak ginący z pragnienia o jedną kroplę wody. I oto po długim czasie te powieki znowa się usunęły.

Oczy „Biruty“, zwyciężone i bezwładne, przywitały miłosne wejrzenie. Na ustach jej błąkał się uśmiech niewypowiedziany: ni to strach, ni wstyd, ni rozpacz...

W tym uścisku spojrzeń przetrwali nadziemskie chwile. Wreszcie panna Anna odwróciła głowę i zakryła oczy rękoma. Nim jednak upłynęła chwila, wzniosła je znowu. Twarz jej była biała jak śnieg: na czoło zsuwały się promyki włosów, ręce spłotyły się konwulsyjnie nad kartkami zeszytu. Teraz nie była już w możności sprzeciwić się i opierać. Gdy odwracała oczy, nieme błaganie, niby krzyk, przyciągało je znowu, i obłąkana pieśczoła dłużyła się w jakiś byt zaziemski, wieczny. Szczęścia ich nie mącił nikt, żaden głos nie płoszył milczenia prócz bełkotu wody, mówiącej niepojętą rzecz swoją...

WŁADYSŁAW STANISŁAW REYMONT

JAGNA

...Wpadli do sadu, chyłkiem przesunęli się pod obwisłymi gałęziami i prędko, trwożnie, niby spłoszone jelonki, wybiegli ze stodoly, w omroczałe śniegi, w noc bezgwiezdną i w niezgłębiałą cichość pól przemarzłych.

Przepadli w nocy; zginęła wieś, umilkła nagle wrzawa ludzka, porwały się nawet najślabsze odgłosy życia, że zapomnieli wnet o wszystkim i ująwszy się wpół, przywarci mocno o siebie biedro w biedro, przychyleni nieco, radośni a strwożeni, milczący a pełni rozśpiewania, lecieli ze wszystkich sił w cały ten świat, modrością siną zasnutą i milczeniem.

— Jaguś!

— Co?

— Jesteś to?

— Zaśby nie!...

Tyle jeno rzekli, czasami przystając, aby odetchnąć.

Zapierało im głosy trwożne bicie serc i potężny krzyk radości przytającej; zaglądali w siebie co chwila, oczy przeświecały się nawzajem, niby upalne, nieme błyskawice, a usta spadały na się z piorunową mocą i z takim głodnym, pożerającym ogniem, że zataczali się z upojenia, tchu brakowało, dziw, serca nie rozpekły; ziemia osuwała się spod nóg, lecieli jakoby w ognistą przepaść i rozglądając się ślepych od żarów oczyma, zrywali się wnet z niejsca, i znowu biegli, ani wiedząc dokąd i kędy, byle dalej, choćby w samą najgłębszą noc, aż tam, w te zwite kołtuny cieniów...

Jeszcze staje... jeszcze dwa...dalej...głębiej...aż wszystko zginęło z oczu i cały świat, i sama pamięć o nim, aż przepadli całkiem w zapamiętaniu, jakoby w śnie nie przypomnianym a jeno przez dusze wiedzianym, jakoby w tym śnie cudownym, śnionym na

jawie tam, w Kłębowej izbie, przed chwilą zaledwie, że tonęli jeszcze w świetlistej smudze cichych, mistycznych powiadań, że jeszcze pełni byli dziwów i zjaw onych, że jeszcze te prześnione baśniowe moce otrząsały na ich dusze cudowny okwiat oczarowań, trwóg świętych, zdumień najgłębszych, uniesień i nieutulonych tęsknic!

Byli spowici jeszcze w czarodziejską tęczę cudów i marzeń, że płynęli jakby z korowodem tych dziwów, wywołanych przed chwilą, przez baśniowe kraje szli, na wskroś tych scen nadludzkich, wszystkich stawań, wszystkich cudów, przez najgłębsze kręgi zdumień i oczarowań. Jawy kołysały się w cieniach, po niebie błędziły, wyrastały z każdym spojrzeniem oczu, przez serca płynęły, aż chwilami przytłajali oddechy, zamierali z trwogi i przyparci do siebie, oniemieli, załękli, wpatrywali się w bezdenną, skłębioną głąb marzenia, aż rozkwitały im dusze w kwiat zdumień, w prześwięty kwiat wiary i modlitewnych uniesień, że padali na samo dno podziwu i niepamięci.

A potem, powracając do przytomności, długo bładzili oczyma zdumionymi po nocy, nie wiedząc dobrze, zali są jeszcze między żywe, zali w nich się stawały te cuda, zali nie sen to wszystko, nie omamienie!...

— Nie bojasz się, Jaguś, co?

— Dyćbym za tobą poszła w cały świat, na śmierć! — szepnęła z mocą, tuląc się do niego zapamiętałe...

— Czekałaś to na mnie? — zapytał po chwili.

— Jakże! Kto ino w sienie wszedł, to aż me podrywało...—po tom przeciech jeno poszła do Kłębów...po to...myślałam, że się nie doczekam...

— A kiej wszedłem, to udałaś, że mnie nie widzisz...

— Głupi...miałam patrzeć, żeby co pomiarkowali! ale mę tak w dołku ścisnęło, że dziw nie spadał ze stołka...ażem wodę piła na strzeżwienie...

— Najmilejsza moja!...

— Siedziałaś z tyłu, czułam, ale bojałam się popatrzeć na ciebie, bojałam się zagadać... a serce to mi się tak tłukło, że ludzie musieli słyszeć...Jezus! o małym nie krzykała z kumentności!...

— Miarkowałem, że cię u Kłębów zastanę i razem wyjdziemy...

— Do dom chciałam bieżyć a zniewoliłeś...

— Nie chciałaś to, Jaguś, co?

— Hale...nieraz myślałam, by się tak stało...nieraz...

— Myślałaś tak! Myślałaś — szeptał namiętnie.

— Zaśby nie, Jantoś! a cięgiem, cięgiem...Tam za przelazem niedobrze...

— Prawda... tutaj nikt nas nie spłoszy...Sami jesteśmy...

— Sami!...i taka ciemnica...i... — szeptała, rzucając mu się na szyję i obejmując go ze wszystkiej mocy szalu i miłości...

.....
Nie wiało już na polach, jeno czasami wiatr przeganiał miękkiem powiewem i kieby tymi pieszczącymi szeptami, przechładzał rozpalone twarze. Nie było gwiazd jarzących ni księżycy, niebo wisiało nisko, skłębione brudnymi i poszarpanymi runami chmur, kieby to stado wołów burych zaległo puste i nagie ugory, a dale mają czyły jakoby przez szare, rozwleczone dymy, że świat cały zdał się utkany z mgieł, drgającej wszędy ciemności i wzburzonego mętu.

Głęboki, niepokojący a ledwie odczuty szmer drgał w powietrzu, płynął jakby od borów zatopionych w nocy, albo od chmur, z tych dzikich rozpadlin, z których raz po raz wyfruwały stada białych obłoków, uciekających chyżo, kieby klucze wiosennego pactwa, gonione przez jastrzębie.

Noc była ciemna i boleśnie wzburzona, głucha a pełna dziwnego ruchu, pełna

lęku, niepochwytanych drgań, trwożnych szmerów, przyczajonych zjaw i nagłych stawiań rzeczy niewytłumaczonych a przerażających; czasami, z nagle, spod wałów ciemnicy wyblyskiwały widmowe bladeści śniegów, to jakieś lodowe, wilgotnawe, ropiace brzaski pelzały w węzowych skrętach wskroś cieniów, to znowu noc jakby zawierała powieki, mroki spadały czarną, nieprzenikloną ulewą, i świat cały przepadał, że oczy, nie mogąc się uchwycić niczego, zsuwały się bezsilnie w samą głąb przerażenia, i dusza drętwiała, przywalona głuchą martwością grobu, a chwilami rozdzierały się przysłony cieniów, pękały jakby gromem rozprute, i przez straszliwe rozpadliny chmur widać było w głębokościach granatowe pole ugwieżdżonego, cichego nieba.

To znowu z pól czy od chałup, z nieba czy z zatopionych dali, niewiada zgoła skąd, drgały rozprysłe, pelzające jakby głosy a jakby blaski, jakby echa jakieś zgubione, widma dźwięków i rzeczy dawno pomarłych a błądzących po świecie, płynęły żalonym korowodem i ginęły nie wiadomo gdzie, jak te pomarłe światłości gwiazdne.

Ale oni oślepli na wszystko, burza się w nich zerwała i rosła, wzmagając się co mgnienie, przewalała się z serca do serca potokiem palących a niewypowiedzianych żądź, błyskawicowych spojrzeń, bolesnych drzeń, niepokoju nagłych, całunków parzących, słów splątanych, bezładnych a olśniewających, niby dzikie mioty piorunów, oniemień śmiertelnych, tkliwości, a takiego czaru zarazem, że dusili się w uściskach, rozgniatali do bólu, darli się wprost pazurami, jakby chcąc wyrwać z siebie wnętrzości i skąpać się w rozkoszach męki, a przestłonięte bielmem oczy nie widziały już nic, nawet samych siebie.

I porwani miłosną wichurą, oślepli na wszystko, oszaleli, wyzbyci z pamięci, stopieni z sobą jako dwie żagwie płonące, nieśli się w tę noc nieprzejrzaną, w pustkę i głuchą samotność, by oddawać się sobie na śmierć, do dna dusz, pożeranych wieczystym głodem trwania...

Nie mogli już mówić, tylko nieprzytomne krzyki rwały się im gdzieś aż z samych trzewiów, tylko zduszone, porwane a strzeliste, jak wytryski ognia, słowa błędne i opite szaleń, spojrzenia żrące do szpiku — spojrzenia struchlałe obłąkaniem — spojrzenia huraganów walących na siebie, aż przejął ich taki straszny dygot żądź, że zwarli się z dzikim skowytom i padli...nieprzytomni zgoła...

Świat się wszystkim zakotłował i runął wraz z nimi w ogniste przepaście...

- Już me rozum odchodzi!...
- Nie krzycz...cicho, Jaguś...
- Kiej muszę...wścieknę się albo co!
- Dziw mi serce nie rozpęknie!
- Spalę się...laboga puść...daj odzipnąć...

— O Jezu...bo zamrę...O Jezu!...

- We świecie jedyna...
- Jantós! Jantós!...

... Jako te soki, żywiące skryto pod ziemią, budzą się o wiosnie każdej, rozprężają nieśmiertelną żądź, prą do się przez zwały świata, z krańców ziemi płyną, niebami kołują, aż się odnajdą, przepadną w sobie i w świętej tajemnicy poczną, by się potem stać zdumionym oczom: wiosnianą porą albo kwiatem, duszą człowieczą lebo poszumem drzewin zielonych...

Tak-ci i oni parli do siebie przez długie tęsknice, przez dnie udręki, przez szarc, długie, puste dnie, aż się odnaleźli i z jednakim niezmożonym krzykiem pożądań padali

sobie w ramiona, zwierając się tak potężnie, jako te sosny, gdy je burza wyrwie i zdruzgotane rzuci na siebie, że obejmują się rozpacznie, mocą wszystką, i w śmiertelnym zmaganiu kolebią się, szamocą, nim spodem w lutą śmierć upadną...

A osłaniała ich noc i oprzędła, to się stało, co przeznaczone...

Kuropatwy zaczęły się skrzykiwać gdzieś w ciemnościach, a tak blisko, że słychać było idące całe stado; rozlegał się szybko szelest, jakby skrzydeł, podnoszonych do lotu i bijących o śniegi, to oddzielne, cierpkie głosy rozdzierały ciszę, a od wsi, snadź niedalekiej, zrywały się przyduszone a mocne piania kogutów.

— Późno już... — szepnęła trwożnie.

— Jeszcze daleko do północy, pięją ano na odmianę.

— Odwilga będzie.

— Juści, śnieg zamiękł.

Zające gdziesik blisko, jakby za kamionką, pod którą siedzieli, zaczęły beczeć, przeganiać się i gzić, kieby na weselisku, aż całą gromadą przeleciały obok nich, że odskoczyli z przerażeniem.

— Patrzą się juchy i tak ślepną, że na człowieka nie baczą. Na zwiesnę idzie.

— Cicho no, przykucnij! — szepnął zalękłym głosem.

Przywarli do kamionki w milczeniu. Z rozbielonej śniegowymi brzaskami ciemności jęły się wynurzać jakieś cienie długie i pełzające... posuwały się wolno... chyłkiem, to znikaly całkiem, jakby się pod ziemię zapadły, że ino oczy świeciły, kieby te świętojańskie robaczki w gęstwinie; było może o pół staja od nich, przewlekły się wnet i całkiem zginęły w ciemnicy, aż nagle rozległ się krótki, bolesny, śmiertelny bek zajęczy, potem ostry tupot, wrzawa charczeń, kotłowanina jakaś przerażająca, chrupot miazdżonych kości, groźny warkot, i znów milczenie głębokie a niepokojące zaległo dookoła.

— Wilk ozdardł zajączka.

— Że to nas nie wytrąpiły!

— Od wiatru siedzim, to i nie zwąchały.

— Bojam się... chodźmy już... ziąb mnie przejmuje... — wstrząsnęła się.

Ogarnął ją sobą i rozgrzewał takimi całunkami, aż oboje wnet zabaczyli o całym świecie, objęli się krzepko w pas i poszli jakąś dróżką, która się im sama nawinięła pod nogi; szli, kołyszac się ciężko, ruchem drzew, pokrytych nadmiarem kwiatów i kolebiących się cicho w pszczelnym brzęku...

Milczeli, a jeno szmer pocałunków, wzdychów, namiętne pokrzyki, głuchy warkot upojeń, radosne bicie serc okryły ich jakoby drgającym żarem pół wiośnianych: byli jako te okwiecone wiosną rozłogi, zatopione w świetlistym pobrzęku radości; boć tak samo rozkwitały im oczy, tak samo dyszeli upalnym tchnieniem pół rozprażonych w słonecznej połodze, drzeniem traw rosnących, drganiem i pobłyskiem strumieni, stłumionym krzykiem ptaków; serca tętniały w jedno z tą ziemią świętą, a spojrzenia padały kieby ten ciężki, rodny okwiat jabłonkowy, a słowa ciche, rzadkie, ważne, wytryskiwały z samego rdzenia duszy, niby olśniewające pędy drzew w majowe świty, a oddechy były jak te wiewy, pieszczące młodą ruń, a dusze jako ten dzień wiośniany, rozłoneczniony, jako te zboża w słup idące, pełne skowronkowych świergotów, blasków, poszumów, lśniącej zieleni i niezmożonej radości istnienia...

To milki zngła i przystawali, zapadając w ciemnościach jakiegoś przepadania, jak kiedy chmura przysłoni słońce i świat ścichnie, omroczy się i w żałości a lęku przepada na mgnienie...

Ale wnet podnosili się z oniemiań, radość buchała w nich pożarem, weselny ton rozbrzmiewał w duszach, uskrzydlał mocą takiego szczęścia i tak rwał do podniebnego

lotu, że nie wiedząc, wybuchali namiętym, nieprzytomnym zgola śpiewem...

Kołysali się w takt głosów, co zdały się bić tęczowymi skrzydłami i gwiezdny, rozpalonym wytryskiem dźwięków rozsypywały się w noc zmartwiałą i pustą.

Nie wiedzieli już nic, przywarci do się a bezwolni, zgubieni w sobie a niepamiętliwi, pijani jeno tą nadludzką mocą czucia, co ich niesła w nadświaty i rwała się pieśnią bezładną, splątana, bez słów prawie.

... Pieśń dzika i wzburzona płynęła rwącym potokiem z serc wezbranych i biła we świat wszystkim zwycięskim krzykiem miłości...

... i jako krzew ognisty płonęła w chaosie mroków i nocnego mętu...

... to była chwilami jakby ciężkim, druzgocącym warkotem wód, zrywających lodowe okowy...

... ledwie dosłyszalnym brzęliwym a słodkim poszumem dzwoniła, niby fala zbóż, kołyszących się w słońcu...

... pękały złote łańcuchy brzmień, rozsypywały się na wiatr i ordzawiały, wlekły się ciężko po zagonach, że były jeno krzykami nocy, czasem szlochom bezsilnym, wołaniem sierocym, głosem zaguby i lęku...

... i w grobowej cichości umierały.

Ale po chwili, jak ptaki wystraszone, zrywały się ku słońcu szalonym lotem, serca nabrzmiewały taką potęgą lotu i zagubienia się we wszystkim, że wybuchali oslepiającym hymnem uniesienia, modlitewną pieśnią ziemi całej, nieśmiertelnym krzykiem istnienia.

.....

MARIA DĄBROWSKA

ŁUCJA Z POKUCIC

Nadszedł zdumiony, szary, olbrzymi, w papasze, smagły na twarzy i wychudzony. Myślał że wróci do domu, który był dla siebie i swojej kobiety ustanowił, tymczasem wstępował w obce progi i zrazu nie czuł się tu panem. Pytał a pytał :

— Toś ty tu? Tu cię nalożem?

Drżącą ręką Łucja podsunęła mu ławę.

— Czemużes wieny jak bez rok nie pisała? — dowiadywał się i wciągał sobie na kolona dziecko, darząc je szorstkimi uściśnieniami.

Odpowiedziała mu, że przecież pisać nie poradzi.

— A przódzi żeś napisała? Chto ci przódzi pisoł, to ni móg?

— Między obcymi nie śmiałam prosić.

Z wielkoduszną naiwnością uznał to za wystarczające i zrozumiałe.

— Takaś tu była samiuchna? — rzekł, wodząc za nią świecącymi oczyma, i dodał wspierałomyślnie :

— Zrazu mi było markotno, żeś ty tu. Aleś ty dobrze zrobiła. Tu je lepij.

Sztwytność powitania, wywołana przez zdumienie i przestrasz, zaczęła topnieć. Dziecko w objęciach ojca przeciągało się raz po raz, przewyciężając nieśmiałość.

Zaczęło nawet coś odpowiadać szeptem i skinieniami głowy, nie śmiąc wciąż poć nieść oczu. Władysław puścił dziewczynkę, by wypatroszyć swój toból.

Okazało się że przywiózł Łucji chustkę z różowego jedwabiu, haftowaną w nieznane białe kwiaty.

Cichaczem zawdziął jej tę piękną rzecz na ramiona, gdy nie widząc stała przy kuchni nad garnczkami.

Wciążwszy w skrawek przejrzałka, Łucja zobaczyła, jak ciężka materia splywa z niej, niby różana woda, i jak nad tym iskrzą się jej szafirowe oczy. Wdzięczność za strój wzbudziła w niej nagle gorący strumień chęci, który żłobił sobie błyskawiczne drogi przez odrętwienie zgrozy.

Znalazszy w sobie jednakie uczucia, spoili usta i przytulili się do siebie. W uścisku stopniały wszystkie grzechy. Szczera radość, poczucie zupełnej wierności i nieodpowiedzialne zapomnienie ośwładnęły rozżarzoną Łucją.

Słyszając jak się śmieli do siebie, Zosia nabrała też śmiałości, a gdy Łucja wyrwała się do kipiących ziemniaków, dziecko zaczęło ojcu zwierzać się z tym i owym, ze wszystkim co tu się działo. Odwoływana gorączkowo przez matkę, dziewczynka znów nadchodziła i dalej opowiadała. Jej szczebiot mieszał się z grubymi, prostymi pytaniami ojca. Naturalnie powiedziała na koniec, że mieli tu takiego małego Kacperka.

— Kogośta mieli? — zapytał Władysław strwożony.

— Kacperka. Synka — i wśród naiwnych uśmiechów, Zosia pobiegła i pokazała, stukając trepkami, gdzie stała kołyska tego chłopca.

Bardzo krótko trwała cisza, która teraz nastąpiła, lecz dość długo żeby przerazić małą. Zosia uderzyła nagle w dziki płacz.

Wtedy Władysław powstał i przyciągnął do siebie córkę. Usiadł z powrotem. Wziął krzyczące wniebogłosy dziecko między swe kolana i mówił prosząco :

— Niece płacz. — Niece płacz. — Niece płacz.

I to trwało długo. Tak długo, aż głowa małej dziewczynki przestała się rzucać po jego piersi w strasznych łkaniach. Wtedy ojciec zaczął się cały ze swą córeczką kołysać z boku na bok — i nucić :

— *Ny ny, ny-y*
— *ny ny, ny-y*
malucbne
dzieciątko.

Nucił coraz ciszej, aż zasnęło z twarzyczką lśniąca od łez, wśród poczepianych na ubraniu ojca złocistych włosów.

Nowacki wziął na ręce swe dziecko i położył je na łóżku.

Rozejrzał się. Tylko na moment podniósł oczy na Łucję. Ściągnął z niej różową chustkę. Przedał ów jedwab na pół. Rzucił kawałki i zeszargał je nogami po ziemi.

— Tak tyś stretowała moje serce — rzekł ciężkim głosem.

Nalożył z powrotem wszystko w czym był przyszedł i myląc się ruszył, najpierw do drzwi kurnika — skąd rozległo się trwożne gdakanie. Mruknął : „Cholera“ — trafił na właściwe drzwi i wyszedł.

Od wszystkiego tego Łucja zajęła się nagle jak od pożaru. Zrozpaczona, pokonana, wzbudziła w sobie szaloną miłość, wspartą o strach, lecz tym silniejszą, dociągniętą do wyżyn, na jakich nigdy nie bywała.

Nic nie biorąc na siebie, skoczyła w ciemną noc, w ciężki łomot wiatru pod czarnymi chmurami.

Biegła, zgubiwszy trepy z nóg, cierpnących od mrozu, i zapadała w śnieg, który ranił ją po pas dotknięciami gryzącego zimna.

Lecz biegła wciąż, krzycząc : „Władziu !“ i krzycząc : „Władziu !“ i krzycząc : „Władziu !“.

Na koniec chwyciła go za rękę. W milczeniu wyrwał ją i kroczył dalej.

Chwyciła go za drugą, lecz wyrwał ją także.

Było tam śród ciemności, wichru i śniegu takie mgnienie, że Lucja zwątpiła. Któryś jej krok stąpnął mniej ręczo, zachwiała się. Lecz pchnięta niezwalczoną nadzieją, wytężyła ostatek sił, zabiegła mu drogę i upadła mu do nóg w milczeniu.

Temu strasznemu wysiłkowi miłosnego cierpienia nikt się nie oprze. Można dużo rzeczy brać za miłość, lecz gdy ona przychodzi naprawdę chociaż na chwilę — nikt nigdy się nie omyli.

Władysław podniósł Łucję i trzymając ją w dyszących objęciach, mówił tylko :

— Coś ty narobiła. — Coś ty narobiła.

W owej chwili darował jej zupełnie, lecz gdy się znaleźli w ciemnej sionce przy mieszkaniu, stracił przytomność. Łucja poczuła jego pięść pod brodą, i usta jej się skrwawiły. Pamiętał jednak o dziecku i głusząc hałas, zaciągnął ją po schodkach na zimną, czarną górę. Tam zaszamotali się w strasznej bójkę — aż znów upadła mu do nóg i ulegli swym dzikim chęciom, silniejszym niż cierpienie.

Lecz gdy nazajutrz wstali, okazało się że żyć ze sobą nie mogą.

Mleczarz Dionizy, zajrzawszy do nich z rana, odszedł niezauważony — i powiedział innym, żeby tam nie chodzili, ale że trzeba dać baczenie, gdyż tam jest piekło. Zosia, płacząc, siedziała w dworskiej kuchni.

Oni zaś klócili się całe godziny. Wspaniałomyślna a potem dzika miłość, jaka ich ogarnęła wczorajszego wieczoru, nie starczyła na dzień. Wyszargali ją w obelżywych słowach.

W końcu domówili się znów do nieprawego dziecka. Władysław wypominał jej swą wierność i swoją krzywdę, a Łucja rzekła :

— Mnie było gorzej. Mnie dziecko umarło.

Wtedy musieli się rozejść. Umarły Kacperek stanął pomiędzy nimi i osądził.

Władysław Nowacki, będąc już w drodze, stał jakiś czas daleko za wsią w szarudze roztopów i ścisnął pień wierzby. I pytał —

Żeliby ludzi podpaliła, żeliby zarznęła kogo, czybym jej darował? Tak — darowałby jej, a nawet na katogę by z nią poszedł. Lecz tego, że z nim obłudnic żyła, że z drugim nocę trawiła... Nie. Każdy wie, jak to jest, bo każdy może to zrobić. Każdy zna ten grzech jak żaden inny i sobie go nie da wyrzucić.

Straszne było iść znów samemu w czarne, topniczące śniegi i na ten wiatr, który bez wytchnienia podnosił gałęzie wierzby, podnosił je znowu, i podnosił je znowu.

Lecz Władysław był na wojnie i jest do złego przyzwyczajony. Tedy poszedł.

*

Już teraz Łucja nie mówiła, że świat się nad nią skończył, że nie ma więcej życia. Gdyż ono było.

Gdyż były dnie, w których świeciło słońce lub chmury pędziły po niebie, i były noce, w których ciężki sen zalepiał powieki. Była wiosna jasnozielona, i było lato ciemnoogniste. A przychodzi na człowieka czas, gdy nie pozostaje mu nic więcej, i czas ten przychodzi sprawiedliwie.

Przez lato Łucja milczy, ale robi swoje, służy dobrze jak nigdy, i zamiary, żeby ją odprawić, upadają powoli.

Uśmiech błąka się równie często jak pierwiej na twarzy Łucji, lecz uśmiech ten jest bolesny. Twarz jej zmieniła się także, a nos wyciągnął się jeszcze bardziej. Barki się pochylały. Oczy zbłąkły.

Dobrzy ludzie donieśli jej, że Władysław jest w Hamburgu i że się tam zeszedł z jedną Niemką. Tak się odmieńca kolej rzeczy.

Mimo to mówiono, że Łucja coś knuje. Że jakoby zamierza puścić się w podróż — jechać do męża.

Na jesieni zapytano ją o to ze dworu.

— A no może odejść i pojadę.

— A gęsi? — zaniepokoiła się pani. — Przecież gęsi nie podskubane. Nie wymawialiście na święty Michał, a ja tu przecież na wasze miejsce nikogo z rękawa nie wytrzasnę.

Gęsi rzeczywiście trzeba było skubać, bo już gubiły piórka na zroszonych i zapających ugorach.

Oczekiwano też na przybycie handlarzy gęsi z ich wielkimi hakami. Jesień rozpraszala wszystko, a liście ociekaly zewsząd w złotym nieładzie.

Po paru dniach szarugi, powabna zielen zeszła się w kolorowych strzępach na ziemię, i w strzępach tych brodziły drzewa — pełne rozczapierzonych gałęzi, pozagiganych jak sękaty pazury. Wieś stała naga i odkryta — po wilgotnym szafirze nieba snuły się chmury różowe i popielate, powiewne jak dym. W przejrzalym ogrodzie dzwonił przenikliwie jesienny ptaszek, i głos jego brzmiał ostro w tym braku cienia, pełnym złamanych badyli i upadłych twarzą na ziemię słoneczników.

Śród pustki z najdalszej łąki slychać było głos gęsi, wołający uparcie :

— Geg! Geg! Gege! Gege!

Bielily się olbrzymim stadem, jak żagiel w rudej toni na płasko rozparty.

Zapędzono je do kurnika i na podwórku, między chrustem a kupą gnoju, śród bladych godzin krótkiego dnia skubano je.

Gęsi usiłowaly wywinąć spomiędzy kolan swe giętkie łby. Gdy im się to udało, obróciwszy w tył szyję, patrzyły na swe rozłożyste piersi, po których latały czerwone ręce. Lecz mirno bólu i strachu, czarne oczy i marchwiane dzioby nie straciły ani na chwilę wyrazu śmiesznego zadowolenia.

Nie wszystkie dziewczyny umiały dobrze skubać, niektóre powyrywały gęsiom lotki.

Biedne stado chodziło teraz w oplakany stan. Piersi ptaków były potarmoszone do gołej skóry, do krwi nawet — i wiele z nich nie mogło utrzymać swoich skrzydeł. Z niezmaconą pogodą podciągały je sobie na grzbiety, a skrzydła obsuwały się znowu.

Łucji było żal na to patrzeć.

— Jakby mnie chto wzion i pazury powyrywoł — mówiła do pani.

— Ona jest dobra — opowiadała o tym pani we dworze. — Takie kobiety są zawsze dobre — dodawała w zamyśleniu.

Łucja nie lubiła teraz siedzieć u siebie w domu, gdzie Kacperek umarł, gdzie tak straszne rzeczy się porobiły. Była rada kiedy ją pani wzięła na wieczory do darcia pierza. Zabierała ze sobą Zosię, brała dla niej galganki, patyczki, żeby dziecko miało się czym w kacie bawić, i szła do dworu.

Siadały w długiej stancji przy stole, na którym pieniała się puszysta góra pierza. Było ich sześć. Z wyjątkiem Łucji wszystko podeszło w latach dwórki. Nażyły się, nasłuchały, napatrzyły — i gadały o wszystkich sprawach pogodnie i bez osłonek. Życie było już dla nich, jak ogród w listopadzie, gole, i była w nim ta sama ostateczna piękność. Wiedziały, co się dzieje pod każdym dachem wsi we dnie i w nocy, a pobłażliwe i wyrozumiałe na wszystko, uważały, że nieco pokuty każdemu zrobi dobrze.

Nawodziły myśl Łucji na rzeczy ciche i pobożne. Śpiewały koło niej odwieczną pieśń adwentową i usiłując nadać melodię swym bezdźwięcznym głosem, wołały :



OLGA BOZNAŃSKA
Portret własny



STANISŁAW WYSPIAŃSKI
Portret Zofii Żeleńskiej

*Błąkał się człowiek wśród okropnej nocy,
wolał, i nikt go nie wspomógł w niemocy.*

A gdy mrok czynił godzinę coraz to cięższą — dołączał się strwożony głos Łucji. I głos ten brzmiał wśród starych jak dzwon pośród kołatek.

Białe gwiazdy zaczynały migotać za oknem po wiekuistym niebie. Przynoszono lampę. Spiew się łamał — wdzierały się w niego rozmowy.

Oto Wypyszka miała list z Prus, od syna. — Pisał, że pracuje w porcie w Hamburgu. Dalej — że namawia siostry, by tam jechały do niego.

— W taki tam świat jechać...

— A daleko tyż do ty Hamburgi? — spytała, wstrzymując oddech, Łucja.

— Jak Olek jechał, to jechał coś ze dwa dni.

— O matko! A jo myślała, że to trza jechać z dni dziesięć! — wykrzyknęła Łucja.

— Ady to nie tak daleko! Nie tak daleko — zaszepiała z radością i ze łzami.

ZOFIA NAŁKOWSKA

NARCYZA

Oczyrna jak ze szkła patrzyła Narcyza w drzwi, którymi przybyć miał Andrzej. Pośród gwaru, dochodzącego spod podłogi, wyróżniały się wciąż jakieś odmienne smery, ale ciągle jeszcze nie były to kroki jego.

Raz po raz — tam, na dole — podrywały się taneczne dźwięki fortepianu i wkrótce głucho, jakby przywalone ciężkim łoskotem zabawy. Hucznie obchodzono dnia tego w Groblach „ciche“ zaślubiny Róży. Chciano tańczyć, ale sama Róża nie pozwalała ze względu na świeżą żałobę.

Gości przybyło niewiele. Tylko „najbliżsi“, jak wyraziła się mama. Podczas kolacji pito ochoczo, i najbliżsi znakomicie się rozruszali. Landsmit, zupełnie jawnie niechętny Narcyzie, odkąd nie miała zostać żoną jego pracodawcy, wygłaszał z okazji niezliczonych toastów mowy długie i lekkomyślne. Pan Oleśnicki rozprawiał wiele (mało słuchany) o polskiej kobiecie, że każda emancypacja kończy się u niej na małżeństwie (rad nazywał obie swe córki emancypantkami). Żona buchaltera, odziana we wspaniałą, głęboko wyciętą suknię czarną, z wiązaną tuberoz na piersi, zapuszczała w głąb obecnych mężczyzn swe oczy z taką miną, jakby to były narzędzia tortury. Pomiędzy gośćmi znajdował się Andrzej, którego Narcyza nie widziała od chwili spotkania w mieście. Zauważyła, że Andrzej nie miał sobie z buchalterową nic do powiedzenia i że nawet nie był przeszywany oczami. Ale szczególnie ten, nie wróżący zresztą nic dobrego doświadczonemu oku, był dla Narcyzy tym razem jak gdyby zgoła obojętny.

Wypełniwszy sumiennie wszystkie obowiązki technicznej strony przyjęcia, Narcyza pojęła iż nie potrzebna jest temu gwarowi i weselu. Postanowiła odejść. U drzwi salonu zetknęła się z Andrzejem, do którego przez cały ten huczny dzień zwróciła się zaledwie z paru nijakimi słowami, i powzięła odeń wiadomość, że od niedawna osiadł w dobrach lipińskich na stałe, objąwszy zarząd główny lasami kuzyna.

Owej chwili stał we drzwiach jakiś bezradny, cokolwiek zmieszany, z twarzą czerwoną od wypitego wina i świecącymi oczyma. Nosił obecnie zarost na sposób europejski i był bardziej elegancki, a za to brzydszy. Krótkie przycięcie wąsów ujawniało

wargi pełne o niewiadomym dawniej, nieregularnym obrysowaniu. („Usta które całowałam“ — — przemknęło tępym osłupieniem poprzez zmęczone myśli Narcyzy).

Zwrócił się z jakimś niewyraźnymi słowami. Przystanęła, nie dosłyszawszy.

— Ja przyjdę, — powtórzył, nie patrząc, — przyjdę — do pani. — —

Odrzekła :

— Dobrze — i odeszła do swego pokoju na górę.

Teraz czekała, nie chcąc. Oczyma jak ze szkła patrzyła we drzwi. Przez głowę szły myśli nieznośne, niezależne od woli, mętnie szemrzące.

Myślała wciąż o przykrych do głębi szczegółach uroczystości. Opowiadała niewymówionymi słowami i bezpotrzebnie wygląd sukni białej, w jaką odziana była do ślubu Róża, zachowanie się papy, świąteczny wygląd kaplicy, porządek osób w orszaku, króciutką, cichą klótnię, która wynikła zaraz po powrocie pomiędzy Cwałoszyńskim i mamą na skutek jakiejś jej pretensji. Marzyła żeby przestać o tym myśleć, ale pod uciskiem czaszki szczyrały przykro i monotonna wciąż te same asocjacje.

Wysnuwała w konkluzjach, że życie składa się z całego mnóstwa rzeczy drobniotkich, przypadkowych, bezsensownych. Ludzie, których widziała — były to jakieś mechaniczne powiązania dowolnych, luźnych odłamków dziejowych i przyrodniczych, powiązania jedną ciemnią, przerażającą świadomością. Czasami — niespodzianie — wstrząśnie duszą wiew myśli, którą powziął i wypełnił życiem swoim jakiś protoplasta przed wiekami — i teraz ona, jak niepojęte widzenie ze snu, przeraża cały świat myślowy, wypracowany później przez dzieje. Pośród doskonałego kulturalnego automatyzowania działań, godnych pochwały, marzy się chętnie i bezwinnie o nie dokonanych nigdy okrucieństwach, nieśmiałoymi zmysłami uwielbia się na przekór woli czar egzotyczny zwyrodnień i potworności. „Cóż jest to wszystko? cóż jestem pośród tego ja?“

Nie jest jeden człowiek. Jest szereg kawałków czasu, nawleczonych na nitkę jednej pamięci. „Czyliż byłam tą samą, kiedy oddałam siebie Andrzejowi, którego nienawidzę dzisiaj? Czyliż nie jest to obce mi, dowolne zdarzenie, które nawlokłam na siebie jak fałszywy, czerwony, szklany koralik? Czy byłam sobą, umierając wespół z Maksem, patetyzując do ostatnich granic smutek rzeczy codziennej, jaką jest śmierć? — Przeszłam przez sferę tego smutku, jak sznur przez siną perłę. I jest znów na mnie rzecz obca, rzecz nie moja. — Można by przeciąć sznur, aby się rozsypały te głupie paciorki, zabić świadomość, pamięć tępą, która je sprzęga — jak Hirtowa — — zabić siebie“ — —

Znowu — przez chwilę — miała złudzenie, że oto nadchodzi Andrzej. Ale do drzwi nie zastukał nikt.

Poprzez myśli przefrunęło teraz, jak ptak, wyobrażenie szczęścia. — Jego lot, który ma wiedzę kierunku i nieobjęte panowanie nad chmurami — pamiętała z chwili owego słonecznego zachodu.

Czymże jest? — Widziała je u tych, co w cieniu życia uprawiali swoją cnotę — hodowanę łękliwie światelko, odgradzone murami od mroków świata, zamknięte oczom ludzi — — promieniami obrócone na wewnątrz — —

Szeptala :

— Nie mam siebie, nie mam przeszłości... Wiem o jakimś locie nieujętym, bezszumnym, po drodze biorącym w siebie to lub tamto — na los zdarzenia — —

Ostatniej nocy miała Narcyza znowu ten sen, który powtarzał się tak często od śmierci Maksa — zawsze identyczny w szczegółach i w niewytłumaczonym natężeniu grozy.

Śniło jej się, że oto umarł — a ona czuwać ma nad tym, by on sam nie dowiedział się o tej śmierci. Siedzi nocą w pawilonie — jak wówczas — sama z trupem. Pał się ruchomo świece, okna otwarte na ciemność, na lodowate zimno jesienne. Siedzi, aby nie

dopuszczyć do umarłego tej wieści, aby zataić ją na zawsze, jak śmierć Cezara, księdza, Hirtowej, Maurycygo — —

Umarły oczy otwiera — oczy straszne, rozdęte przerażeniem — jak wówczas, kiedy zwariował. Kamienne, twarde usta mówią :

— Zdaje mi się, że jestem nieżywy — —

— Ależ nie, — odpowiada z uśmiechem Narcyza, — żyjesz, zawsze jeszcze żyjesz — —

Cisza i czuwanie. Okna otwarte, mokry jesienny zapach, wicher na sosnach grający. Umarły mówi :

— Dla kogoś wnieśli trumnę — — —

Ona klamie — wciąż z tym uśmiechem :

— Nie ma nikogo. Jestem tylko ja — i będę do końca — —

— Narcyzo, to dla mnie wnieśli trumnę — — — !

Budziła się z krzykiem, dygocąca, cała przeszyta zimnymi igłami przerażenia. Jakis straszliwy, głęboki nie do pojęcia sens tego snu nie kończył się z przebudzeniem, ale trwał dalej, aż do bezsennej świty, z bliska pochylał się nad dniem, jak czarne skrzydło, śmiertelną trucizną nasycał myśli. „Na nic zniszczyłam sobie nerwy“ — myślała.

I teraz aż zatrzęsała się cała, gdy Andrzej zastukał do drzwi.

— Proszę — wyrzekła nieswoim głosem.

Uważnie patrzyła, jak szedł ku niej. Usiadł blisko.

— Ja chciałem — — Bo teraz mi już wolno — — Chciałem prosić, żebyś zgodziła się, ty, Narcyzo, być moją żoną — —

Wziął ją za rękę, ale odsunęła się.

— Nic mogę — powiedziała smutnie.

— Narcyzo, odpowiedz, dlaczego? Boże drogi, przecież ty jesteś moja — moja — —

— Nie —

— Czy nie kochałaś mnie nigdy? — Powiedz — nigdy — — ?

— Pierwej myślałam, że nie. Teraz widzę, że była taka chwila — może — —

— Kiedy? —

— Gdy odjechałeś — nad miarę długo pamiętałam. Pamiętałam — nawet nie pomyślałszy ani razu. Marzyłam o tobie cielesnie, pamiętały długo oczy moje śliczny kształt twojej głowy. Całymi dniami byłam smutna z zachwytu. — — Czy to była miłość — — ?

— Nie wiem.

— Ale to przeminęło. Dzisiaj bez radości mogę widzieć twoje oczy — —

— Tak dziwnie mówisz... Ja naprawdę od samego początku marzyłem o tym żeby ożenić się z tobą. Dlatego pojechałem zdawać, ułożyłem to wszystko z Wojciechem. A tyś nie chciała nawet mnie widzieć — —

— Nie chciałam.

— Dlaczego — — ? Teraz, gdy zaszło to wszystko, gdy źle ci jest w tym domu — — Mówili mi, że miałaś wyjechać... Będziesz sama — — — A ja byłbym dla ciebie strasznie dobry — nie wierzysz? Ja naprawdę jestem dobry człowiek, tylko ty dokuczałaś mi często — — Ty nie jesteś szczęśliwa, Narcyzo —

— Nie chcę niczego, co byłoby dobre — tym sposobem godziłabym się na życie.

— Musisz się zgodzić — — Przecież on już nie żyje — — —

— Kto nie żyje — — ?

— Ten Maks —

— Więc cóż — ? Przecież ja jego nie kochałam —

— Nie kochałaś? Dlaczegoż w takim razie — — Co to było wszystko, Narcyzo — ?

Uśmiechnęła się, chociaż usta jej drżały.

— Nie wiem — — — Powiedziałeś raz zabawnie, że ważniejsze są dla mnie — niżeli ludzic — zdarzenia. Ja ciebie nawet bardzo lubiłam, Andrzej. Ale widzę teraz, że nic z życia nie było dla mnie dosyć ważne. Dla mnie istniał jedynie tylko stosunek mój do zjawiska. I na tej odległości pomiędzy mną i zdarzeniem pomiędzy mną i człowiekiem rozciągał się zawsze cały mój kraj duchowego życia. To tylko ważne mi jest spośród świata, co mam w sobie — głębokie i zamknięte. Cudze dusze są dla mnie jak cienie. Ludzi nie kocham.

— To nie jest prawda. —

— Ty sam, Andrzej, byłeś moją przygodą, zdarzeniem znikomym moich dziejów — — Nie istniałeś mi poza stosunkiem swoim do mnie. Nie myślałam, co myślisz przez długie wieczory, gdy mnie nie ma, jakich prac dokonywałeś w dniu słonecznym, jakie są sny twoich nocy — — Wdzięczna ci byłam za to, jak się uśmiechasz. I radość twej duszy potrzebna mi była na to, żebyś się właśnie uśmiechał, gniew — aby świeciły się twoje dzikie oczy — — Widzisz — nie umiałabym kochać ciebie —

— Ty się zmieniłaś, zrobiło się coś z tobą, Narcyzo — — Jakże możesz tak mówić —

Gdy milczała, schylił głowę, bezradnie zaciskał ręce. Chciał mówić, ale długo nie śmiał. — Słychać było tylko gwar, z dołu idący, głuchy szum zabawy — —

— Czyżbyś myślała — zaczął — Bo może masz do mnie żal — — Spotkałaś mię wtedy z tą kobietą, i nawet nie śmiałem podejść do ciebie. tak nie to przerażało, że mogłabyś powziąć podejrzenie — — Ale przecież —

Narcyza przerwała :

— Nie to zupełnie, nie to — — Tak pamiętam tę chwilę — — — Ale odtąd prze-waliły się znowu całe fale życia... Ja zupełnie nie rozumiem świata, gdy patrzę. Jest jak taniec — malownicze grupy ludzi, korowód, który zwija się i rozwija, spleta girlandami w menuetowe figury. Jakiś taniec, którego zapomniana jest melodia — tylko pozostał rytm monotony — rytm, oznaczający takty, jak w metronomie. — — Nie chcę nic z tego. Życie nie jest prawdziwe, zmienia się, kiedy ja ruszam oczami. Można nim władać tylko dla swoich oczu. — Ja nie umiałam walczyć z tym co uważałam za złe, nie potrafiłam tego nawet nazwać, nie wiedziałam, jak się przeciwstawić. Życie jest tym właśnie, że nic o nim wiedzieć nie można. — Gdy nawet na siebie od strony życia patrzę, nie wiem o sobie nic. A chcę, żebyśmy została sobie choć ja jedna — —

— Narcyzo, Narcyzo, przypomnij sobie, co było między nami — —

— Pamiętam — —

Odwróciła od niego głowę, aby zataić rumieńce. Mówiła twardo, głosem cudzym i nieznanym :

— — to co stało się między nami... Ja tobie oddałam się, Andrzej, tylko z pogardy. To jest straszne, ale ja teraz nie kłamię. Ja to uczyniłam, by móc już gardzić swobodnie tobą, sobą i całą tą „miłością“. — — Myśli miałam wtedy różne, i ciało moje chciało pieszczoty, ale dusza łaknęła tylko pogardy — —

Przestała mówić. Czekala, że teraz on odcjdzie. Myślała że nie patrząc, usłyszy jego kroki — — Czekala na próżno : nawet obelgi, nawet jednego słowa —

Odważyła się spojrzeć. Był na tym samym miejscu — nieruchomy, z wbitymi w nią oczyma. Aż zadrżała, widząc, że taki jest bezbronny. Przejęła ją smutkiem bładość jego ładnej twarzy, bolesne zaciśnięcie ust. Po długiej chwili wyszeptał tylko :

— Narcyzo — —

Westchnęła łagodnie, z opuszczonymi oczami, mówiła :

— Widzisz, ja sama nie wiem, jak to jest. Usiłuję niekiedy robić rzeczy niskie, by osiągnąć ten stan, w którym nie byłoby się już ponad ludźmi. I to na próżno. Wyjeżdżam

na grzechach moich w coraz wyższe regiony samotności i wzgardy. Taka jest prawda. Cóż mam na to poradzić — ?

Milczał, mówiła znowu :

— I wiem, pomimo wszystko, że nie ma rzeczy gorszej, niż dobro. Nie uwierzyłbyś, jak złe jest to właśnie, com uczyniła dobrego. Nigdy już nie uczynię tego — aby nie zwodzić świata i nikogo nie krzywdzić. Na pozór będę odtąd jeszcze bardziej zła. Ale dla mnie tak nie jest. Ja jestem swoje życie. Odbijam się we wszystkim, na co patrzę. Próbowałam przecież z tym i owym walczyć, zмагаć się — i zawsze, zawsze napotykałam tylko siebie.

— Jaka omyłka straszna — wyrzekł gorzko. — Tak inaczej, tak inaczej myślałem o tobie — —

— Ja jestem naprawdę Narcyza — — Nigdy odtąd nie będę czyniła dobra — tylko wsłucham się w dziki, samotny śpiew instynktu, który jest hymnem dla mnie. Nic innego nie jest prawdziwe — — —

Powstał.

— Już pójdę — — Słyszysz? zaczęli jednak tańczyć tam na dole — — —

— Tańczą — — uśmiechnęła się — Miło mi, że rozchodzimy się w zgodzie —

— Tutaj zostaniesz —

— Zostanę — —

— Dobranoc —

Słyszała pośród tanecznej muzyki, jak zeszedł na dół po schodach — i nie uczuła żalu.

Przechyliła się głową na wznak przez oparcie krzesła, zamknęła oczy i cicho szepotała :

— Odtąd zamknę się w kręgu marzeń, w wysokim szumie skrzydeł mojej duszy. Wpatrzę się w białe, dalekie słońce jesieni i w głębinach zimnego światła czytać będę tę prawdę wiekiustą : że nic nie jest dobre — —

WACŁAW BERENT

LENA

Zamilkły na dłużej w okopach zewsząd pościąganych poduszek, rozłożone na wielkim łożu Leny jak na dywanie. Czasami któraś unosiła głowę, lecz słowa niepewne spadały z powrotem w pierś i zadumę. Tylko Oli nerwy napięte nie wytrzymały na sobie ciężaru milczenia.

Z histerycznym uporem powracając po kolistych bezdrożach wyobraźni wciąż do jednej myśli, jąła powtarzać swoje :

— A oni tymczasem idą. W tejże chwili : tam na czwartaku — gdzie ów muzyk. Wiem ! Widzę po prostu ! — mówiła, przysmykając powieki. — Gotuje się w drogę, uprzęta przeszłość ubogą pośród rupieci sprzętów lichych. W śmietnik nadziei, wszczynają zaledwie, pamiątek może jakichś — rozpadło się w tej chwili życie całe przed tą bladą twarzą, na której przenieśnienie wypisuje w tej chwili czarny krzyż zatracenia. Za co ? Jezus, Maria, za co?... I po co ?

A gdy te cienkie i drżące palce nacisnęły skronie rozbolale, wówczas rozchylały

się oczy przed tym bólem sobie sprawionym. I spoglądały swym żółtym blaskiem jak pijane : rzekłbyś, niedocuczone z oglądanych dali w na pół świadomą rzeczywistość.

Lena podjęła się przezornie i zbliżywszy się do niej, chwyciła ją mocno za ramię.

— Poniechaj tych myśli — mówiła surowo, kładąc jej zarazem dłoń chłodną na czole. — Tyś nam tu gotowa jeszcze jakim atakiem zakończyć... I co ty tam widzisz ciągle pod tą powicką drgającą?

— Wciąż to samo, od chwili tamtej wieści.

— Mianowicie?

— Krew.

Lena otrząsała się głową.

— Wszędzie! — szepiała tamta, leżąc pod jej ręką na poduszkach z oczami wciąż przymkniętymi ; wargi drżały kurczowo, twarz biała jak chusta, a każde słowo zdawało się sprawiać mękę. — Wszędzie! — powtarzała mimo to. — Na ulicach, gdy szłam : kaluże czzerwone, gęste... Na murach chlupnięte plamy... Przyjdzie krew daleka... Bryzgnie na mury... Wszędzie!... Lata!... Będą!...

— Co ty bredzisz?!... Przystań mi natychmiast!... Ty byś w tej chwili i wrózką być mogła — bagatelizowała umyślnie tonem tym niedbalszym, im bardziej niesamowitą wydała jej się w tej chwili ta dziewczyna. Tylko naokoło takich wieszczek musiałyby się chyba odbywać dzikie poszczęki mieczów i tarcz.

— Zawsze jednakowo dzicy.

— Mężczyźni, gdy zbrojni? Być może. I kto wie, może i my zawsze jednakie wtedy czujnością niepokoju, przecuciem. Może to, o czym tu mówiłaś niedawno, to ostatnie na dnie kobiecego serca jest właśnie tym, co w tej chwili odczuwasz ty. Tylko że na to trzeba mieć serce zwichrzone, zburzone rozterką do tego dna ostatniego. Roztargano ci duszę za ciało w taką aż potworność przeczuć. Rzucono biedną w te miękkie, gadzie łapy nerwicy. Nie daj się tej zmorze. Bo to naprawdę zmore jest. Wiedzie Bóg wie gdzie. Aż myślom strach.

Ten prąd opanowania siebie, jaki płynął z pełni zdrowia i sił jej mocnych kształtów przez dłoń na tamto czoło rozbolale, jał się jakby zmagać z nerwową dygotką, która uderzała nieomal iskrami z tamtej głowy. Jakoż jej sił żywotnych sprężność i uładzenie wewnętrzne zwyciężyły rychło niesamowitą zmore histerii. Ola ją obie jej ręce przyciskać sobie do czoła, oczu, kłaść je na płask na ciemność. Pozwalała na to z obojętnym niesmakiem, rozumiejąc instynktownie, że jakiegokolwiek skrzepienie wstąpić może w takie galaretki jedynie w przyplywie sił cudzych : że na te kalectwa duszne okład dłoni mocnej jest jedynym kataplazmem.

Jakoż tamta ukoiliła się niebawem tych swoich sił rozprzęgłych poddaństwem, uciszyła się oczywiście na swój sposób : w znużenie raczej, niżli ład.

Wtedy w Lenie wziął gorę niesmak : stała się twardą.

— Abyś nam tu nie powracała wciąż do tych samych spraw dręczących twe sumienie, wolę ci sama dokończyć wszczętych rapsodów. Z onym tępym „za co?“ i ponurym „po co?“ powlecze się przed tamtą bladą twarzą i twego oblicza widzenie... na otuchę ! Ile warte cele, tyleż i otuchy, mówiono mi niegdyś. Myślę, że my wszystkie mamy do rozdania tyleż otuchy serdecznej, ile ty w tym wypadku. I równie prawdziwej. Ale na nasze usprawiedliwienie : na równie dzielne i samodzielne ich cele.

Przerwała sobie, by przejść się przez pokój i poprawić zarazem włosów nieład. Lecz krok jej stawał się przy tym coraz to powolniejszy w myśli napływie. Przysiadła na krawędzi łóżka i prężąc ku dołowi splecione ręce, zadumę z lekką rozkołysana, mówiła głębszym tonem przypomnień :

— Ile warte ich cele, tyleż i nasze dla nich otuchy. Kto działa pod musem, tego

przekleństwem jest, że pielegnuje w sercu fałszywe ukojenia, jak ten, co działa nierzetelnie. Tak mi mówiono. I aż do końca! Bo gdy życie się przerwie, skłamanie sercem widmo oczy mu zamyka i całuje usta biedne... Zresztą nie moje to myśli, ani słowa nawet nie moje, tylko na pamięć prawie wyuczone w przypomnieniach nocy bezsennych. Ktoś, kogo zapomnieć nie mogę...

A wobec czujnego zapatrzania się przyjaciółek, powtórzyła ostatnie słowa z wyzywającym prawie naciskiem:

— Ktoś, kogo zapomnieć nie mogę... chciał mi dać w duszę tę wiarę, że wartość życia i śmierci naszej stoi w łączności dalekich bożych przeznaczeń od siły uczuć i głębi namiętności naszych: że one się wzajem w niebo wznoszą i krzyżują w kole żywotnego ruchu. A zdarza się w dziejach, — mówił, — że zatrzymuje się to koło w niemocy... Tak powiadał. Pamiętam wszystko!... A gdy to koło gdziekolwiek w gromadzie ludzkiej stanie, wówczas wzorzystość życia naszego, choć dla oczu pospolitych zda się taką, jak wszędzie na świecie, to przecie każda tej tkaniny niteczka jest barwiona w obłudzie przed sobą, w kłamie serdecznym. „A wtedy — mówił — wam kobietom wysychają krynice: wszystkie my wtedy jednakie, nad mętnymi źródłami sztucznych swych uczuć, lichego ich życia i żalosości ich śmierci“.

„Takie mi smutne nauki dawał. Więc zasłuchana całym zatrwożeniem duszy pytałam: jakie moce zdolają odeknać uczuć nieprawdziwość, życia fałsz i bezruch jego? Powiadał: „Było niegdyś przed tysiącami lat istnienie ludzi tak zastygłe między życiem i śmiercią, że po dziś dzień zostały nam te żywe w śmierci mumie. A ta zamra dusz zmusiła wtedy najmędrszych po raz pierwszy w dziejach świata do myślenia nad tajemnicą ruchu człowieczego życia. Co umyślili, było wtedy kłętą zakryte. Tylko w egipskiej gdzieś grobnicy rozmyślał takich pozostawili dziwny obraz: zamordowanego boga, z którego serca wyrastają kłosa siewne: odnowa życia... A potem, — mówił, — po dalszych tysiącach lat, gdy życie wyczerpane z sił swoich stanęło znowu w bezruchu dusz, jawił się ludziom Bóg inny, — zamordowany na krzyżu, — jawił się człowiekiem. Więc odtąd nie było to już tajemnicą sił ducha, lecz wiedzeniem o niej: wiarą! — Tak mówił. — A gdy po nowych tysiącach lat u innego znów narodu ruch życia stawał i stawał ciągle, a Boga nie było, wówczas ludzie z wiarą ową targali, targali raz po raz koło bezruchu śmiercią swoją. Wtedy była wielka prawdziwość uczuć ludzkich i pogodna ważkość życia i śmierci: był ruch!“...

„A wówczas krynice nasze kobiece poily uczuć i namiętności potęgą.

„Tak powiadał. Taką mi studnię na piachu życia mego kopał. A nie dla mnie tylko. I tak zatrudnionego...“

Zacięła się w przydechu tak głębokim, że zdawało się dziewczynom, że ten żal głęboki chyba w żyły jej się z piersi rozpląnął, gdy mimo wszystko spokojna, kończyła po chwili:

— Tak zatrudnionego w owej studni ja sama przysypałam piachem mego życia.

Odeszła w głąb pokoju, dokąd nie dochodziło ani światło ampli, ani dogonić jej nie mogły zaognione słuchaniem oczy dziewczyn. W mrocznej oddali znaczna była tylko wyświetlająca się plamą na poły rozpadłych włosów, z którymi porały się ramiona białe. Pochwyciła z kąta jakąś chustę ciemną i otuliła się nią cała, jakby powstydzwszy się nagle tych włosów obfitości, tych ramion nagich, tego tchnienia ciała od piersi nieprzysłoniętej i swego stroju barwności.

I tak wsiąkła w ocnę pokoju, sama w cień zatarta.

By po chwili podjąć znowu w tym musie pod wspomnień nawalem.

— I onego wieczoru ja to właśnie, ja sama, jak ten skłamanym sercem wid otuchy,

zamknęłam mu oczy i ucałowałam usta zimne — zadrgało krótko w ponurym przypomnieniu warg.

Tym dziwniejszym i jakby rozczarowanie niosącym wydał się dziewczynom po długim milczeniu głos jej jakby w sobie zacięty i hardy :

— Zresztą ja nie dam pogiąć się nawet i upiorom. Im gorszą się czuję, tym bardziej upartą być muszę : ot, tym kobiecym ratunkiem siebie samej przed sobą. I myślę wtedy : może wszystkiemu było winno to, że ja się rodziłam na taką, która raczej jak pies za skutą nogą pójdzie, niżli ptakiem za cudzymi skrzydłami polecą. I nie spadnie, nie spadnie nazbyt rychło w życia fałsz, już potem bardziej niżli kiedykolwiek nieuniknione. Bo mi te drogi gwiazdne każdy dzień życiem uśmiechnięty gasi. Mój diabeł trzeźwości szepcze mi wtedy do ucha : „A te wysyłania rojeń na gwiazdy nie dzieją się one także dlatego, że życie stoi zatrzymane? Tam drogi wolne ! Osobliwie dla tych, co są właśnie jak te mumie na wspaniałym : martwi w życiu powszechnym tym niedołęstwem swoim własnym. Zaś, co górnice pomyślane, to ładnie powiedziane, co ich do leż szczęścia roztkliwia, maż to naprawdę dawać życiu... siłę i hart? A tak roją oni przecież. Czy aby te nici ich właśnie najbardziej wzorzystych tkanin nie są barwione w kłamie wobec życia? I czy ta ich krynica nas... dzieci bezruchu — nie poila nazbyt długo — najtragiczniejszym kłamem serca? Osobliwie nas, kobiety? Czy ta nieprawdziwość nasza i życia okolnego nie pochodzi i stąd? Romantyczne my tu wciąż jeszcze bywamy, gdy się zdarzy, że duszą ocknięte ; — och, i jak bardzo zapóźnione wobec świata całego !

ANDRZEJ STRUG

KAMA

Nagle zabłyśły na nowo światła, Kama gwałtownie odwróciła się ku drzwiom wchodowym. Potok publiczności tłoczył się we drzwiach. Muzyka uderzyła marsza. Panie, sprzedające po kramach, zaczęły nakładać okrycia. Bazar był skończony.

Na dworze padał deszcz. Długo musiała czekać, zanim zajechała jej karetą. Błędnym wzrokiem rozglądała się po tłumie, szukając nie wiadomo czego. Nie rozumiała nic. Wiedziała jedno, że żyje, że będzie żyła jutro i może jeszcze przez długie lata. To ją przerażało i wydawało się niepodobieństwem. Nie mogła tego ogarnąć żadną miarą. Mokre parasole, błoto, zgłębki zajeżdżających powozów, zwyczajność tego wszystkiego przygnębiała ją, jak potworny, męczący, a nie dający się ogarnąć sen.

Ktoś ujął ją mocno za ramię i podsadził do karety. Klapnęły głucho drzwiczki. Ruszyli. Znowu przez okna zaglądał do niej świat obojętny, prawdziwy, nie wiedzący o niej nic a nic.

Niedawno zęgnąła go z rozkoszą, z dumną świadomością swojej wyższości nad wszystko co jest. Jechała jak królowa, dla której niczym jest prawo świata... Teraz wraca jak wygnanka, jak żebraczka. Musi poddać się brutalnej władzy jutrzejszego dnia. Musi w ciągu tej nocy zimowej pogodzić się z dawną dołą, ukorzyć się przed głupimi drobiazgami życia, przywiązać się na nowo do swojego dreptania po świecie, spotykać ludzi, którzy już byli poznikali, jak cienie. Trzeba będzie przypomnieć sobie ich twarze, ich imiona, ich potrzeby... Poznała z przerażeniem, jak straszną rzeczą jest pożegnać życie i pozostać. Wiedziała, że już nic ją nie zajmie i nie przywiąże do siebie naprawdę.



IGNACY PIENKOWSKI
Portret



KONRAD KRZYŻANOWSKI
Portret pani Witosławskiej



TADEUSZ PRUSZKOWSKI
Nad książką



LUDOMIR ŚLODZIŃSKI
Portret

Obudziła się jak inny, drugi człowiek. Tamten umarł; znikł. Jakże teraz będzie w niej żył ten drugi człowiek?

Kareta zatrzymała się. Do środka wszedł Leon. Już się gdzieś podziła jego liberia. Był w palcie i kapeluszu. Siadł, nic nie mówiąc. Pojechali dalej.

— Dlaczego się tak stało? — porywczo i ostro zapytała Kama.

— Dlatego, że nie przyjechał.

— Dlaczego nie przyjechał?

— Dlatego, że nie przyjechał.

Kareta dudniła głucho, deszcz siekł w szyby, i przez krople deszczu świat wyglądał mętnie, poczwarnie.

— Słuchajcie, Leon...

— Słucham.

Odwrociła się do niego, patrząc mu z bliska prosto w oczy.

— Słuchajcie dobrze i nie oszukujcie mnie. Ja jestem kobieta, ale ze mną nie trzeba było robić prób ani komedii. Jeżeli przebranie, ta bomba i to chodzenie po bazarze i to głupie kupowanie... Rozumiecie? Jeżeli to wszystko było jeszcze jedną pedagogiczną próbą — to wiedźcie, żeście mnie przeuczuli. Ja już nic nie zrobię! Nie chcę żyć. Nie mogę. Rozumiecie? Już jestem nauczona, wytresowana, sprawna, doświadczona! Już mi można powierzyć ważną, trudną rzecz. A ja nie zrobię już żadnej, nawet najgłupszej. Rozumiecie? Człowiek nie jest maszyną, którą można kręcić za korbę. Coś się we mnie popsulo. Ot i dosyć! Ja was błagałam, żeby nie było prób, komedii, oszukiwania! Mówiłam wam, że ze mną prób nie potrzeba, i przysięgałam, że zrobię dobrze. Raz, ale dobrze — a teraz...

— Nikt was nie oszukiwał. To nie była żadna próba. To była robota.

— Dlaczegoż nie przyjechał?

— Bo nie przyjechał. Już wam to raz mówiłem.

— Nie wierzę.

— Dobrze.

— Dlaczegoż by mu się śpieszyło na ten głupi bazar, kiedy nigdzie nie wyjeżdżał od pół roku?

— Taki miał gust. Przecie i jemu coś wolno.

— Skąd dowiedzieliście się o tym? Jaką macie pewność?

— Nic wam do tego.

— Puśćcie mnie. Niech stanie, ja wysiadam!

— Nie.

— Człowieku — nie, nie człowieku! Nadczłowieku, siepaczu, naczelniku, pogromco!... Zrozumieć, o co mi idzie! Ja nie mogę żyć! Ani godziny dłużej. Ja chcę dziś zrobić moją robotę. Ja wiem gdzie i jak. To będzie dobra rzecz. Niech nie ginę bez zasługi. Dowiedcie się jutro i sami powiecie, że dobrze było zrobione! A jutro o tej porze będzie ze mnie szmata, a nie człowiek, nędzarka. Ja nie chcę. Powiedziałam, że mnie starczy na jeden raz. Chcę dotrzymać słowa. Żegnajcie!

Leon oderwał jej rękę od klamki drzwiczek. Mocno, jak w obcęgach, trzymał jej dłoń w jednej ręce, a drugą szukał pod zakietem. Szarpnął, oderwał jeden guzik, odczepił pocisk od paska i puścił jej rękę. Kama chwyciła za puszkę, ujęła mocno i ciągnęła ku sobie. W tejże chwili dostała potężny cios pięścią po rękę. Ramię jej zmartwiało, puściła. Leon schował pocisk do kieszeni paltota. Jechali w milczeniu.

Kama nie poznawała nic. Napady ją obłąkane myśli. Na razie stało się, jak gdyby zapomniała o wszystkim co było. Pamiętała, że ją ktoś boleśnie uderzył. Kto? Za co? Czuliła się winną. „Co ja zrobiłam?“. Pytała, jak dziecko, które płacze, bo mu się przysniło

że je obito. Jakiś tuman zgęszczał się koło niej, przyćmiewając wszystko, wszystko czyniąc możliwym i nieprawdopodobnym. Czują tuż przy sobie obecność kogoś straszego. To jakiś człowiek, którego się boi, przed którym truchleje, jak pies przed zagniewanym panem. W głowie huczało ciągle, a miejsca, którymi jechali, stawały się coraz bardziej fantastyczne. Otwierały się jakieś niezmierzone przestrzenie, morza światła, morza ciemności...

Wreszcie oprzytomniała.

— Boże, Boże, i cóż się ze mną stanie? — westchnęła, nie zauważając, że mówi głośno.

— Odpoczniecie przez tydzień. Wyplączcie się, wyśpicie, nawyrzekacie, a za tydzień we środę o 12-ej w południe spotkamy się na Instytutowej. Będziemy planowali dalej. Musi się udać. Obmyślimy jakiś diabelski figiel. Ten łotr musi wyjechać. Ja go zmuszę! Wykurzę go z Zamku, ale tego nie dosyć, musi przyjść tam, gdzie ja na niego będę czekał...

— I ja?...

— Wy?... Towarzyszko Kamo, wy będziecie nam pomagali, będziemy układali rzecz razem, ale w ostatniej decydującej chwili was tam nie będzie.

— Będę!

— Nie. Powiedzieliście mi tu przed chwilą kilka słówek, które zapamiętałem...

— Nie wolno takich rzeczy pamiętać! To było może głupstwo...

— Nie. To była prawda. Są ludzie, którzy spalają się na jeden raz, i wy chyba jesteście właśnie taka. Mówiliście mi to nieraz, ale ja nie wierzę w gadanie. Wierzę w to co jest. Teraz dopiero wiem. Jesteście zatracona dziewczyna. Chcecie pięknie zginąć. Nie potraficie żyć do ostatniej chwili. Za wcześniej umieracie, towarzyszko. Na tym bazarze chodziliście jakby po polach elizejskich już na tamtym świecie. Nie potraficie do ostatka żyć intensywnie i trzymać w pogotowiu wszystkie władze duszy. Prawdziwy bojownik żyje jednakowo przytomnie aż do ostatniej sekundy, kiedy go rozerwie bomba. A gdy go schwycą za ręce i prowadzą...Cóż wy, Kamo, czynilibyście, gdyby was tak dopadli szpicle na tym kiermaszu? powiedzcie?

— Wy byście mnie odbili. Tam musieli być jacyś nasi ludzie, o których raczyliście mi nie powiedzieć.

— Mylicie się. Nikogo nie było, prócz nas dwojga, ale nie o to chodzi. Ja bym was nie odbijał. Co dalej?...

— Upuściłabym bombę, i rozerwałoby i mnie i szpicłów! Oto co!

— I kilkadziesiąt niewinnych osób. Ślicznie! Walka bojowa z publicznością kiermaszową. My po to egzystujemy! Zdaliście egzamin. Teraz dowiedliście sobie sami, że nie nadajecie się do pewnych robót. Dosyć.

— Nieprawda. Zupełnie inaczej postąpiłabym. Ja mówiłam ironicznie...

— Być może. Ale ja polegam nie tylko na tym, co i jak mówicie. Ja wiem, że właśnie postąpiłobyście tak a nie inaczej. A wiem to dopiero teraz.

— To jest wpierranie. To jest szpiclowanie cudzej duszy. Niegodziwość!...

— Owszem. Takie właśnie szpiclowanie jest moim obowiązkiem. Ja jestem szpicel rewolucji i jej kat.

— Szpiclujcie wroga — nie wolno wam katować swoich.

— Ja wiem, co mi wolno.

— Włazicie mi w duszę.

— Z butami — tak się to mówi. Nie jestem grzeczny, słodki. Ja zbyt szanuję ludzi...

Leon urwał. Deszcz siekł w szyby. Na pl. Aleksandra otoczył ich oddział kłusu-

jących huzarów. Przez kilka minut jechali, zagarnięci przez chmarę jeźdźców. Już daleko w ciemnych Alejach Leon roześmiał się dziwnie.

— Bo ja szanuję człowieka. I was niezmiernie szanuję. Dlatego mówię, co myślę i jak trzeba. Leon — drewniany człowiek, Leon — maszyna. Ej, towarzyszo...

Kama ze zdumieniem słuchała. Nigdy Leon nie mówił takich rzeczy. Głos mu się zmienił, drgał i zarywał się ze wzruszenia. Już czuła w oczach łzy. Poznała niezmierny ciężar, jaki dźwigał w duszy ten zimny, nieczuły człowiek, który wyprowadził ludzi na śmierć spokojnie, pedantycznie.

Pod wpływem tego zdumienia oprzytomniała, zapomniała o wszystkich swoich nieszczęściach. To znowu, słuchając, sądziła, że śni. Ten głos pełen rzewności, to serdeczne mówienie. Leon? Leon...

— Byliście przy tym jak wyprowadziłem na robotę Michała? Wyprowadziłem go na tamten świat. Wiadomo było, że stamtąd nie podobna wyjść cało. Wy żegnaliście go z tą piękną waszą serdecznością, jak siostra, jak kochająca. Ja robiłem mu przykrości, plugawiłem drobiazgami, głupimi żartami te ostatnie chwile. Jak wychodził, trzasnął drzwiami, mrużąc: „Bydłę“. Słyszeliście to słowo?

— Słyszałam.

— I pomyśleliście sobie to samo. Wy myślicie tylko o tym, że ginie kochany, swój człowiek. A ja — ja myślałam o tym, żeby ten człowiek nie zginął na darmo. Ja zawsze myślę tylko o tym, żeby się udało. Wyście Michała rozrzewniali, czarowali. To straszne niebezpieczeństwo! Ja widziałem, co się z nim dzieje. Trzeba go było otrzeźwić, potrząsnąć, postawić na ziemi, otoczyć głupstwami, przerwać tok jego myśli, które już opuszczały ziemię, wreszcie zirytować go, żeby kłął i złościł się, żeby czynił to co się robi codziennie, zwyczajnie, żeby po trosze zapomniał, że zaraz zginie, żeby to pomieszać ze zwyczajnością, z prozą, z błotem, ze śmieciem... Żeby się zdumiał, że ktoś może być w ostatniej chwili takim cynicznym chamem kiedy wyprawia się na śmierć kogo innego, a samemu się pozostaje. I poszedł urażony głęboko. O — urażony... Czy można to wyrazić, co on czuł wówczas? A ja muszę umieć to znieść, muszę pozostać w swojej roli... Choć wiem. Bo wiem, że nie spotkam Michała tam gdzieś między gwiazdami i nie powiem mu co to było... Wy tam między sobą mówicie: „Leon nie ma nerwów, Leon nie ma serca, Leona nie można polubić, to tylko maszynista, nakręcający nas jak automaty — on w nas nigdy nie widzi człowieka“...

Kama milczała, bo tak, tymi samymi nawet słowami mówiono o nim zazwyczaj.

— ... O, gdybym ja taki był... Taki mocny! Takich ludzi nie ma w Polsce. Na nasze czasy, na naszą piekielną, targającą człowiekiem walkę trzeba, żeby bojowiec nie myślał nic innego, tylko to czego chce od niego „robotą“ — jak my to nazywamy po naszymu. My — narzędzia, maszyny do ciskania bomb, szpiegi, podkradające się chyłkiem pod wroga, rycerze nocy... Tak o nas mówią — a zresztą... Czyż wszystko jest piękne, romantyczne w naszej walce? Czy wszystko już okupi i zmaże stryżek, który nas nie minie, czy katorga? Czy nie ma strasznych, obrzydliwych konieczności, przed którymi wzdrgnie się normalny, uczciwy człowiek? A nam się cofnąć nie wolno! Czasami taką rzecz zrobi tylko człowiek jakiś osobliwy, i takiego trzeba między sobą znosić, używać go, póki nie zdradzi, kiedy mu założą stryk na szyję lub póki mu się w łeb nie strzeli... Co ty znasz, co ty wiesz, dziewczyno...

Kareta toczyła się zwolna. Jechali wciąż nie wiadomo dokąd, przez obcy jakiś kraj. Coś nieznanego otoczyło nagle Kamę. Jak gdyby dopiero teraz poznała, co czyniła i na co się to ona ważyła. Rzeczy, przeżywane zwyczajnie, powszednio, z dnia na dzień, ukazały się nagle w swojej istotnej prawdzie. Było to niespodziewane. Wiedziała, że szła na śmierć — ale dopiero teraz poznała, co to jest iść na śmierć i co to jest zadawać

śmierć. Brała udział w różnych złowrogich, krwią cuchnących prawach, nosiła i woziła pociski i broń, robiła wywiady, naprowadzała rycerzy-skrytobójców na upatrzoną ofiarę. Nigdy nie przeszło jej przez głowę, żeby się wzdrygnąć, żeby się cofnąć, żeby powątpiewać. Teraz, słysząc, co mówił ten niezłomny i niedostępny dla ludzkich wzruszeń człowiek, wzdrygnęła się, jak gdyby się zbudziła ze snu, poczuła się opasaną przez oślizgłe zwoje zimnego gada. Ponuro, strasznie, jak czarne cienie na tle purpurowej łuny, ukazały się jej znane i ukochane postaci towarzyszy walki. W mroku nocy, przy dalekim odbłasku jakiegoś pożaru krząta się gromada czarnych ludzi. Pochylone są ku ziemi te kształty. Czołgają się ku ziemi i skradają się ku czemuś po nocy. Tam między nimi jest i ona. Chodzi wśród nich błada śmierć i wyciąga chude piszczele: jedną ręką wskazuje na coś, drugą miarowym ruchem zwolna, a raz po raz obala czarne ludzkie postaci. Stoi nad nimi cisza — groźna, napięta, zacząjona. Przeczuwa dusza czyjś straszliwy bliski gromowy głos.

Z dreszczem trwogi odwracała się Kama od poczarnej wizji. A Leon mówił:

— Ciasno duszy. Mizerne nasze środki — mizerny nasz cel. Tyle zabiegów, trudów, niebezpieczeństw i tyle ofiar — na co? Mówi się — dla przyszłości, wierzy się w przyszłą wojnę... Ale na teraz? Dla nas, którzy tymczasem przy tej robocie wyginamy? Dla nas zostanie celem największym „jego wysokoprewoschodicielstwo“, nędzny czynownik. Dla nas zostanie niszczenie drobnych posiepaków policyjnych. Na to pójdą wszystkie nasze prace. Za to my głowę oddamy. Bądźże rycerzem i miej tu znamię chwały na czole. Noś w sercu radosny, mężny zapal... Ponura nasza walka, ciężki trud — ta nasza krwawa robota — a nasza śmierć? Na polu bitwy umiera rycerz, grzmia mu armaty, tętnią konie — widzi kiedy się dźwignie z kałuży własnej krwi, olbrzymi obraz ścierających się mas i z tym obrazem w duszy odejdzie... A my? Sponiewierają nas w brudnym cyrkule, będzie nam pluć w oczy byle szpicel. Potem czekaj. Będą cię kusić, będą w tobie hodować podłość — czynić będą wszystko, żebyś sam sobie obrzydł... Mówi się, że prowokator — to prowokator, że to tylko podły człowiek. Ejże nie... Niejeden z tych, co zdradzili, zginałby bez wahania jako rycerz w pięknym, łatwym boju rycerskim. A u nas trudno. U nas ponuro. Szczęśliwy, kto jest ślepy i tego nie widzi. Młodość, młodość... Ale spala się młoda dusza w jednym czynie, w pierwszej próbie. W naszych piekielnych warunkach więdną dusze-kwiaty. Uciekają od nas, marnieją, giną. Zostają twardzi, bezwzględni, świadomi. A różny bywa ten człowiek twardy, wytrzymały. Ponuro się nosi, świata nie widzi, w śmierć swoją patrzy. Temu trzeba wybaczyć, takiego trzeba zrozumieć, bo mówię ci, dziewczyno, na takich nie-ludziach stoi cała nasza „robota“. Jestem ja, jest jeszcze kilku, których nie znasz — my podjęliśmy cały ciężar, my wytrzymujemy wszystko i wytrzymamy wszystko aż do samego końca. W tym co nas czeka, nic nas zdziwić nie może. Żadna klęska, żadna krzywda — żadna okropność! My nie marzymy ani o pięknie, ani o sławie, jak ty i wielu, wielu jeszcze wśród nas, bo my wiemy, że u nas nie ma miejsca na to co się nazywa „piękem“. Głęboko i na długo zakopana jest ta nasza prawda — ta prawda o naszej sprawie, o naszej męce, o tym krwawym wyrzeczeniu się wszystkiego co szanuje w sobie każdy żywy człowiek, co chroni, czego broni do ostatka i czego nie odda nigdy i nikomu! A my oddajemy... Łatwo dać życie — ale duszę oddać?...

Kama słuchała, wpatrzona osłupiałym wzrokiem w Leona. Nie mogła oderwać od niego oczu. Kiedy karetą mijała ciemniejsze strony, Leon zniknął, a głos jego zdawał się wówczas wychodzić z głębi zmroku, z jakiejś ponurej pieczary. Truchlała, bo w takich chwilach zdawało jej się, że jest gdzieś w niepojętym miejscu, w niepojętym świecie, i słyszy głos jakiejś potwornej nadludzkiej i nieludzkiej istoty.

Za mocne były wrażenia tego dnia. Kama co chwila traciła i odyskiwała siebie, usypiała — przenosząc się gdzieś, i wracała, budziła się jak ze snu. Przemknęła się w niej

krótka, błyskawiczna myśl i uleciała natychmiast. Ale ten moment był tak mocny, że ogłuszona, przez długi czas nie mogła zrozumieć ani słowa z tego co do niej mówił Leon. Wydało się, że ta chwila — to „teraz“ jest czymś wyrwanym już z „tamtego“ świata.

Odbyło się już wszystko tak jak być miało. Już nie żyje jej rozszarpane ciało. Poszła gdzieś w zaświaty dusza, popłynęła w niezmierzone dalekości, między gwiazdy. A teraz zabłądziła gdzieś w mrok, w ciasny jakiś zaułek tajemniczej krainy — tej samej, która czeka na każdego od urodzenia, tej samej, w którą nie wierzą tam na ziemi trzeźwi ludzie. Wieczność! Nieśmiertelność!

Czy to znaczy być i pozostać już na zawsze w czarnym jakimś kącie, w nieopisanym strachu — przed dręczącą jakąś zagadką?...

Zbyt mocne były wrażenia tego dnia. I gdyby ów najgorszy moment trwał choć o ćwierć sekundy dłużej, zerwałby się cienki włos, na którym wisiał tuż nad głową Kamy miążdzący ciężar obłędu. Pomieszałaby się prawda z przywidzeniem, otwarłaby się przed nią czeluść, pełna poczwarności. Jeszcze chwila, a zaroiłoby się wokolo od czarów i cudów, usta bełkotałyby bez sensu, siląc się na ujęcie i wypowiedzenie rzeczy niewypowiedzianych, nie mających ani kształtu, ani bytu.

Światło wypełniło znowu wnętrze karety — ukazał się znajomy profil Leona. Wróciła cała prawda istniejącego świata, odżyła w całej świeżości pamięć minionego dnia. Ale ogromne było zmęczenie Kamy. Ból sprawiało jej słuchanie, myślenie.

— I cóż, — mówił Leon, — po nas przyjdą te nowe czasy. Tego się spodziewamy. Przyjdzie wielka walka, przyjdzie zwycięstwo. Niechże im będzie na zdrowie, tym jutrzejszym pokoleniom! Jakies ogromne zdarzenia, wielkie czyny przywalały te nasze śmieszne walki. Wyplyną wielkie imiona, i pies z kulawą nogą nigdy nie wspomni jednej i drugiej i trzeciej setki pseudonimów, którzy oddali życie — i więcej niż życie! — Nasza sława!... Sława naszych walk, naszych prac? Kto o nas zapyta? Kto nam wynagrodzi mękę? Kiedy jaki psycholog odgrzebie naszą prawdę? Jaki poeta wyśpiewa *nasze* piękno? Niechże idzie od nas precz, kto marzy o sławie! Samotne nasze bohaterstwo i bez nagrody. Kto zniesie taki los — ten nasz, kto świadomie go dźwignie, ten wytrzyma do końca. Takich ludzi potrzeba na ten czas, a wielu ich jest? Ha — ha...

Zimna zgroza wpęła jej aż do głębi duszy. Coś dostrzegła, coś odgadła. Rozsunęła się przed nią jakby jeszcze jedna zasłona. Chciała wołać na Leona, żeby przestał. Bała się czegoś. Chciała zapomnieć o tym, co słyszała.

Nagle spostrzegła w sobie jakby blask płomienia. Znowu gorąca stała się jej żądza życia. Podniosła się w niej jakaś duma i poznała w jednej chwili, że jest już innym człowiekiem. Lepszym? Gorszym? Nie wiedziała.

Poczuła w sobie siłę. Dramat, który przeżyła tego dnia a który jeszcze tak niedawno złamał ją jakby na zawsze, na całe życie — teraz wydawał jej się drobną przygodą. Zachciała żyć, walczyć. O tym co ją czekało — cokolwiek bądź by to było — myślała z radością.

— Ty jesteś poezją, młodości jest w tobie lot. Rzeźnią i mordownią byłaby cała ta nasza robota, gdyby nie takie, jak ty, kobieta... Ot, dlaczego nam potrzebne kobiety — nie tylko do tego, że kobieta może się łatwiej prześlizgnąć, że na nią mniej zważają szpicle na ulicy! Chciałoby się was oszczędzić, chciałoby się wam wyszukać samego piękna... Mało go w naszym życiu. Po coś przystała do nas, do „rzeźników“? Nie lepiejby ci było zapalać ludzi na wiecach, sercem dzielić się z masami, które łakną i pragną tego serca i tak mało go mają od tej całej partii...

Kama przerwała mu wzburzona :

— Dosyć! Już wiem wszystko! Nie macie prawa mnie wypędzać! Nie macie prawa mnie żałować!

— Chcesz zginąć?

— Chcę żyć i chcę zginąć!

— Dobrze, obiecuję ci — zginiesz! Ale zginiesz z pożytkiem! Ale przedtem dokonasz, zarobisz na tę śmierć, żeby po tobie został czyn prawdziwy. Czyn... Pyłek to będzie drobny — wiedz i to, ale z miliardów takich pyłków tworzy się kurzawa dziejów. Kamo, dzisiaj zrobiłaś pierwszy twój wielki krok — to był twój chrzest. Czekają cię rzeczy trudniejsze. Będziesz mnie słuchała?!

— Będę!

Słuchała go zawsze, ale teraz zaprzedała mu się całą duszą. Będzie ją mógł prowadzić dokąd zechce. Czuła jakby łańcuch na szyi i czuła go z radością. Była dumna z tej swojej pokory. Znowu poczuła w sobie zmianę. Na lepsze? Na gorsze? Poczowała, że chce służyć wiernie, jak pies, długo, jak najdłużej, i że gotowa jest zginąć natychmiast, jak będzie potrzeba — jak rozkaże Leon. Znalazł się ktoś, co będzie za nią myślał, za nią stanowiął. Poczowała się bezpieczną, nareszcie spokojną.

— Kamo — o tym wszystkim ani słowa. Nikomu! Po co to mówiłem? Po trosze czułem potrzebę ulżenia sobie, i tym jest moje przestępstwo, które zaprawdę jest wielkie. A głównie chciałem ciebie podeprzeć w złej godzinie i przygotować do rzeczy dalszych. I tego też chciałem, żebyś mi wierzyła. Mnie polubić nie można, ale — ufaj mi!

— Nie wiem, co znaczy lubić, nie lubić. Uczynię wszystko na wasze jedno słowo.

— Bez przesady, towarzysko! Powracając do rzeczy praktycznych... — tu głos Leona stał się zwyczajny, suchy, ostry — muszę ci z całą powagą i surowością zwrócić uwagę na jedną rzecz. Szarpałaś się tu ze mną i chciałaś wysiadać. To źle. Ale szarpałaś się ze mną, kiedy trzymałem w ręku bombę. Otóż można wariować, mówić nonsensy i tracić głowę, ale *nam* nie wolno nigdy, w żadnej okoliczności zapominać o tym, że bomba raz tylko upada! Uderzyłem cię i nie przepraszam. Bolało?

— Jeszcze boli. To dobrze. Zasłużyłam.

MARIA KUNCEWICZOWA

„CUDZOZIEMKA“

Róża wyprostowała się, odchyliła w tył głowę.

— Ten mój pobyt w Królewcu...Przyjechałam, jak zwykle, rozdrażniona. Więcej nawet, niż zwykle. W Warszawie nie mogłam już wytrzymać, serce zaczęło boleć jakoś po nowemu, nie tak jak dawniej, mdląco, poetycznie, tylko ordynarnie: jak rana. Ludzie bardziej jeszcze wydawali się dokuczliwi. Chodzę po mieście, przy próbach twój *recitalu* niemieckiego asystuję niby normalna, przytomna — a w mózgu ciągle jedna myśl: „Koniec z tobą, Róża. Nie ma co dłużej czekać, twój los ludzki nie wypełni się nigdy, kaleką zejdziesz do grobu“. I żyły mało nie pękają z bólu. I ból w gniew się zamienia. Władysław, kiedy mnie zobaczył (zjawiłam się bez zapowiedzi, paszport miałam roczny), zląkł się: „Co to, mamó? Czy tatuś chory? Czy Marta rozwodzi się z Pawłem?“. Mnie naturalnie jeszcze gorsza złość wzięła: zawsze wszyscy o wszystkich niepokoją

się, tylko nie o mnie. Jak gdybym to nie ja była najniezszczęśliwsza, najbardziej zagrożona! Nakrzyczałam na niego, słabo zrobiło się... On, ty wiesz, jaki dobry. Zaraz: „Mamusia musi iść do doktora, mamusia źle wygląda, ja nie odstąpię“. Zatelefonował, ułożył wizytę, ja nazajutrz idę... Niemców nienawidzę, doktorów nienawidzę, siebie zabiłabym za te wszystkie hece... A zdrowie naprawdę niedobre. U doktora w poczekalni siedzą — dwie paniulki. Niemkinie, w takich wiesz, kastorowych kapelusikach na czubku głowy, i młokos w mundurze. Trzeba poczekać. Pism cała sterta na stoliku, biorę ja szkła... chcę czytać... same niemieckie. Gotyku cierpieć nie mogę; wzięłam, popchnęłam binoklami, smyrę! na ziemię te piśmidła. Fircyk w mundurze biegnie i podnosi... We mnie krew zagotowała się: spojrzałam na niego jak na glistę, mówię: „*Danke, ich lese keine deutsche Zeitungen*“*. Akurat wtedy drzwi otwierają się do gabinetu — doktor prosi mnie. Więc wchodzi, cała jeszcze gorąca, czerwona od tej sceny z gazetami. Zerknęłam, widzę: przysadkowaty Prusak, tylko oczy blade, spokojne, bardzo czegoś mądre. Popatrzył uważnie... Pyta się: taka i taka? wiek? choroby? Wszystko zapisuje... Raptem: czy z życia swego zadowolona? Jakby piorun we mnie strzelił! „Ach ty, taki owaki, — myślę, — to ty będziesz mnie na prywatne rozmówki wyciągał? na plotki? A zaśię tobie, Szwabie!“ Przyjrzałam się jemu tak, jak to ja potrafię, że aż w pięty pójdzie... i powiadam: „Mój panie, dziwnie pan zachowuje się wobec pacjentów, nie wiem, co to może mieć za znaczenie dla diagnozy, czy ja z życia zadowolona jestem, czy nie. To może w Niemczech modne są takie blagierskie sposoby? A zresztą, jeśliś pan ciekaw, owszem — powiem panu. Tak, jestem bardzo z życia mego zadowolona. Moi przodkowie męczyli się dla ojczyzny, ja także nie traciłam czasu na głupstwa... I mój syn pierworodny teraz dla Polski odrodzonej pracuje. Wykształciłam go tak, że mogę być dumna z niego. Pan go zapewne zna, pan go widuje, jeździ wielką taką limuzyną... Tak, panie; może pan być pewien, że póki on tu jest, żadne szacherki pruskie na Mazurach nie ujdą na sucho, o nie“. Wysłuchał; jeszcze i potakuje: „*So, so, na ja, schön*“**... Tylko tak mi się zdalo, że jakby nie ludzkiej mowy słuchał, a nad strumieniem siedział i — z pobłażaniem, ze smutkiem — zatapiał się w jego szmer... Machnął ręką, mówi: „Proszę się rozebrać“. Cóż? ja doktorów zwyczajna, doktor nie jest mężczyzna, a przy tym... stara ja przecież. Odpięłam bluzkę, stanik, poobsuwałam ramiączka. Założył mi powyżej łokcia przyrząd do pomiarów ciśnienia krwi, zaczął mocno, syknęłam, on — nic, czeka, patrzy potem na tarczę — kiwa głową, że niby rzecz dobrze jemu wiadoma. „Postuchamy serca“ — powiada i tę głowę swoją wielką, kosmatą kładzie na mojej piersi... Dreszcz przejął; straszno się zrobiło. Opycham. „Cóż to takiego? — mówię. — Od tego jest słuchawka, co za dzikie porządki!“ On znowu nic, tylko nie ustępuje. A kiedy szarpnęłam ramię, wziął moje ręce jak w kleszcze. Patrzę: oko jego jedno tuż przy moim ciele, czuję nawet, jak rzęsy łaskoczą — a w tym oku takie skupienie... na czole żyła wystąpiła. On słucha. Cała zmartwiałam, ucichłam. Co on słyszy we mnie? Takie szmery i sprawy, głowę swoją podniósł, wygląda jakby wracał — zmęczony — z daleka. Mnie ręce trzęsą się, nie mogę zatrząskiem na zatrząsk trafić, a doktor ten... Gerhardt... spojrział. Uśmiech taki... ja nie wiem... taki chyba... boski? na jego twarzy. I mówi: „*Ach, so alt und so dumm ist noch immer dies Wesen*“†... Bierze pióro i pisze receptę.

Róża umilkła. Zdumienie z powodu słów doktora Gerhardta nie przedstawiało widać dotąd zapierać jej tchu w piersi. Uniosła w górę dłoń, spłotła je, jak do modlitwy.

— Marciu, — oprzytomniała po chwili, — słyszysz? „*So alt und so dumm*“ — tak powiedział. A ja? Co ze mną się stało! Pomyślałam, że po niemiecku nie rozumiem...

*) *Dziękuję, nie czytam niemieckich gazet.*

**) *No, dobrze, pięknie.*

†) *Ach, takie stare i takie ciągle głupie jest to stworzenie.*

Pytam się: „Was, was? comment?*, co takiego?“. On pisze dalej. Schwyciłam go za rękaw i tarmoszę. Wszystkie krzywdy, wszystkie naigrwania się losu nade mną, wszystkie niepojęte wyroki stanęły w pamięci i pałą do żywego. „Co pan? co pan? jakim prawem?“ — krzyczę. Odłożył pióro. Ja śmieszna pewnie byłam: rozjuszona stara jęzda, na pół goła... Wstał, z góry spogląda na mnie, oczy ciągle dalekie, olśnione jak gdyby takim światłem, którego ja nie widzę... Raptem gładzi mnie po ramieniu i szepce trochę po polsku, trochę po niemiecku: „Nic, nic... Nie gniewać się tak. Nie złościć. *Nich so immer grollen*“. Poczułam, że coś pęka, że coś twardego jak żelazo łamie się wkoło mnie, i zostaje bezbronna, miękka, istny ślimak bez skorupy. Skóra cierpnie, że ot, dotkną... i nie będzie czym osłonić się... nie będzie czym serca uchronić! Zgroza. Ale — Marcju — jakież szczęście! Jakie wyzwolenie! Już chciałam zapłakać... Nie; pycha nie pozwala. Znasz moją ulubioną pieśń. Właśnie przecież: „*Ich grolle nicht*“ Schumanna — zawsze ją w złych godzinach śpiewałam. Więc naciągam prędko bluzkę i mówię: „Czego pan czepia się mnie? *Ich grolle nicht*. Pan postępuje jak szarlatan“. A on... On, Marcju, żeby choć skrzywił się albo zasepił! Nic. Siadł z powrotem przy biurku, obserwuje mnie — czasami ojcowie patrzą tak na swoje małe dzieci — z zadumą, z podziwem, z litością... Nareszcie mówi: „*Mehr Ruhe*. Spokoju, spokoju... *Und so eine wunderschöne Nase haben wir*“***...

Znowu Róża przerwała opowieść. Było już zupełnie ciemno w pokoju. Marta posłyszała raczej, niż zobaczyła, że matka szuka czegoś w torebce. Wyjęła i wsunęła w dłoń córki nieduży kartonik.

— To jest moja fotografia z tamtych lat... Z lat Michała. Widziałaś ją. „*Diese Nase. Diese wunderschöne Nase*“... Któż to już raz powiedział tak o mnie, przy mnie? Jakież to sprawy jedyne, nieziszczone, najlepsze i najgorsze, zaczęły się od tych słów? Marcju, ty wiesz... Marcju.

Zachłysnęła się: cieniutko, śpiwnie zapłakała. Marta w popłochu ogarnęła ramionami ciemną postać.

— Matko droga, wiem. Lepiej już skończ...

Róża jednak rozplotła objęcia.

— Nie, nie, do końca daleko... Słuchaj. Tamte słowa... Z tamtymi słowami — zacięła się. — A cóż to za ważne słowa? Wstyd i śmiech powtórzyć komu! Że niby ktoś mógł przez całe długie życie powtarzać sobie takie głupstwo w ciągu bezsensnych nocy i parszywych dni — raz na pociechę, raz na szyderstwo... Że mógł tymi dwoma słowami nakarmić całe swoje życie. Ale, Marcju, trzebaż wiedzieć, jak było! Przecież sens słowa nie zawsze jest ten sam, głupie słowo może nabrać nadludzkiej powagi, jeżeli padnie w chwili, która na nie czeka... Ach, ja czekałam, ja tak strasznie z całej mocy czekałam wtenczas w Warszawie na dobre czyjeś słowo! Powiedzieli mnie: „Do ojczyzny jedziesz, do Polski, do rodaków. Bądź szczęśliwa. Bogu podziękuj“. Jechałam ja i marzyłam. Taka podróż wtenczas — tydzień blisko. Trzecia klasa, twardo, kupcy dziegciem śmierdzą, wszędzie *siemieczki*† i czajniki z gorącą wodą. Luiza nos watką perfumowaną zatyka i karmelki miętowe ssie. Każdego potrąca, nie odpowiada, jęczy tylko: „*Ces sales brutes, ces katzapes*“‡. W Kursku na stacji nocą słowiki śpiewały. Wychylałam się, słucham... Odciąga mnie od okna: „Jakie to słowiki? Gawrony! *Tu vas entendre les rossignols de Łazienki. Tu vas entendre, Rosalie*“¶. Gdzieś tam znowu gaj pięk-

*) Co? co?

**) Więcej spokoju. A taki przecież przelicznny nos mamy...

†) Pestki.

‡) Te brudne bestie, to kacapy.

¶) Usłyszysz słowiki w Łazienkach.

ny, lipowy. „Nic to — powiada, — A czy widziałas sosny, świerki? *Szumią jodły na gór szczytynie...* Zobacysz, zobacysz“. Niektórzy podróżni wtykali mnie w ręce kawał pieroga czy kawona. „Nie bierz od tych gburów, — mówi, — od swoich co innego, wszystko przyjąć pozwolę“. No, i Polska nareszcie. Oczy mało nie wyskoczą z głowy, serce z piersi — przygotowywałam się na cud. Tymczasem za Białymstokiem chałupy takie same, sosny, owszem, ładne, choć smutne. Wreszcie pokazali się inni ludzie... Wsiada grubas w pudermantlu. Wąsy jak wiechy, czapa na bakier, wzrok groźny... Ciotka mało nie skręci się z zachwytu. Szepce: „*Regarde, c'est le vrai type d'un noble polonais. Quel nez aquilin, quelle dignité et quel sentiment*“*. Patrzę z nabożeństwem, a grubas tymczasem toboły roztasowuje. Stangret w liberyjnym kaszkiecie układa pakunki na półce, pod ławką, wszędzie. Mój kuferek stał z brzegu, stangret chce jego ominąć, a nasz *noble* wrzeszczy: „Czegóż, gamoniu, skrzynki nie zrzucisz? a gdzie umieścisz indory?“. Chłop zawahał się, mruczy: „To tych panów“. *Noble* wtenczas wystawia na nas gały i jak gdyby bada: ważne persony czy nie? Widać, uznał że nie ważne; nos rozdał, wąsiska nastroszył, powiada: „Paniów, nie pańów, mnie się tu więcej miejsca należy; w konstantynowskim powiecie włóczęgów dużo, ale pan prawdziwy jest jeden — Winolęcki do kroćset! Zrzucaj, Wojtek, pudło“. Luiza zatrzepotała: „Przepraszam pana, ten kuferek całą prawie Rosję na tym miejscu przejechał i nikomu nie wadził“. Nie zdążyła skończyć, grubas jak nie huknie na nią: „Imość mi tu nie rób mitręgi. W Rosji nie wadził, a mnie zawadził i basta! Prędko, Wojtek, bo kasztan — widzę — gryzie srokatkę; poniosą juchy i brykę rozbiją“. Toż ten Wojtek łomot! moim kuferkiem o ziemię, indory wepchnął, słyszę, że coś trzasnęło. Rzucam się całą drżąca, otwieram, a tam lusterko kadeckie mego ojca, którego mi użyczył na drogę — stłuczone. Papo nieraz opowiadał, jak w święta, kiedy koledzy rozjeżdżali się z korpusu po krewnych, on — sierota weterański, siadywał przed tym lustrem, uprzejme miny sam do siebie wyrabiając z nudów albo w twarz swoją tęsknie wpatrując się, żeby odgadnąć, który rys ojca bohatera przypomina, a który matkę — z gorącego kraju przesłiczną podobno kobietę. I tu — masz! — na progu Polski lusterko to moje, męczeńską pamiątkę, „*le vrai type polonais*“ rozbił w drzazgi... Zapłakałam. Ciotka długo kłóciła się, zawołała konduktora, ale ja uciekałam z przedziału i już tylko ze strachem, z nienawiścią patrzyłam z daleka, jak grubas później kiełbasę żarł, wódką popijał, a Luiza pani de Staël romans wyjęła, żeby swoją edukacją grubianina pognębić.

Róża zaśmiała się.

— Ot, jak mnie w Polsce witali! A potem... Opowiadałamżeż ja tobie nieraz te dogryzki, docinki. Warszawiaczkowie bardzo są dowcipni! Ciotka tak samo... Niech ja tylko skrzywię się albo po rusku zaśpiewam — zaraz wilkiem patrzy: „Dosyć, dosyć taganrogskich fochów! Popatrz na siebie, do czegoś ty podobna, nic dziwnego, że ludzi w oczy kolesz — istna Cyganicha. Lepiej postaraj się być do Marylki podobną, prawdziwe to jest polskie dziewczę“. Jeden *maestro* od początku słodkie oczy wywracał, ale brzydziłam się i nie wierzyłam ja dziadowi staremu... Więc pomyśl, Marciu, co znaczyły, czym stały się dla mnie te słowa Michała!... Kiedy on — piękny taki, syn mistrza, polskiej sławy syn, tutejszy warszawski młodzieniec — zapatrzył się we mnie jak w zjawisko... kiedy ręki mojej szukał, pobladły... kiedy, wyrazów dość rzadkich w mowie własnej nie znajdując, po niemiecku aż urodę moją chwalił... to tak jak gdyby Polska pierwszy raz w ramiona mnie swe przygarnęła! Nie tylko wiarę w siebie odzyskałam, nie tylko miłość do pięknego tego i dobrego Michała zapaliła się we mnie, ale i ojczyznę raptem poczułam wkoło siebie, ziemię własną pod stopami i Boga nad sobą!...

*) *Popatrz, to prawdziwy typ polskiego szlachcica, jaki nos orli, jaka godność i jaki sentyment.*

Marta ucałowała palające policzki Róży.

— Odpocznij trochę, nie trzeba się gorączkować.

Odsunięto ją.

— Nie, nie, nie przerywaj! Nie mogę o zdrajcy tym myśleć i milczeć; nie mogę. Wszystko, los cały mój on mnie odebrał. Zdradził — i świat zdradził razem z nim: Bóg, Polska, każdy dzień, noc każda mnie później zdradzała przez czterdzieści pustych lat!!

Teraz dopiero umilkła, wyczerpana. Za ścianą rozległy się dzieciinne głosy, szuranie krzesłami: siadano do podwieczorku. Róża pod wpływem domowego gwaru oprzytomniała, potarła czoło.

— Nie wiem, — powiedziała innym, tym swoim nowym, cichym głosem, — żyje on czy umarł... Do niedawna, wspominając go, przeklinałam. Dziś mówię: jeżeli żyje, pokój z nim. Umarł? Niech ziemia lekka jemu będzie. Dziś... ja odpuściłam każdemu.

Wstała. Jak cień czarny, zaczęła bezszelestnie krążyć między meblami. Niebawem przemówiła znowu:

— Tak; zbliżam się Marciu, do najważniejszej rzeczy... Przez kogo? dzięki komu mogę dziś odpuścić winowajcom i prosić, żeby mnie odpuszczono? Dzięki — niemu. Dzięki — Gerhardtowi. Urocznymi słowami odezwał się ten Niemiec w Królewcu! Przed nim stała zła, śmieszna, stara kobieta, której nie dany był przeżyć swego życia: prawda... Ale mnie, kiedy posłyszałam te słowa, wydało się, Marciu, że tak nie jest! Że to Róża rozkwitająca. Że to stoi z czarnymi warkoczami śniada, obca, w nieznanym ojczyźnie zabłąkana dziewczyna z sercem jeszcze cichym i mocnym... I że nie doktor, nie Niemiec, tylko Michał zachęca mnie znowu do świata!

Cień stanął; przybliżył twarz do twarzy Marty, w żrenicach widać było olśnienie.

— Mnie wydało się, Marciu, że nie za mną, a przede mną życie. Wszystko co nie moje, przypadkiem i własną złością na mnie w ciągu lat z walone — Adam, jego dzieci, nieudana muzyka, cała góra niedorzeczności okropnych — wszystko to mózgu i z piersi ustąpiło... I obudziłam się w *tamtej* godzinie, pośród *tamtego* wieczoru u Bądskich, w szesnastej mojej wiośni. Szczęście, szczęście nadludzkie! Obudziłam się... Patrę w oczy łaskawe, miłość czuję, chcę zaśmiać się, ramiona stulić, w uścisk oddać ciało; duszę w niewolę, usta same coś szepcą... I przytomnieję. I słyszę, co moje usta powtarzają: „*So alt und so dumm ist noch immer dies Wesen*“... Nie wiem ja, Marciu, jak zapłaciłam, jak wyszłam... Doktor odprowadził mnie do drzwi — to wiem, bo jeszcze jedno spojrzenie jego zapamiętałam, jedno dotknięcie, słowa jeszcze jedno... Położył rękę na moim ramieniu... Przytrzymał mnie w progu, wzrokiem ciężkim objął, zaszeptał: „*Rube... Rube... mein Kind*“*.

Róża siadła w fotelu *Sophie*. Marta nie śmiała nawet westchnąć. Milczały długo... Wreszcie ze wspomnień, z otchłani tajemnic wyszedł znowu głos Róży:

— Niedługo koniec już mojej sprawie, mniej cierpliwość. Powiedziałam: dzięki Gerhardtowi odpuściłam moim winowajcom i sama o odpuszczenie proszę, Ty pewnie zapytasz się zaraz: dlaczego? A ot, córko moja, dlatego, że *on jeden nie zląkł się mnie*. On jeden nie słuchał słów moich, tylko serca posłuchał. On jeden dzieciństwo w starym moim sercu zobaczył. Nie perswadował nic, nie walczył ze mną, nie obrażał się i nie pochlebiał: głupie serce skrępował, językowi złemu kazał milczeć — serca słuchał i męczarnię jego rozumiał.

*) *Spokoju, spokoju... moje dziecko.*

LENORA

Lenora promieniała radością płochą, rzewną, jakby było ważne, to wspólne sypianie na ziemi, niczym najprawdziwsze małżeństwo. Cóż, gdy za każdym szczęściem zaraz później kryje się nieszczęście. Bo kiedy Tadek odjechał autem dyrektorskim z Zielonego w ów wieczór księdza Kani, przysięgła sobie, że już koniec z tym chłopcem zaprzędanym, i całą noc płakała gorzko.

A gdy jeszcze w obliczu redukcji na kamieniołomach przyzywał ją tutejszy strzałowy do sztygara załatwić „po dobremu“... Śmierć podnosiła się w Lenorze na tę myśl, że to ma być po dobremu czyli po świńsku. Ze nigdy, teraz nigdy!

Rzekła więc między rzutem łopaty pierwszym, trzecim i dziesiątym i innym, kilkunastym:

— Po co ci taka głupia dziewczyna, jak ja, Tadek, po co?

I znów sypali.

Rzekła też:

— Strejk tu będzie ogromny, wielkie nieszczęście idzie. Wiesz o tym?

Znów sypali.

Wtedy zaś rzekła jeszcze:

— Ciężko tu jest dopiero w zimie. Każdy skamla do płuczek. A jak się nie dostanie, to marny jego los. Tadek, Tadek, lepiej wróć do Warszawy do swego ojca wielmożnego.

— Nie bój się. — Roześmiał się wesoło jak do małego dziecka. — Nie bój się, dostałem dzisiaj sto dolarów. Na nasze interesy, od Kostrynia.

Przemilczała wyznanie Tadeusza. Przemilczała też wszystek swój gniew o taką sprawę.

Opowiadała tylko, temu swemu Tadekowi, między rzutem łopaty i rzutem, coś innego, nie w porę, nie do miejsca, ani też do osoby, że tu właśnie dobywają zamułkę. Aby wiedział. Aby to zapamiętał. Tak sobie, bez znaczenia.

— Ta ziemia jest zamułka, co ją kruszysz. Wagonikami jedzie stąd na kopalnię, aż do wiekiego podnośnika, co stoi murowany koło portierskiej budy Supernaka. Tam kruszy się tę ziemię jeszcze więcej, w wielkich „silozach“ przerabiają ją i znów rurami wiodą do podziemi i w taki sposób podsadzają miejsca po węglu wybrane. Wszystkie urobki. Inaczej — westchnęła dzwięcznym szumem swych piersi wysokich — pozapadałoby się tutaj. Węgiel mężczyźni drą z dołu. To jest prawda. A znów żeby się wspierało, żeby było wstrzymane, we wszystkich pustkach wypełnione, to już kobiety głównie.

Nie to chciała powiedzieć, coś innego: o tym, że jak zamułka przenika w głębinę i ciemności, na zawsze już po całe wieki ugnieciona, na zawsze skamieniała, tak tu jest praca kobiety ugnieciona i skamieniałe serce.

Tadeusz palnął pięścią w ścianę wagonika:

— Już masz pełny!

— No a flek?!

Pochylili się razem, jęła ziemię przegartywać we wózku. Powtarzała z żalonym roztargnieniem: „No, a flek, no, a flek?“ — aż znaleźli za blaszaną poprzeczką.

— To masz flek — wyrzekła cicho, błada ze wzruszenia.

Wziął jej z ręki małą, wąską deszczułkę, na której wypalony był numer, imię i nazwisko. Poszczerbionymi literami, jak na starych, zapadłych mogiłkach: „Lenora Duś“.

Ugięło się i pociemniało wszystko w Dusiównej od słów:

— Żebyś to o mnie wiedział, jak dozorczy muszą wiedzieć z tego fleka, która to

robotnica wózek wyrobiła. Całe imię i nazwisko. Jak się nazywam. Żebyś to sobie zapamiętał...

Nie mogła więcej mówić. Gdyż nie może być człowiek we wszystkie strony rozdarty. Jeżeli do sztygara wołają, a do redukcji zawczasu podali, a tu kochanek dolary bierze od tej samej dyrekcji, a tu jest sprawa komunizmu!!

— Żebyś to o mnie zapamiętał, imię i nazwisko.

Mrugała powiekami, wstyd spływał jej przez oczy, gdy Tadeusz wspominał, że wtedy, nocą w Domu Robotniczym, na ściółce, nie chciała wyjawić nazwiska.

Wsparta na swej łopacie, patrzyła szarym spojrzeniem jak do wydłubanych w kamieniołomie dziur przywleczone żelazne szpryce, czyli wiertarki, pracują sprężonym powietrzem. Robotnicy wwiercali w kamień strugę rozgłośnego tarcia, która wracała z głębi na powierzchnię, sypiąc ciemnym miąłem.

— Wyśrubowali wiertakami dziury — zakładają miedziankit — rzekła nagle z nieśmiałym uśmiechem.

Przez środek gliniastego półkola przebiegł mały zmarznięty człeczyna. W rudej kapelusinie, w połatanej kapocie, ze złotą trąbą na sznurku.

— To jest strzałowy, — objaśniła Lenora, — dwa razy będzie trąbił, żeby ludzie z roboty zeszli, żeby się pochowali. Za trzecią trąbką wybuch, i ustrzeloną skalę znowu będziemy ładować.

Taki to jest strzałowy: biedny, stary świntuch, który tu był dozorcą ongi na kopalni, z dziewczynami załatwiał się wtedy wygodnie pod wagonem. Teraz za strzałowego służy, trąbi i sztygarowi rai. Nazwisko — Marian Kurek.

Już trąbił po raz pierwszy. Robotnicy zsuwali się z kamieniołomu i szli w stronę drewnianej budy na brzeg urwiska. Już dziewczęta od wózków odbiegły, pstrą gromadą zamieszanych łachmanów. Gdy rozległo się drugie trąbienie, ręce Lenory wionęły wzdłuż ramion Tadeusza i opadły.

— Czas zejść, — rzekła, — bo zapalili lonty miedziankitu. — Westchnęła i znów mówi: — Po co ci taka głupia dziewczyna? Po co? Po co?

Chwytała go za ręce zimnymi palcami, przystawała do niego z pytaniem swoim ciszej, ciszej i ciszej, spłoszona, wylekniiona. Tadek śmiał się, wracali w stronę budki, wsparła mu nagle dłonie na ramionach z okrzykiem:

— Zmykaj prędko!

W jej szarych wielkich oczach płonęło przerażenie. Popchnęła Tadeusza w stronę budy, sama zaś poskoczyła z powrotem, ku kamieniołomom.

Kurek Marian otrząbił już raz trzeci.

Ludzie wszyscy wrzasnęli, ton trąbki oberwał się wysoko. Lenora pędziła ku wózkom, prosto pod napelnioną ogniem ścianę, pędziła w takiej ciszy, że furkot spódnic łomotał niczym skrzydła. Pędziła prosto na śmierć... Tadeusz zatrzymał się wpół drogi.

Pod ową skalą straszną przywarła nieruchoma z twarzą dłońmi zakrytą... I tu dopiero rozprysły się w Lenorze nieszczęśliwe myśli, gdy usłyszała nagie, dzikie wołanie Tadeusza:

— Lenora! Ach — Lenora! — Lenora!!!

Wiatr skrecił krzaki na urwisku — goniła już z powrotem wszystką siłą szalonego serca, spódnicę pienia się powyżej kolan na odsłoniętych udach — już czub skały rozprysnął — twarde skoki Lenory biją głośno o ziemię — Tadeusz puścił się naprzeciw — powietrzem szarpnął huk — zderzyli się pierś o pierś — kawały ziemi latają nad skałami — Tadeusz i Lenora chwycili się rękami — objęli ramionami — ziemia tylko omdlewa jeszcze i spada po wybuchu.

Obstąpili ich ludzie. Baby zaczęły krzyczeć, przyleciał Kurek Marian, czyli strzałowy, i zaczął czuć parę rozdzielać swoją trąbką.

Tadeusz w odpowiedzi na to — że się nazywa Mieniewski, syn posła — i nic nikomu do niczego, i wyprowadził Lenorę stąd, coraz dalej wprost słońca rozesłanego na wyblakłym niebie. Aż ku jakiejś murawie starej, po której wiatr polatał. Tak szli, rozpadlinami, niebo leciało górą lekkie, jak z cienkiego batystu, aż się znaleźli na ustronniejszych miejscach, daleko, gdzie za parkanem „Erazma“ wznosił się szary gmach cynkowni, rozsiadły na obszernych hałdach starego żuźla.

Rozścielili tu raglan na murawie, tu złożył Tadeusz Lenorę. Odpoczęła. Nakrył czułym objęciem i tu dopiero pytał i obejmował.

— Czemuż to śmierci szukasz, Lenora, powiedz, czemu?

Nie chciała odpowiadać na te sprawy. Przez czoło poleciały wysokie łuki a źrenice stanęły szeroko, jakoby w posiadaniu mądrości, której za dużo będzie zawsze na potrzebę takiej odpowiedzi.

Naprzeciw w zlewie słonecznej, między żuźlem, miałem węglowym i górami ubitego pyłu wkopane po kolana dzieci i stare kobiety obłupywały resztki węgla z zastygłej szlaki.

Szły pod górę skwapliwie, ostrożnie, w szmatach i łachmanach jaskrawych pochylone a pilne, niczym pątniczki. Żuźel je zsuwał, znosił ku dołowi, znów wyżej się wspinały przeciw fali umarłego stopu, i znów zalewał im nogi ostrą, szczerbatą strugą.

— Wszędzie go trochę przywrze — mówiła Lenora — tego węgla. Kto umie, zbierze korzec, albo nawet dwa, przy *protekcji* furmana.

Tadeusz ciągle pytał o tą śmierć i czemuż to jej szukać w ten dzień piękny?

Położyła swemu Tadekowi głowę na piersi, żeby odpoczęli, o niczym już nie rozmawiali.

— Bo nikt nie wie jak dziewczyną rzucają na kopalni. Temu szukałam śmierci.

Odsunęła się, wywinęła spod niego i spuściwszy powieki jakoby w siebie samą zapatrzona :

— Jak dziewczyna przychodzi na kopalnię, to zaraz jest dozorca. Pierwszy. Kurek Marian. Coś go widział, to on. Potem żebyś się na zimę dostała do płuczki — znów. A potem w wiosną, żeby cię flectarz nie ukrzywdził — znów.

Tadeusz bronił się rękami, odganiał słowa, Lenora przeczyła ruchem głowy sprawiedliwie i dalej swoje :

— A przedtem, jeszcze przedtem, zaraz tu na tych hałdach, żeby ci żuźla wysypali dobrego — znów. I zawsze — znów. I znów — i znów — i znów.

Wykierowawszy szare oczy ku słońcu :

— Nikt nie wie jak dziewczyną rzucają. Ale ty wiedz, mój Tadek. Żebyś nie przywołał spod tej skały, już by mnie tu nie było, ani nigdzie, Tadek.

Mieniewski westchnął srogo, rozwarł swe ręce i zaraz swoje zaczął. Opowiadał szeroko, że nim samym losy rzucają też ogromnie. O domu. O rodzinie. O ojcu i o sobie. Jak w tyłu sprawach był, na wojnie krew przelewał i już wyjęta jest z niego główna sprężyna życia. Najgłośniejsza! Więc teraz z Kostryniami zaczął interesy handlowe.

Nad zrębem usypiska ukazał się siwy stary perszeron, zaprzężony do długiego rzędu wagoników dymiących świeżym żuźlem. Opodał kroczył furman, w podartym rajtroku, w szarej wojskowej rogatywce. Posuwali się wzdłuż szyn, bez wszelkiego rozgłosu, ku gromadzie czekających kobiet, niby zjawa nieuchronna.

Tadeusz ucałował Lenorę w usta. Pachniały skałą i żelazem. W oczy. Pachniały gliną. Rozpiął stanik. Nie bronila się wcale.

— Teraz wiesz, — płakała łzami promiennymi, — nazywał się Kurek Marian, albo był sztygar, albo wszyscy inni.

Całował ją po piersiach. Całował, zakrywał i odsłaniał. Patrzyli na nie razem, zwarte, mocne, zachwyceni bezmiernie. Razem pokazywali je niebu i powietrzu. Czekali razem, aż je wiatr przestudzi.

Woźnica, prowadzący wagony, gwizdnął przeciągle. Wiadomo, zabronione jest kochać się na kopalni.

Poskoczyli co prędzej w dół, ku rozpadlinom gruntu. Pod wielkie zeszcłe krzaki, szumiące martwym liściem.

— Jesteśmy tu — Lenorka rozejrzała się uważnie — na starych robotach, blisko przy wiecznych ogniach. Mogą się palić sto, pięćset a może tysiąc lat?!

Mówiła cicho u brzegu skalnego wgłębienia, ustami dotykając prawie zwiędłych krzaków.

— Ogień idzie po węglu i idzie. Górnicy mówią, że go nawet słycać.

Tadeusz nasłuchiwał. Zdawało mu się, że chwyta szum daleki, aksamitny, jakby ogromne, w strasznej głębi utajone westchnienie. Aż z szumu tego, czy też z żalości, że się Lenora pod skałę chciała rzucić, czy też ze wstydu jej wyznań smutnych — łzy mu zaczęły płynąć.

Objęła go, gdy powiedział, że teraz dopiero poznali się naprawdę. Drugim ramieniem przycisnęła jeszcze bliżej, mówiąc:

— Nic my się nie poznali! Ty wrócisz przecie Tadek do swych dyrektorów, i pannę tam już mają dla ciebie, i pieniądze szykują. Pieniądze będziesz brał i wszystko, i zawsze w końcu do honoru wrócisz. Tak u was zawsze, u burżujów, nie to ja! Jak się nie rzucić pod skały, to i tak później ginąć w błocie na kopalni. Pan z dolarami i dziewczyna z powierzchni! Ale drugiej Lenory tak zaraz tu nie znajdziesz! Żebyś nie zawołał dzisiaj w porę — już by mnie nie było!

Wypomniała mu, jak to kiedyś, wtedy wieczorem, patrzyli do mieszkania Supernaków.

— Tyś stał cicho pod oknem i czekał, i mówił: „Czekam aż zza szafy wyjdiesz do mnie druga!“... Drugiej Lenory nie ma i druga nie wyjdzie.

Splłynęło jej przed oczy światłami całe przeczucie losu: jak zdradzi ją ten Tadek, odrzuci, jak wyśmieję, ona zaś zawsze miłości upilnuje. Całe nieszczęście przyszłe, lecz zarazem ostatnia i najwierniejsza duma:

— ... byś wiedział, ta Lenora, co jest na fleku wypisana. Drugiej Lenory nie ma... Weźmiesz mnie?!

Szumiący uśmiech zadzwijał w jej ustach, ramiona szeroko rozwarła, niebo się nad nimi przechyliło w najrozmaitsze strony, i tak zderzyli się i zespolili w bezmiernym objawieniu, połączeni wszelaką miarą ciała, gorąca, duszy i radości, i zguby, i biedy, i niedoli, i uciezki, i nieba szerokiego, i słońca rozlanego pod zamkniętymi powiekami.

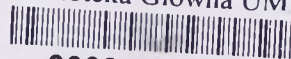
SPIS ILUSTRACJI

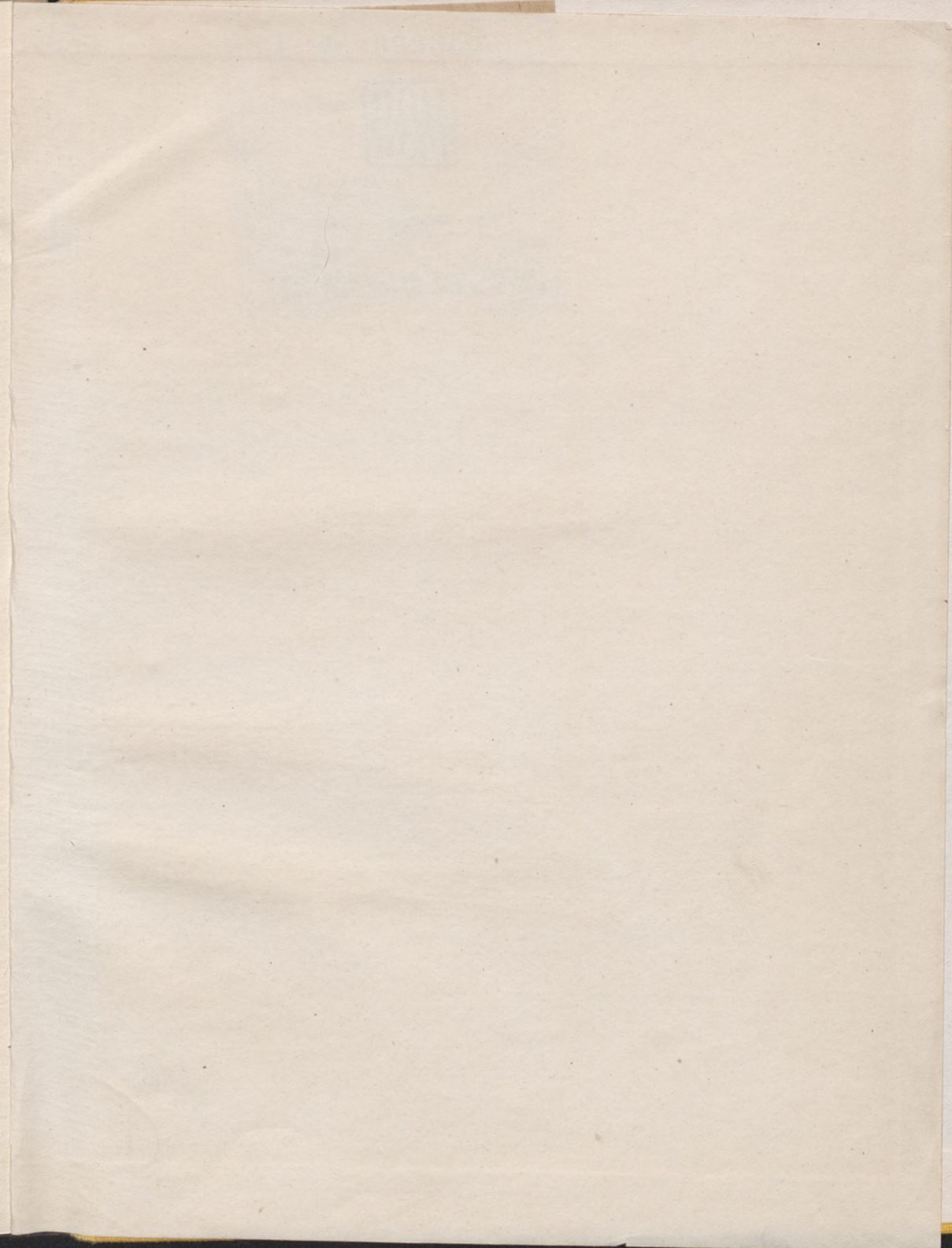
JÓZEF PESZKA : Trzy damy (Lekczyńska, Mazarakowa, Wendowa)	- - -	po str. 16
JÓZEF FAWORSKI : Portret generałowej Wiktorii Madalińskiej	- - -	przed str. 17
KAZIMIERZ WOJNIAKOWSKI : Portret Józefy z Szemplińskich Chrzonowskiej	-	„ 17
RAFAŁ HADZIEWICZ : Portret matki artysty	- - - - -	„ 17
FRANCISZEK LAMPI : Portret pani Osławskiej	- - - - -	po str. 24
HENRYK RODAKOWSKI : Juliuszowa hr. Dzieduszycka	- - - - -	przed str. 25
JÓZEF SIMMLER : Portret żony artysty	- - - - -	po str. 32
JAN MATEJKO : Portret hr. Pusłowskiej	- - - - -	przed str. 33
LEON WYCZÓŁKOWSKI : Portret pani Falińskiej	- - - - -	po str. 40
TEODOR AXENTOWICZ : Dama w czerni	- - - - -	„ 40
WŁADYSŁAW CZACHÓRSKI : Przed lustrem	- - - - -	„ 40
WOJCIECH KOSSAK : Portret	- - - - -	„ 40
ANNA BILIŃSKA : Portret własny	- - - - -	przed str. 44
OLGA BOZNAŃSKA : Portret własny	- - - - -	po str. 56
STANISŁAW WYSPIAŃSKI : Portret Zofii Żeleńskiej	- - - - -	przed str. 57
IGNACY PIEŃKOWSKI : Portret	- - - - -	po str. 64
KONRAD KRZYŻANOWSKI : Portret pani Witosławskiej	- - - - -	„ 64
TADEUSZ PRUSZKOWSKI : Nad książką	- - - - -	„ 64
LUDOMIR ŚLENDZIŃSKI : Portret	- - - - -	przed str. 65

Ilustracje zaczerpnięto m.in. z następujących wydawnictw : „Katalog galerii malarstwa polskiego w Muzeum Narodowym w Warszawie“ (Warszawa 1938), „Dzieje malarstwa w Polsce“ Feliksa Kopyry, t. III (Kraków 1929), „Henryk Rodakowski“ Władysława Kozickiego (Lwów 1937), „Polska : jej dzieje i kultura“ Stanisława Lema, t. III (Warszawa 1937), „Dzieła malarskie Stanisława Wyspiańskiego“ Stanisława Przybyszewskiego (Warszawa 1930), „La Pittura Polacca Contemporanea“ Mieczysława Tretera (Warszawa 1936).

SPIS RZECZY

Od wydawnictwa - - - - -	5
Bibliografia - - - - -	6
KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER : Maryna z Hrubego -	7
HENRYK SIENKIEWICZ : Basia Wołodyjowska - - -	11
MARIA KSIĘŻNA WIRTEMBERSKA : Malwina - - -	18
ELIZA ORZESZKOWA : Panna Róża - - - - -	20
BOLESŁAW PRUS : Pani Latterowa - - - - -	23
GABRIELA ZAPOLSKA : Kaśka-Kariatyda - - - - -	32
JÓZEF WEYSSENHOFF : Falbanka - - - - -	37
IGNACY DĄBROWSKI : Felka - - - - -	41
STEFAN ŻEROMSKI : Biruta - - - - -	44
WŁADYSŁAW STANISŁAW REYMONT : Jagna - - - - -	49
MARIA DĄBROWSKA : Łucja z Pokucic - - - - -	53
ZOFIA NAŁKOWSKA : Narcyza - - - - -	57
WACŁAW BERENT : Lena - - - - -	61
ANDRZEJ STRUG : Kama - - - - -	64
MARIA KUNCEWICZOWA : „Cudzoziemka“ - - - - -	70
JULIUSZ KADEN-BANDROWSKI : Lenora - - - - -	75
Spis ilustracji - - - - -	79





INDEX

Introduction 1

Chapter I 1

Chapter II 1

Chapter III 1

Chapter IV 1

Chapter V 1

Chapter VI 1

Chapter VII 1

Chapter VIII 1

Chapter IX 1

Chapter X 1

Chapter XI 1

Chapter XII 1

Chapter XIII 1

Chapter XIV 1

Chapter XV 1

Chapter XVI 1

Chapter XVII 1

Chapter XVIII 1

Chapter XIX 1

Chapter XX 1

Chapter XXI 1

Chapter XXII 1

Chapter XXIII 1

Chapter XXIV 1

Chapter XXV 1

Chapter XXVI 1

Chapter XXVII 1

Chapter XXVIII 1

Chapter XXIX 1

Chapter XXX 1

Library of the
300042048121

A Nr 099858



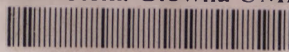
C e n a

zł 90 gr —

DK - 28 d
1.54

Wzór Jednoraz. CWD, W-wa. 15973/K
2041 - Łak - 25.11.53 - 3000 bl. à 100 k.

Biblioteka Główna UMK



300042046121